Ada Negri.

PRZEZNACZENIE.

Przy mém wezgłowiu zjawiła się postać,
Co uśmiech miała szyderczy,
Stanęła, jakby chciała przy mnie zostać...
...W oku jej płomień, w dłoni sztylet sterczy,
Rzekła mi: — „Niedola jestem.

Przez całe życie odtąd w twoje ślady
Iść będę, dziewczyno smutna.
Już nie opuści ciebie mój cień blady
Do grobu". — „Odejdź odemnie, okrutna!" —
Szepnęłam z błagalnym gestem.

Lecz ona przyciągnęła mię ku sobie,
Mówiąc: — „Tu, tu napisano,
Żeś smętnym kwiatem poczętym w żałobie,
Żeś kwiat cyprysu, co wschodzi na grobie,
Na czole masz napisano"...

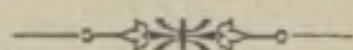
— ,,Nie, nie! — Krzyknęłam — ja chcę mieć nadzieję,
Co młodość tak opromienia.
Niech geniusz, sława do mnie się zaśmieje,
Miłości pragnę zaznać upojenia;
Oddal się, oddal w noc ciemną!“

Rzekła: — ,,Kto tworząc, nie dba na znój krwawy,
Kto kochać i cierpieć gotów,
Temu jedynie błyśnie promień sławy,
Ten godzien szczytnych zwycięstwa zawrotów“.
...Szepnęłam jej: — ,,Zostań ze mną“.

Przełożyła *Alina Świderska.*



Z nowszéj literatury skandynawskiéj.



I.

Skandynawia daje nam rzadki w dziejach a pokrzepiający przykład, jak naród skądinąd nie należący do potężnego „koncertu europejskiego", siłą wyłącznie ducha zdobywa sobie przodujące stanowisko w rzędzie ludów ucywilizowanych. Blisko dwadzieścia lat upływa od chwili, gdy jedna z sztuk Ibsena została przez publiczność berlińską wygwizdaną, a druga—zakazaną przez tamtejszą władzę policyjną. W ten sposób „skandynawizm" objawił się Europie, rewolucyjny i przestraszający, ale młodzieńczy, silny pędem żywiołowym, nieprzepartym. Indywidualizm swój wycisnął, jako piętno jaskrawe, na całéj produkcyi literackiéj współczesnéj i budząc nawet opozycyę — budzi zarazem szacunek dla małego narodu, który w potężny sposób umiał swą żywotność i siłę zaznaczyć.

Wybitniejsze utwory piśmiennictwa skandynawskiego jedną mają szczególną cechę: umieją pogodzić indywidualizm narodowy z uniwersalnością. Stanowią pod tym względem najwyszukańszy kontrast z piśmiennictwęm polskiém. Tłómaczy się to wyjątkowém ukształtowaniem się stosunków ludnościowych i społecznych. Ziemie skandynawskie obejmują zaludnienie niezbyt liczne (niespełna 10 mil), a większość panującą stanowią tam chłopi. Klasa ta posiada

elementarne wykształcenie szeroko rozwinięte, a Dania np. nie zna analfabetów, posiada przytém 16 uniwersytetów ludowych; wykształcenie to jednak z natury rzeczy wgłąb zbytnio nie idzie i nie strzela téż zbyt wysoko, ma dążenia zachowawcze i utylitarne. Natomiast stoi większa część inteligencyi młodszéj pod wpływem Jerzego Brandesa, dawniéj w znaku „głównych prądów literatury europejskiéj XIX wieku", obecnie — Nietzscheanizmu, jest zatém wolnomyślną, o szerokich aspiracyach artystycznych, i radykalną. Wynika ztąd antagonizm między „poetą a światem", będący tragedyą dla wszystkich wybitniejszych umysłów twórczych Skandynawii. Dość przytoczyć, że w pewnéj epoce życia każdy z nich jest zmuszony proch ojczysty z stóp strząsnąć i iść na wygnanie. Brandes i Ibsen, Strindberg i Hamsun, Garborg i Ola Hansson—wszyscy oni wpadali w zatarg ze społeczeństwem własném, kraj ojczysty był dla nich za mały, za ciasny, w znaczeniu tak terytoryalném, jak i duchowém. Duchem żyją téż wszyscy nie po za—lecz po nad nim twórczość ich czerpie z ziemi ojczystéj siłę i typy, lecz idee—z horyzontów dalszych; korzeniami tkwiąc w gruncie rodzimym—głową stoją w promieniach słońca kultury uniwersalnéj, powszechnéj.

Stan ten napięcia umysłów, intensywności duchowéj i walki nadaje literaturze skandynawskiéj jeszcze jedną cechę bardzo ważną; w całokształcie swym jest ona mikrokosmosem współczesnéj kultury. „Różnorodne kierunki teraźniejszości—mówi słusznie Marya Herzfeld—przez sztuki wytwarzane lub téż uosobione, nie dadzą się nigdzie lepiéj studyować, niż w literaturze skandynawskiéj. Jest to piśmiennictwo ludów młodych, bardzo wrażliwych, dla których zagadnienia religijne, socyalne, artystyczne są krwawemi dziejami serca. Daje ono skondensowany obraz naszego świata i jego sztuki; mówi nam, gdzie ludzkość ucywilizowana stoi i dokąd jéj tendencye ucywilizowane zdążają".

Z całą plastyką przekonywają nas o téj prawdzie nowsze utwory literackiéj Skandynawii. Na małym terenie z tém większą wypukłością występują tutaj dwa obozy, walczące obecnie z sobą w całéj literackiéj Europie: starszy, racyonalistyczny w treści, w formie posługujący się weryzmem o różnych odmianach i „modernizmu", nie wyszły dotąd ze stanu fermentacyi, mistyczny w istocie swéj, a w formie—mniéj lub więcéj fantastyczny i subjektywny.

Jedno zastrzeżenie. Nie znając języka Skandynawczyków, posługujemy się tłómaczeniami niemieckiemi. Niemcy jedną ręką tępią mowę i ducha Duńczyków w prowincyi Szlezwig-Holsztyn, drugą jednak hołd im składają, biorąc ich utwory piśmiennicze, jako

sztandary dla swoich „najmłodszych", jako broń i główny pokarm. Na sprzeczność tę wskazał niedawno z goryczą Björnson. Już samo położenie geograficzne predysponuje Niemców w tym kierunku na pośredników, a choć dużo oznak przemawia za tém, iż nie są „uczciwymi maklerami"—można z ich usług korzystać z należytą oględnością. Skandynawią zajmują się głównie „moderniści", już to samo przygotowuje na sądy jednostronne, partyjne.

Całokształt obecnego ruchu literackiego w Skandynawii spróbowała w ostatnich czasach objąć Marya Herzfeld [1]).

Oto treść jéj nader zajmującéj, inteligentnie i subtelnie pisanéj książki.

II.

Współczesna literatura skandynawska rozpada się na dwie grupy. Jedna jest w swoich ideach bezpośrednią dziedziczką ośmnastego stulecia, jéj hasłem jest rozum i wolność. Potrzebę jéj religijną reguluje racyonalizm; ogranicza się téż ona do wierzenia w to, co dowiedzione, zadawalnia się agnostycyzmem lub wprost pozytywną negacyą. Moralność jéj spoczywa na zasadzie Benthama i Milla: „Dobrém jest to, co służy ludzkości", z furtką dla jednostki, że dobrém jest również, co człowiekowi sprawia przyjemność. Celem jéj jest szczęście—możliwie wielkie szczęście dla możliwie wielkiéj liczby, które da się osiągnąć przez usunięcie uczuć przykrych, przez rozwój umiejętności i instytucyi politycznych w znanym duchu demokratycznym. Los ludzkości jest po prostu problematem rozumu, a bystrością, logiką, pracą da się téż rozwiązać; chodzi tylko o to, aby w jak największą liczbę ludzi wpoić to przekonanie, uprościwszy ich sobie, względnie „podniósłszy" ich do znaczenia „głowy", t. j. aparatu rozumującego.

Za wodza tego kierunku, hołdującego w krytyce literackiéj także metodom naukowym, uważany jest powszechnie Jerzy Brandes, choć należy przypuszczać, że umysł tego człowieka jest znacznie szerszym i bujniejszym, niż powyższe oschłe szematy. Ściśle mówiąc —jest ów kierunek, „brandezyanizm", owocem działalności swego mistrza z pierwszéj jego epoki (1871) „Główne prądy"); Brandes obecnie „brandezyanistą" nie jest. Wpływ jego na kulturę skandynawską jest trwały i wszechstronny; pod siłą tego słońca

---

[1]) *„Die Skandinavische Literatur und ihre Tendenzen"*, *Berlin*, *Schuster et Löffler*, 1898.

ziemia wyjałowiona wystrzeliła i zakwitła lasem talentów. Był-że on w stanie tworzyć geniusze? Z pewnością nie; do genialności dał jednak odwagę. Nauczał, że w sztuce nie trzeba tworzyć jak inni, lecz właśnie—jak nikt inny, że trzeba być indywidualnym, to znaczy nowym. Indywidualnym—a zarazem uniwersalnym, t. j czerpać z czasu, z wiru ogólno-ludzkich zagadnień; wprowadzać je na pole rozpraw. Sam téż dawał przykłady niezrównane, ze wszystkich kultur i języków czerpiąc materyały do barwnych, gorących, polemicznych dzieł i obrazów. Skończył—jak wiadomo—jako zapalony wielbiciel i apostół Nietzschego, którego pierwszy w Europie zrozumiał i odkrył. Co za skok z metafizyki Hegla i moralności utylitarystycznéj Milla! Z kościoła demokratycznego—przeskok do radykalnego arystokratyzmu, z ideału szczęścia ogólnego—przeskok do nauki o moralności panów i wielkim człowieku, jako celu rozwoju. Brandes go zrobił, młodzież cała za nim.

Rozumie się, że—jak zawsze i wszędzie—wielka część téj młodzieży poszła daléj, niż mistrz, i nie mogąc rozumiéć jego ewolucyi wewnętrznéj, zostawiła go w tyle. Czy słuszność ma Ola Hansson i Marya Herzfeld, uważając go za przeżytego? Z pewnością nie. Umysł tego człowieka, to niestrudzone, wieczyste źródło, orzeźwia i zapładnia; czyni go to niezdolnym do stagnacyi, do zamknięcia się w obrębie jednéj szkoły, choćby nią był modernizm *Inde irae.*

Zawsze jednak—jak Hansson przyznaje—był Brandes „słupem ognistym, świecił, grzał, zapalał. Między pisarzami współczesnéj Skandynawii, tak starymi jak i młodymi, nie ma prawie żadnego, któryby nie był przez pewien czas pod wpływem czarodziejskim jego indywidualności“. Nie dla tego—tłómaczy Herzfeld—jakoby był tak głębokim, oryginalnym i uczonym, jak np. Hettner, Saint-Beuve, Taine, lecz ponieważ był „bogatszym, ruchliwszym, szczerzéj wyposażonym, więcéj zajmującym, niż wszyscy, a artystą—jak żaden. I ma on ową porywającą, aktorską osobowość, która była potrzebną na apostoła, światłodawcę“. Ze staréj gwardyi, skupiającéj się koło niego, działa dotąd Ibsen i Björnson, młodzi atoli wierzą tylko w Jakobsena.

Ibsen—to żywe uosobienie owego rozkładczego ducha krytycznego, który ich doprowadził do nihilizmu, na brzeg rozpaczy. W duszy tego ponurego olbrzyma rozegrała się tragedya, któréj punktem środkowym jest rok 1864. Wówczas to zbankrutowały ideały o „trójjedynym“ narodzie skandynawskim, wówczas Norwegczycy, którzy do niedawna upajali się frazesami o solidarności plemiennéj, zostawili Duńczyków ich losowi, gdy Niemcy z ciała ich żywy kawał narodu wydarli. Od tego czasu żaden osobisty interes nie usunął

z krwi Ibsena owéj „nienawidzącéj miłości“, którą uczuwał dla narodu i czasu swojego. Coraz silniéj rozwijała się w nim surowa, purytańska, nieco odludna natura, którą miał po matce, i świetny talent satyryczny, odziedziczony po ojcu. Celem jego twórczości — „zrewolucyonizowanie ducha ludzkiego“, zakwestyonowanie wszystkich istniejących wartości—nawet nie przemiana ich, jak to usiłował czynić Nietzsche. Dzieła Ibsena—to rewolucyjny, jadowity ferment dla wprawienia we wrzenie zleniwiałéj krwi naszego czasu i sztuki, nie są nigdy jednak zdrowym, pożywnym chlebem żywota; burzą tylko—nie stwarzają nigdy.

Drugi Norwegczyk, który szedł z Brandesem, ma mniéj logiki, niż Ibsen, a żywszą krew. Jako poeta, jest Björnson genialnym, jako myśliciel, bardzo przeciętnym. Posiada wiedzę niezbyt głęboką, a przedewszystkiém idee polityczne. Człowiek nawskroś partyjny, ma ideały mniéj więcéj, jak Eugeniusz Richter, z tą różnicą, że jest trochę mniéj ateistą, a więcéj republikaninem. Zresztą—całą duszą polityk ludowy: przewódca ludu, gazeciarz, mówca—mówca ludowy nadewszystko. Umié przykuwać uwagę dziesięciu tysięcy ludzi, a nie będzie między nimi ani jednego, któryby jego myśli nie zrozumiał i nie przejął się entuzyazmem. Posiada zawsze w zapasie owe małe idee, a wielkie słowa, które na tłum działają; wprawia go téż w zachwyt—a siebie samego w upojenie. Ojciec jego był pastorem, syn jest aktorem; on stoi między nimi w pośrodku. Dar oratorski cieszy go tak mocno, że nie pisze już żadnéj sztuki bez wiecu ludowego, meetingu, zebrania biskupów, narady fabrykantów, zgromadzenia robotniczego. Wszędzie pełno mów i mówek, a treść staje się płytką, coraz płytszą.

Z początkiem ósmego lat dziesiątka miał już Björnson piękną działalność poetycką za sobą. Pisał był swoje opowieści chłopskie, które, jako idyliczne poezye, mają niespożyty urok młodości, dużo wspaniałéj, kapryśnéj liryki, ballady, stojące obok najpiękniejszych relikwii folkloru, i kilka dramatów historycznych z wielkiemi postaciami i w wielkim stylu. Z naporem nowych idei stało się to wszystko trochę niemodném, a Björnson, skald, musiał przecie kroczyć na czele swego narodu. Król—chciał lud prowadzić, a w sam raz nie miał królewskiéj myśli. Przez kilka lat nic nowego do głowy mu nie przychodziło. Nareszcie dostał receptę—przez Kattegut przyszło hasło, że żywotna literatura musi problematy poddawać pod dyskusyę. Ibsen, ten straszny konkurent, napisał był nawet „sztukę z problematem“, zanim mu to Brandes powiedział. Trzeba było się spieszyć, by nie opóźnić połączenia. Sztuka z problematem—dosko-

nale! Wszak skald powinien naród pouczać, prowadzić. Nie wystarczy być poetą, trzeba także być człowiekiem idei. I naturalnie mieć zasady, nadewszystko! Od tego czasu pisał Björnson grube tomy nowel, romansów, dramatów, w których jest trochę idei, a dużo—dużo zasad. I dużo arcydzieł natchnienia poetyckiego psuje ideami, które aż nadto często są dziecinne, i zasadami, które są filisterskie.

Najwybitniejszém dziełem Björnsona lat ostatnich jest dramat w dwóch częściach: „Nad nasze siły“. Pierwsza część pochodzi jeszcze z r. 1883; wspaniałe to dzieło ów dramat pastora Sanga, który mocą swéj woli i modlitwy leczy chorych i uzdrawia kaleki—jednakowoż żony własnéj nie może uleczyć, gdyż Klara pochodzi z rodu wątpicieli, a cud zakwita tylko na gruncie wiary. Przywołuje tedy pastor dzieci swe do domu; łańcuchem modlitwy opaszą chorą, może to pomoże. Okazuje się jednak, że i dzieci straciły wiarę. Na świecie szerokim nie znajdowały nigdzie chrześcian; jeden tylko istniał chrześcianin, a tym był ich ojciec. A religia, któréj przykazania na miliony ludzi jeden tylko jest w stanie spełniać—czy religia taka pochodzi od Boga wszechwiedzącego. Wdały się tedy w badania i początki chrześciaństwa znalazły po za epoką chrześciaństwa; ono także było dziełem ludzkiém. Ale pastor na to powiada: „Cóżby to miało dowodzić? Nic przeciw naukom, wszystko przeciw apostołom. Czy niemożliwością jest chrześciaństwo, czy téż ludzie, którym brak odwagi do czegoś wielkiego?... Co jest niemożliwością dla człowieka, który wierzy?“ I porzuca resztę wątpliwości—on na cud się odważy. Pójdzie do kościoła modlić się i nie przestanie dopóty, dopóki Pan go nie wysłucha i żona nie zacznie chodzić o własnych siłach... Udaje się do kościoła, stojącego w pobliżu domu; głos dzwonu się rozlega i biskupi oraz pastorzy, którzy przybyli, aby sądzić istotę tego cudu, wszyscy oni zostają ogarnięci jednym duchem, zaczynają modlić się, błagać, lud na placu, duchowni wewnątrz, o ten cud, o cud upragniony. I patrz: w domu otwiérają się drzwi, w kościele naprzeciwko także — dwie ekstatyczne postacie, siłą magiczną przyciągane, idą naprzeciw siebie; to pastor i sparaliżowana jego żona. „Cud! cud!“ wołają wszyscy z wzniesionemi rękoma. Klara pada na piersi męża i — usuwa się nieżywa. Cud przeszedł nasze siły.

Wszystko to przedstawione wspaniale, wstrząsająco, głęboko a subtelnie; wrażenie należyte odnosi się, zgłębiwszy należycie ducha protestanckiego. Teraz przypatrzmy się części drugiéj, z r. 1896. Jak stara religia sięga ponad człowieka—tak samo dzieje się z nową

wiarą, socyalizmem. To teza Björnsona. Dzieci pastora Sanga szukają czegoś, coby im zastąpiło utraconą wiarę... Eliasz, który po biblijnym patronie odziedzicył chęć unoszenia się wozem swéj fantazyi w niebo, Eliasz-entuzyasta jest socyalistą; Rahel, która w sposób iście kobiecy, jak Rahel w raju Dantego, uosabia to, co ziemskie, zrozumiałe, życie czynne, zakłada szpitale; on chce ludzkość zbawić—ona ludziom pomagać. Wybucha wielki strejk, który staje się niebezpiecznym. Związkowi robotniczemu przeciwstawia się związek pracodawców—proletaryat okazuje się partyą słabszą, zdaje się być straconym. Wówczas po stanawia Eliasz działać przykładem. Chce przekonania swoje zapieczętować męczeństwem i towarzyszy popchnąć do czynu. Zamek, w którym fabrykanci odbywają posiedzenie, jest podminowany — on go wysadza w powietrze i zatraca wrogów. A rezultat stąd? Żaden. Krew przelana bezużytecznie. Bo i tutaj nadzwyczajność przechodzi nasze siły. A morał sztuki? Słabi mają słuszność. Bezwątpienia. Ale i silni mają słuszność. Cóż wobec tego począć? Na szczęście występuje w sztuce dwoje dzieci, dzieci, które są symbolami, jak już wskazują same ich imiona Credo i Spera. On chce pracować nad wynalazkami, ona — zakładać stowarzyszenia dla zabawy i kształcenia. I wówczas, gdy kwadrat ziemi wystarczy, aby człowieka wyżywić, i z liści można będzie robić odzienie, zaś wszyscy ludzie będą weseli i t. d. i t. d., wówczas—tak, wówczas kwestya socyalna będzie rozwiązana. To pewna. Rzecz jednak polega na tém, że świat nie chce tak długo czekać.

Obie te sztuki mają w sobie coś gigantycznego i przepyszną dynamikę dramatyczną i wspaniałe typy ludzkie. Możemy stać przy nich, bez względu na ich idee. Ale cóż powiedzieć wobec sztuki tak tendencyjnéj, jak „Rękawiczka“? Jest to wykwit feminizmu, który—wprowadzony przez Brandesa, ogarnął wszystkie umysły prawdziwym szałem, doszedł do ostatecznéj krańcowości i nareszcie zawikłał się w sieci własnych sprzeczności. Bo wszyscy ludzie są równi—głosili feminiści—lecz mężczyzna jest zły, a kobiéta jest dobra, mężczyzna jest ograniczony, a kobiéta—mądra, mężczyzna jest tyranem, kobiéta—męczennicą, *ergo*... powinien on ustąpić wszystkie (lepsze) stanowiska kobiecie. Czy kobiéta będzie wówczas męża także wyżywiać—tego punktu jeszcze nie załatwiono.

Reakcya przeciw tym śmiesznościom długo na siebie czekać nie dała. Wystąpiła przeciw nim nawet taka pionierka swojéj płci, jak poetka Szarlota Edgrèn-Leffler. Brandes także zwrócił się przeciw brandezyanizmowi, moralność „Rękawiczki“ unicestwił w szeregu sławnych artykułów. August Strindberg został tym ruchem feministycznym popchnięty do szału; wypowiedział kobiecie wojnę. Z truba-

dura i rycerza przemienił się w wroga kobiét. Przedstawiano dotąd kobiétę, jako słabszą, uciśnioną ofiarę—on w „Wierzycielach“, „Ojcu“, „Pannie Julii“, „Spowiedź głupca“ etc. przedstawił ją, jako wyzyskiwaczkę, wampira, istotę, która żyje z pracy mężczyzny i idei jego, a wyssawszy go gruntownie—wzgardza nim, oszukuje. W ton Strindberga uderzył także Ola Hansson; Hans Jäger i Arne Garborg („U mamy“) oświetlili jaskrawo erotykę miast wielkich. Ostatecznie sprowadzono „problemat“ na grunt szerszy, na grunt kwestyi moralnéj i psychologicznéj. I oto jesteśmy już na terenie „najmłodszych“...

Naturalizm, jako forma, żyje jeszcze u pisarzy starszych oraz u niektórych młodych—lecz przeważnie, jako cel sam w sobie, jako sztuka malowania dla przyjemności malowania. Występuje w wielkim stylu prawdy i pełni życiowéj u Amalii Skram, to w dokładności medalierskiéj i stylu prawdziwie męzkim, prawie bohaterskim niektórych dramatów Edwarda Brandesa, w dowcipie i przepięknych obserwacyach Aleksandra Kiellanda, Henryka Pontoppidana, Hermana Banga i innych. Ale ze wszech stron rozlegają się inne pieśni—nadeszły inne czasy. Na widownię wystąpiły nowe problematy psychologiczne i artystyczne.

III.

Najmłodsi są—jak w całéj Europie—reakcyą przeciw jednostronnemu racyonalizmowi. Człowiek jest dla nich czemś więcéj, niż inteligencyą; jest on przedewszystkiém dzieckiem natury, w którém wrą i działają wszystkie tajne siły wspólnéj matki-przyrody, wielkiego wszechżycia; jest to organizm, posiadający nietylko świadomość mózgową, lecz także potężną siłę po za progiem świadomości, rodzaj ogólnego zmysłu cielesnego, który się wyraża w bezwiednych sympatyach i antypatyach, w popędach ku jakimś nieuświadomionym kierunkom, w snach i przeczuciach. Jest to instynkt, pierwsze źródło naszego życia, w którém są zaklęte najtajniejsze i najstarsze nasze siły, imperatywy kategoryczne, przekazane krwią dziedziczności, tradycyą, ziemią, rasą... Instynkt—to najsilniejszy korzeń życia; jemu być posłusznym—to być posłusznym saméj naturze, na nim młodzi chcą oprzéć kulturę, a rozumowi przeznaczyć tylko rolę kontrolera...

Jak widzimy—teorya ta jest zbudowana na woluntaryzmie Schopenhauera i ma dużo wspólnego z dążeniami Nietzschego. W rezultacie młodzi wyznaczają pierwszorzędne stanowisko pierwiastkowi rasy; u germańskiéj ma nim być uczuciowość (*Gemüth*),

jak u łacińskiéj—wola; ich religia skłania się do uduchowionego panteizmu, ich moralność wyklucza tylko dwojaki czynnik: utylitarny i epikurejski, cele mają więcéj kulturalne, niż polityczne i ekonomiczne, a ostatnim ich wyrazem jest indywidualizm: człowiek i jego wywyższenie.

W środku między dwoma temi światami stoi J. P. Jakobsen. Prześliczna to postać, jedna z najbardziéj zajmujących i najsympatyczniejszych w nowszéj literaturze światowéj. Z Brandesem, który był jego rówieśnikiem, przyjacielem i który mu poświęcił jedno z najpiękniejszych swoich studyów, łączy go dużo cech wspólnych; Jakobsen był mężem nauki (znakomitym botanikiem) z przymieszką heretyka. Różni ich jednak działalność artystyczna. Jakobsen nie poddawał nigdy „problematów“ pod debaty. Jego problematy są natury czysto psychologicznéj, jego cele—celami tylko poetyckiemi. Tkwi w nim nawet dużo z romantyka, w rodzaju Poe'go. Obaj są fantastycznymi marzycielami, którzy w przepaściach duszy wyszukują najrzadsze kwiaty szaleństwa, by je poddawać sekcyi. Jego proza i poezya nie zna żadnych prawideł, prócz własnéj samowoli, nie zna żadnych więzów, nawet panującéj gramatyki—mimo to jest w niéj głęboka, własna logika i siła twórcza, zdobywająca sobie nowe formy. Można ją związać w jeden łańcuch z utworami Frecka, Hofmanna, Novalisa, a wyprzedza ona o lat kilkanaście symbolistów francuskich. W jego utworach są jednak korzenie silniejsze, po przez tropikalny las dziewiczy jego fantazyi przewija się zimny często strumień rozumu, uzbrojonego w całą współczesną wiedzę. Europejski pozytywizm łączy się w nim z duńską fantastycznością; jego krytyka rozkrawa świat na cząstki, jego wyobraźnia wiąże je w barwne girlandy. W dodatku jest Jacobsen chory (zmarł młodo na suchoty); widzi téż świat roztęsknionemi oczyma umiérającego, który chce go posiąść — wyidealizowany, w promiennych barwach, wyższy nad rzeczywistość, a przecie rzeczywisty, miraż znikający, nie dający się nigdy osiągnąć. Z wyjątkiem „*Mogens*“ traktują wszystkie jego książki[1]) o tęsknocie i zawodach. Każdy żywot ludzki—opowiadają—jest powolném deziluzyonowaniem. Co jest treścią istnienia? Czyż nie jest każda piękność—pięknością, co przemija, każde szczęście—szczęściem, co się łamie? Cóż pozo-

---

[1]) Jakobsen żył 1847—1884; „*Mogens*“ jest pierwszą jego nowelą, potem wyszły powieści „Strzał na oślep“, „Marya Grubbe“, „Dwa światy“, „Tu powinny być róże“, „Zaraza w Bergamo“ etc. Po śmierci wyszły „Poezye i szkice“.

W polskiem tłómaczeniu mamy jedynie pełną nastrojowej poezyi powieść jego „*Niels Lyhne*“. *Przyp. aut.*

staje nam z życia po za rozkwitem duszy w tajemnéj tęsknocie, po za rozbrzmieniem życia wewnętrznego w głębokim nastroju cierpienia, cóż po za czarownie uduchowionemi obrazami i snami tak przedziwnemi?

To nie jest ów realizm i aktualność, których Brandes podówczas wymagał, ale w tych wszystkich obsłonach i upiększeniach tkwi dużo prawdy, natury. Krajobrazy z swą atmosferą, nasyconą światłem, świat roślinny odpowiadający warunkom pory roku i strefy—każda istota ludzka w swéj wewnętrznéj i zewnętrznéj odrębności—wszystko jest widziane na wskroś indywidualnie i oddane z najdelikatniejszemi odcieniami.

Do wypowiedzenia tych wszystkich nowych subtelnych i głębokich rzeczy zastał był Jakobsen w swéj ojczyźnie język, który był najbardziéj zwietrzałém bezbarwném narzeczem w całéj Europie. Musiał przejrzéć i splądrować wszystkie dyalekty ludowe, wyszukiwał i szlifował nowe wyrażenia, rozpłomienił głoski, aż zaczęły dzwonić, puste i bezbarwne powyrzucał i utworzył język dźwięczny, rytmiczny, obrazowy, język dziki, bujny, oryginalny, którym przed nim nikt ze śmiertelnych nie pisał, a po nim jeden tylko—d'Anunzio.

To, co u Jakobsena jest koniecznym wyrazem przerafinowanéj, chorobliwéj indywidualności, zostało u poetów najmłodszéj generacyi zgeneralizowane, jako zasada, jako program szkoły. Stało się to pod wpływem czynników tych rozlicznych, które wytworzyły ruch analogiczny w całéj Europie, które i u nas wydały ludzi „Bez dogmatu". Z zachodu (a właściwie południa) przyszły w pomoc teorye Nietzschego, du Prela, Ribota, Bineta, Lombrosa, autora głośnego dzieła „Rembrandt, jako wychowawca", przyszła fala nowoczesnego mistycyzmu, kult instynktu, rasowości. Kopiowanie życia nie wystarcza, chodzi także o sens jego. Jakiémż jest znaczenie wielkiéj téj zagadki?

Teoretykiem nowéj szkoły jest—a przynajmniéj narzucił się na takiego—szwed Ola Hansson. Wraz z żoną, Laurą Marholm, byli niedawno wielbicielami i domownikami Brandesa; przed kilku laty zerwali z nim i osiadłszy w Niemczech, rzucają w świat gęsto manifesty, rozprawy krytyczne, nowele i romanse [1]). Pierwszy potomek rodziny chłopskiéj, który rzucił się do studyów, Hansson uczuł silnie rozbrat między odziedziczonemi instynktami a nabytą kulturą umy-

---

[1]) W przekładzie polskim mamy Hanssona „Młodą Skandynawię" i Laury Marholm „Księgę kobiet", ostatnią—w odcinku „Prawdy" z r. 1895.

słową, uczuł się jakby w obcym klimacie, anomalią wydawał się sobie, bezdomnym. W téj rozterce przyszedł mu w pomoc Nietzsche, mistrz, który akceptuje życie w całéj jego straszliwéj wielkości, który otwiéra człowiekowi perspektywy bezgranicznego udoskonalenia, który nakłada nowe obowiązki, gdyż „człowiek jest zwierzęciem, które umié przyrzekać“. Zadaniem życia jest wydawać wielkie typy ludzi, tworzyć stosunki, umożliwiające powstawanie geniuszów. Ola Hansson powitał Nietzschego, jako zbawcę, nie wstępuje jednak zupełnie w jego ślady. Stara się być sobą, zhumanizować pierwiastki dziedziczne z kulturalnemi. „Mądry chłop“—taki ideał postawił sobie jeden z najinteligentniejszych pisarzy krakowskich Nadroj-Rozwadowski (w „Życiu“). Do tego ideału dąży téż Hansson. Potomek chłopów i rasowy Germanin, czuje, że świat ten nowy jest osobistym a przecie uwarunkowanym rasowo, arystokratycznym a równocześnie ludowym. Nie burżuazyi, nie proletaryuszowi, lecz chłopu przeznacza przyszłość. Trzeba go więc do tego wielkiego zadania wychować, aby—skoro wielki dzień nadejdzie — posiadł nietylko ziemię, lecz także siebie samego, i był zdolnym tworzyć kulturę; trzeba, by natura zapanowała w nim, jak dotąd panuje nad nim, a wówczas stworzona przezeń kultura nie będzie się składać z teoryi, nie będzie kulturą wyrozumowaną, bez soków i korzeni rodzinnych, którą najbliższa fala z głębi ludowych spłucze, lecz swojską, odżywianą najbogatszemi źródłami siły człowieczéj, uczuciem rodzinném, ojczystém, rasowém...

Z założeń tych wychodzi cała działalność piśmiennicza Hanssona. Związał się z ziemią, która go wydała, i zdaje mu się, że powstaje w nim do życia wszystko, co ona w tysiącletniéj ewolucyi w piersi człowieczéj złożyła, że ogarnia go ów majestatyczny spokój, owo „ciepło witalne“ tak podziwiane przezeń u Boecklina, owa nieomylna instynktowność, któremi tchnie oddech ziemi. Jako krytyk artystyczny i literacki, zarzuca wszelkie metody naukowe, uznaje tylko impresyonizm, t. j. wrażenie osobiste, odruch instynktu, panowanie subjektywizmu. Jak są—głosi—ludzie, zdolni wyczuwać, w których żyłach ziemi znajduje się woda, gdzie więc trzeba kopać studnię, tak są artyści, obdarzeni tym zmysłem specyalnym do wyczuwania piękna, idei, źródeł życiodajnych, i ci są krytykami; wskazują na twórcę, odtwarzają go, i w tém ich zadanie. Sam zaś, jako twórca, Hansson rozwija działalność bardzo produktywną, przynajmniéj ilościowo. W całym szeregu dzieł wiąże człowieka, niebo i ziemię w jedną organiczną całość, podsłuchuje, co życie wygrywa na kilku naczelnych strunach serca, przetwarza zdarzenia świata zewnętrz-

nego w nastroje duszy, czyli przemienia wszystkie zjawiska fizyologiczne, społeczne etc. w fenomena czysto psychiczne.

P. Herzfeld dodaje, że Hansson jest często mniéj znaczącym, niż mu się zdaje, i w stosunku do wielkich słów wypowiada za mało. Sąd ten jest może jeszcze za łagodnym. Przytoczyłem obszerniéj charakterystykę nie tyle głośnego, ile krzykliwego Szweda, bo jest on znamiennym dla teoryi ostatnich czasów, przechodzących z indywidualizmu osobowego do rasowego, z psychologii do negowania życia realnego, politycznego i socyalnego ze wszystkiemi jego bólami i krzywdami, „od których gwiazdy bledną". Skonstruować teoryę łatwo, ożywić ją krwią serca, sokami talentu, pulsem życia, barwami fantazyi—trudniéj, bo trzeba serce i znajomość życia i talent posiadać. Hansson jest w tym kierunku człowiekiem bardzo ubogim, utwory jego są najczęściéj poprostu nudne a tętno ich żywsze, o ile istnieje, pochodzi najczęściéj z tego, co żona jego i współpracowniczka, Laura Marholm, nazywa „punktem centralnym". Jest nim erotyzm, najściśléj, lokalnie sprowadzony do procesu czysto fizyologicznego. I w tém ostatni wyraz ich indywidualizmu i symbolizmu. Najwybitniejsze dzieła Hanssona: *Sensitiva amorosa* i *Alltagsfrauen* są aż nadto jaskrawemi dowodami. „*Alltagsfrauen*"—to galerya postaci, wyjętych z znanego dzieła Krafft-Ebinga, szereg unowelizowanych typów z psychopatyi *sexualis.* Patologiczne fenomena z téj dziedziny są téż dla Laury Marholm kluczem jedynym do zrozumienia kobiéty, jedyną osią, około któréj obraca się psychologia kobiét genialnych, w rodzaju Zofii Kowalewskiéj, Eleonory Duse, Maryi Baszkircew etc., jakotéż kwestya kobieca wogólności. Dla dobranéj téj pary literackiéj kobiéta jest tylko istotą płciową; to jest treść ich utworów, reszta—to oschła, kunsztownie dosztukowana teorya.

Nie słowami, lecz głęboką poezyą i szczerém odczuciem wygłasza światu „Misterye"—Norwegczyk Knut Hamsun. Pamiętamy wszyscy wrażenie, jakie w kołach naszéj inteligencyi zrobiło dzieło jego „Głód". Książka to tajemnicza, głęboka, naiwna, posępna, przerażająca. „Bohatérem" nie jest ten człowiek, nie jest demon głodu, lecz skryta jakaś siła, nieujęta, niezrozumiała, po za sferą świadomości leżąca, która miata człowiekiem wysoce inteligentnym i uświadomionym, popycha go do tysiąca czynów irracyonalnych, popycha go w ramiona cierpienia, szaleństwa, bohaterstwa, miłości—ta sama siła, która kobiétę śliczną i subtelną, jako magnes, rzuca ku niemu, nędzarzowi kroczącemu w łachmanach, w *delirium* głodu. Czém to tłómaczyć—zrozumiéć? Alboż taką potęgą nie jest każde prawdziwe uczucie, ów splot niezrozumiałych dla nas samych sym-

patyi i antypatyi, ów stan wreszcie, urągający wszystkim głosom rozsądku i krytyki: miłość? Hamsun—o którym p. Herzfeld całkiem zapomniała—jest właśnie poetą owych stanów bezwiednych, żywiołowych, niepojętych.

Dalej jeszcze, niż „Głód", idzie w tym kierunku powieść jego „Misterye". Spokojnie, metodą kronikarską zaczyna nam autor swe opowiadanie: „Około połowy zeszłego lata była mała mieścina nadmorska widownią kilku zupełnie niezwykłych wydarzeń. Jakiś obcy pojawił się w mieście, niejaki Nagel, ciekawy i osobliwy szarlatan, który porobił mnóstwo nadzwyczajnych rzeczy i równie nagle, jak się pojawił, zniknął. Człowieka tego odwiedziła nawet młoda, tajemnicza dama, która Bóg wie z jakiego powodu przybyła i która, niewięcéj jak kilka godzin zaledwie w mieście zabawiwszy, znowu odjechała. Ale to wszystko nie jest początkiem... Początek jest taki"...

Następuje opowieść dziwna, tajemnicza tego przybysza Nagla, który pojawił się w miasteczku po samobójstwie, popełnioném z miłości przez jakiegoś młodego człowieka; popchnięty niewytłómaczoną siłą, zbliża się do Dagny, córki pastora, będącéj przyczyną owego samobójstwa, i po całym szeregu zajść dziwacznych zostaje przez nią popchnięty również do samobójstwa. Jednakowoż nie te zajścia, nie te anegdoty są treścią książki, lecz podkład psychiczny Nagla, którego widzimy raz wśród błyskawic genialności, to wśród oparów szału, a zawsze pod przymusem jakiéjś przemocy wewnętrznéj, z którą się szamoce, łamie, która go popycha do tysiąca czynów dzikich, dziecięcych, rozpaczliwych, wprawia w katusze i halucynacye, a któréj wreszcie ulega. Biedna to dusza—może myślał Hamsun o usymbolizowaniu całéj ludzkości—bezwątpienia chorobliwa, niemniéj chwytająca za serce, głęboka, rozświetlająca swemi błyskawicami niejedną tajemnicę natury naszéj własnéj, która mimo dumnego swego rozumu krytycznego tak często błąka się po manowcach przeczuć, snów, fatalizmów dziedziczności, wrogów wewnętrznych, strasznych a nieujętych, wizyi mar, przed któremi niema ucieczki ni nadziei! Hamsun przedstawia ją nam z taką plastyką, że zostajemy zupełnie ogarnięci jego atmosferą nerwową, groźną, zatrutą, tworzącą wśród rzeczywistości realnéj—świat, jakiś osobliwy, rządzony jakby innemi prawami, mimo to prawdziwy, przerażająco prawdziwy!

Harmonię prawdziwą, wysoce artystyczną osiągnął dotąd Hamsun w jedném tylko dziele. „Pan"—taki jego tytuł—jest po utworach Jakobsena jedyną książką z nowszéj literatury skandynawskiéj,

która spełnia program jéj teoretyków: zespala człowieka z przyrodą w jedną nierozerwalną całość, robi go—wedle ideału Goethego—podobnym bogom i zwierzętom. Jest to najwspanialszy hymn panteistyczny w całém nowszém piśmiennictwie europejskiém, rzecz godna stanąć obok galeryi najmajestatyczniejszych dzieł Boecklina. Tomasz Glan, który rzucił cywilizacyę, aby ze strzelbą myśliwską w ręku spędzić kilka miesięcy w samotni letniéj, na północy, gdzie nieustanny panuje dzień, spisuje urywkami pamiętnik. Jest to jeden krzyk ekstazy. Mniejsza o miłość jego do dziewczyny wiejskiéj, o hypnozę, którą wywiéra,—on nie jest już człowiekiem, zespolony z przyrodą staje się Panem, bogiem lasów, gór i pól, żywiołem. Tém lepiéj rozumie i kocha nieśmiertelną matkę-naturę. „Dzięki za samotną noc—woła w jednym z zapisków, które są prawdziwemi hymnami—za góry, za tę ciemność i szum morza, co szumi téż wskroś mego serca. Dzięki za życie, za oddech, za łaskę życia w tę noc dzisiejszą. Dzięki zanoszę z głębi serca. Słuchaj tam, tam ku wschodowi, słuchaj ku zachodowi, słuchaj! To Bóg wieczny! Ta cisza, co w mojém uchu szemrze, to krew wszechprzyrody, co wre, Bóg, co światem i mną przewodzi. Tam w blasku mego ogniska pajęczynę widzę, słyszę łódź wiosłem pluskającą, zorza wznosi się od północnéj nieba strony. O, na mą duszę nieśmiertelną, i za to serdeczne dzięki, żem ja to jest, który tu siedzi...

Cisza. Sosnowa szyszka spada głucho na ziemię. Szyszka spadła—myślę. Księżyc wysoko na niebie, płomień liże nawpół spalone drewna ogniska i chce zagasnąć. I w późną noc wracam do domu".

Przemawia do nas z tych wierszy, jak z całéj działalności Hamsuna, nie doktryner, lecz poeta i jedna z najbardziéj zajmujących indywidualności duchowych naszych czasów. Jest nią téż Hamsun, jako człowiek. Przedewszystkiém charakter niepodległy — ciska swemu społeczeństwu w oczy także takie powieści, jak „Nowizna", „Redaktor Lygne" [1]), które są doskonałemi satyrami społecznemi, sam zaś prowadzi żywot prawdziwie pustelniczy, kontemplacyi i sztuce poświęcony. Nie spoczywa ono na różach; autor „Głodu" zna widocznie z doświadczenia wszystkie katusze tego demonu—przed kilku miesiącami dopiéro obiegała pisma niemieckie i francuskie odezwa grona miłośników literatury, wzywająca do składki na rzecz Hamsuna, który leżał w Paryżu pogrążony w nędzy i chorobie.

---

[1]) Obie istnieją w przekładzie polskim.

Do harmonii wewnętrznéj po długiéj walce doszedł także znany i naszéj publiczności Arne Garborg. Człowiek ten przeżył w duszy wszystko, co w ostatnich latach przeżyć można było—wszystkie wstrząśnienia i zapasy swéj epoki. Przybył do Chrystyanii, jako naiwny chłopak wiejski, pobożny, bardzo pobożny—i kwestya wiary jest głównym tematem wszystkich jego utworów. Brandezyanizm i krytyka biblijna odebrały mu pierwotną wiarę, szukał jéj więc w nowoczesnym poglądzie przyrodniczym, potém w socyalizmie. Nie znalazł. Pierwszy odpowiedział mu z rezygnacyą Dubois-Reymonda: *Ignoramus et ignorabimus*, drugi—drugi o odpowiedź na pytania metafizyczne nawet się nie kusi. Pierwszy bada tylko zjawiska fizyczne, drugi—socyalne, ale myśli, sensu życia żaden z tych poglądów nie wyjaśnia. Napisał tedy Garborg jedną z najgłębszych i najbardziéj przejmujących książek nowszéj literatury: „Znużone dusze". Jest to historya człowieka „bez dogmatu", którego dramatem jest tylko ów brak, a nie brak woli a nadmiar wiary w miłość—jak u Sienkiewicza. Wrócić więc do wiary w pismo? W opowiadaniu „Spokój" przedstawia nam szukającego szczerze, całą duszą, owéj upragnionéj harmonii. Poszukiwaczem tym jest wprawdzie chłop tylko, lecz Enoch Haave wié, że jego życie i zbawienie zależy od tego, czy znajdzie dla życia kryteryum prawdy. Znajduje tylko niepokój. Znajduje przeciw słowu inne słowo, a przykazania—mówią przeciw życiu. Wpada w konflikt ze sobą, z rodziną—spokój znajduje dopiéro w grobie.

O krok naprzód posuwa się Garborg w ciągu dalszym tych utworów, w dramacie, „Nauczyciel" [1]). Bohatérem jest syn owego chłopa-wątpiciela z „Spokoju", Paweł Haave. Przeżył on już niejedno, zanim sztuka się rozpoczyna. Studyował teologię, lecz nie dokończył, żył dziko, aby zagłuszyć ból zawodu miłosnego, ożenił się potém z przywiązania i uprawia ziemię na folwarku ojcowskim. Ani żona ani praca nie zapełniają jednak jego bytu. I on walczy, i on szuka. Nie spokoju szuka w chrześciaństwie; Chrystus powiedział: Nie przyszedłem, aby pokój zsyłać, lecz miecz... Aby ogień na ziemi niecić, przyszedłem, a jak bardzo pragnę, aby się palił!

Wprzódy uczył Paweł, jak wszyscy skandynawscy pietyści, że żywot ludzki jest od kołyski do grobu pasmem grzechów, a droga

---

[1]) Pt. „Paulus" w wydawnictwie Reclama. Jest to czwarta część szeregu utworów, związanych wspólnością myśli i niektóremi osobami; trzy poprzedzające ją części: „U mamy", „Znużone dusze", „Spokój" mamy w przekładzie polskim. (Utwór ostatni w odcinku „Prawdy").

do zbawienia prowadzi tylko przez pokutę, przez żal i pokutę. Nagle odkrył, że droga ta prawdziwą nie jest, nie czyni człowieka świętobliwszym, nie wzmacnia woli, nie uzbraja przeciw pokusom. Wszak niedawno stanął między nim a żoną obraz innéj dziewczyny, Ewelindy! Nie, wiara sama nie wystarcza. Czynów potrzeba. Cegoż żądał Chrystus od młodzieńca, który doń przyszedł? Żalu? nie. Powiedział: Chcesz być doskonałym, idź, sprzedaj wszystko, co masz, i rozdaj ubogim! To chrześciaństwo — oderwać się od świata, iść za Chrystusem czynami. I Paweł Haave to czyni. Sprzedaje cały swój dobytek i sprowadza katastrofę. „Chrześcianie z nałogu” trwają jak dotąd przy oklepankach żalów i pokut; świętoszkowie obmywają swe dłonie w niewinności; spekulanci nie mogąc odeń już nic dostać, przechodzą na stronę posiadających; mądrzy uważają go za głupca, a wysoka władza—za indywiduum szkodliwe, gdyż znajduje naśladowców. Paweł żyje w wirze, w uniesieniu, nie rozumie swéj żony, zapadającéj coraz mocniéj na chorobę—bólu duszy, a ta jego nie rozumie, szuka po za wszystkiemi jego czynami — kobiéty. Prawdziwie po kobiecemu. I znajduje. Natrafia na scenę, kiedy Paweł błaga Ewelindę o wzajemność — nie dla siebie. Żona podchwytuje tylko słowo, ton i zażywa truciznę. Sępy rzucają się wówczas na ofiarę z całą żarłocznością.

Mniejsza o stronę artystyczną, a właściwie sceniczną utworu. Postać „nauczyciela” ma w sobie prostotę i wielkość. Altruizm, żywotczynnéj miłości—oto, co naucza. A jeżeli popełnia błędy i pada, czegoż to dowodzi? Wszystko przeciw nauczycielowi — jak mówi Björnson—nic przeciw nauce. To samo wypowiada téż autor teoretycznie w rozprawce „Wiara w życie”. Zaczyna wierzyć i ze spokojem pracuje i śpiéwa. Niedawno wyśpiéwał księgę pieśni „Hangtussa”, pełną fantazyi, czarów natury, demonów i dziwów, opowieść o dziewczynie, która stała się jasnowidzącą.

Na nowych torach obraca się tedy Garborg, który kiedyś wraz z starymi był naturalistą i sceptykiem. Wraz z nim odbywa ten proces bardzo wielu, tak starych jak i najmłodszych. Znajduje się między nimi najwybitniejszy liryk duński, Holger Drachman, jak i pisarze, którzy dawniéj hołdowali innym kierunkom. Życie duszy w organicznym związku z całym wszechświatem—zamiast kopiowania zewnętrznej rzeczywistości z tezą lub bez — to główny punkt zwrotny, to źródło, z którego obfitemi strugami twórczość ich płynie. U jednych błyszczy ona, jak czarodziejską tęczą, wszystkiemi barwami młodéj, bogatéj, awanturniczéj fantazyi, która ucieka od świata realnego—sama sobie będąc światem; u drugich—przybiéra

postać widma, płynie tajemnicza, jak siklawa w świetle księżyca, jest mistyką, symbolizmem, wizyonerstwem.

Dzięki pierwszym—odżył teraz nanowo rodzaj literacki, za czasów pozytywizmu wyklęty, co gorzéj—wyśmiany: powieść rycerska, bajka romantyczna. Sophus Michaëlis pisze romans „Kitzwalde", historyę o rycerzu-śpiéwaku, o porwaniu bogdanki, o miłości, krwi, pożodze. Nie jestto świat napoły historyczny, jak u Sienkiewicza, lecz „*art fantaisiste*", bez żadnych pretensyi, o roziskrzenie się brylantu wyobraźni w słońcu bujnéj wesołości młodzieńczéj. Inny romans tegoż autora „Aebelö" daje ludzi, z potężnego typu renesansu, bez poczucia grzechu, ascezy, wędzideł; książka to wyrafinowana, dysząca upojeniem i ekstazą. W tym kierunku pisze też liryk Drachman, a Selma Lagerlöf, młoda Szwedka, wsławiła się cyklem fantastycznych opowieści z początku naszego tysiąclecia, oplatających się girlandą, pełną dzikiego, barwnego, czarodziejskiego kwiecia około romantycznego bohatéra Gösty Berlinga i jego bajecznych towarzyszy. Jest to dytyramb rozkoszy bytu, pełen dźwięków genialnych. Po części do téj grupy należy także Per Hallström. Jest to umysł silny, wygimnastykowany, tak w surowém zamorskiém życiu Nowego Świata, jak i wśród burz namiętności renesansu; siła nie pozbawiła go jednak wdzięku, umie więc tworzyć urocze obrazki w stylu *rococo* i naiwne arabeski z duszy dziecięcéj. A po za wszystkiemi temi zjawiskami, choćby miniaturowemi, widzimy świat inny, nieskończone przestrzenie duszy ludzkiéj. Oto ze zbioru „Zbłąkane ptaki" obrazek: „Czerwone sukno". Hilda skłoniła męża do zamordowania Staffona. Staffon jest obcym, czasy panują groźne, wojenne, morderstwo przeszło więc niespostrzeżone. Lata mijają, na Hildzie ciążą ponuro, i często spogląda ona czarnemi oczyma na szyję męża tam, gdzie ona jest białą. Nareszcie idzie do sędziego i opowiada czyn męża. Następuje egzekucya. Starym zwyczajem rozciąga kat na klocu czerwone sukno kupione z mienia skazańca. Hilda, czarna, wysoka, staje przed suknem jakby je zmierzyć chciała, a mąż przymyka oczy, jakby tęsknił do chwili, w któréj nic już nie będzie widział. Skończyło się—a Hilda patrzy wzburzona, pełna gniewu: mistrz przeciął na dwoje i poplamił sukno, z którego ona chce sobie uszyć kaftan... Historya to zupełnie w duchu XVII wieku, opowiedziana nadzwyczaj kunsztownie. Oto znowu obrazek ze zbioru „Purpura": Brondello improwizuje przed świetném towarzystwem z renesansu; śpiéwa o miłości, o szczęśliwéj miłości. Między słuchaczami znajduje się malarz Luca, który podziwia tylko rytm smukłéj postaci śpiéwaka, linie i światła, a drugi, dworak Salviati, zastanawia się: o kim-to Brondello może śpié-

wać. Zaczyna kombinować: tak... Brondello przybywa z Neapolu... a tu na dworze wiedzą już, że małżonka Scipiona Caraffy okazywała tam dużo względów pewnemu śpiewakowi, i że mąż gotował zemstę. Czyżby to Brondello... się chełpił? Może on uciekł, a w piersi neapolitanki tkwi już sztylet... Kochanek śpiéwa o tęsknocie, rozkoszy powtórnego spotkania... może w téj chwili ona już nie żyje, a na śpiéwaka czatują gdzieś sztylety wysłańców Caraffy? Uprzedzić go? Dworak się waha. Pocóż Brondello jest teraz szczęśliwym, bez złych przeczuć; narazić go więc na trwogę, błądzenie po świecie szerokim, gdzie miłość swą zapomni, zbruka, odśpiéwując swe sonety dla innéj donny—o innem imieniu, które zepsuje jeszcze ich rytm śliczny? Lepszy koniec, godny całéj historyi, sztylet w serce, gdzie o n a jeszcze żyje! Tylko nie bawić się w Opatrzność... Tylko poematu pięknego nie psuć. Lecz cóż to? Brondella wywołują ze sali, list jest dla niego. Wychodzi uśmiéchnięty, w oczekiwaniu szczęśliwéj wieści. Za chwilę rozlega się krzyk — dworak oddycha, to nie głos śpiéwaka... Szczęśliwiec nie miał nawet na to czasu!

Obok tych dusz znajdują się w utworach Hallströma także miękkie, czułe, pełne, tajemnicze. Lecz najczęściéj jest jego muza, jak jego osobisty gust; ze wszystkich pór roku lubi Hallström najwięcéj zimę, porę najfantastyczniejszą, porę iskier śnieżnych i malowideł na szybach, „tych pięknych form około niczego".

Jakaż przestrzeń dzieli tych pisarzy od grupy drugiéj, niezadawalniającéj się ucieczką od szarzyzny życia codziennego, lecz przebywającéj w głębiach przepaści, szukających myśli życia, syntezy jego tajemnic i celów!

Ot, mamy dwóch Kragów, Tomasza i Wilhelma. Posłuchajmy przez chwilę pierwszego.

Gdy nieposłuszny lud izraelski przeciągał pustynią, cierpiał dużo od wężów, których jad zatruwał niezliczone mnóstwo wędrowców. W utrapieniu swém zwrócił się Mojżesz do Pana i błagał o pomoc. I rzekł Pan: „Zrób węża miedzianego, a każdy dotknięty ukąszeniem gadu, niech wzrok doń podnosi. I ból jego się uśmierzy, a w duszę wstąpi pokój!" Lecz prorok rzekł: „Przecz mi rozkazujesz, Panie? Mam-że ludowi węża postawić?" A Pan rzecze: „Tak jest, węża przed nim postaw. Żali pragnąłbyś, by lud wybrany wzrok zwracał raczéj ku gołębicy, lub téż na pawia pstrego?" „A niemamże przynajmniéj węża tego uczynić z szlachetniejszego metalu"— pytał daléj prorok w ździwiéniu swojém. Lecz Pan odrzekł i mówił: „Jakżeż dziwni jesteście, o potomkowie Adama! Dopókiż chcecie pokłony wybijać złotu i srebru? Czyż-to wam kiedykolwiek przy-

niosło szczęście i spokojność? Bądź posłuszny moim słowom; uczyń węża i uczyń go z miedzi. I zawieś go pod nagiém niebem, by rdzą się okrył i śniedzią. Albowiem, powiadam ci, istność człowieka raczéj do miedzi, niż do złota należy, a jeśli lud się wezwyczai do patrzenia w oblicze węża z miedzi, to wówczas przezwycięży także jad srogich żmii i zdolny będzie uwielbiać życie, życie z jego walką i bólem. I dlatego wznieście oczy i uczcie się poznawać miedzi piękność przeczystą!"

Tą pełną myśli trawestacyą opowieści biblijnéj, jakby introdukcyą, zaczyna Tomasz Kral utwór swój „Wąż miedziany" [1]). Trzydziestoletni autor ma za sobą już kilka powieści i dramat w stylu Maeterlincka, indywidualność jego atoli dopiéro w ostatniéj powieści wstępuje całkiem samoistnie. Jest to historya upadku rodu Gröbenów. Pięćdziesięcioletni Fredrik Gröben, człowiek zrosły z ziemią i jéj instynktami, ożenił się z siedmnastoletnią Ulryką, wielkomiejskiém dziecięciem innéj rasy, wesołém, bujném, lekkiém. Nastąpiło życie, pełne stłumionych namiętności i bólów, cichych a bezmiernych bólów, rozświetlone głęboką, dziwną filozofią starego żydowskiego mędrca-lekarza. Ulryka wprawiła męża rychło w grób i wyszła za młodego porucznika, a syna Fredrika wyprawiła przy boku starego wilka morskiego na ocean, skąd się już nie wraca. Ale wrócił, jako pan-mściciel, i skończył, jako bólu swego ofiara. Streścić w krótkości téj książki, pełnéj wspaniałych, obrazów, dziwnego, tajemniczego nastroju—niepodobna, ani jéj idei naczelnéj. Kulminuje ona w trawestacyi biblijnéj u wstępu przytoczonéj, w tém odczuwaniu bólu, jako najwyższéj rozkoszy. I to jest tryumfem ducha ludzkiego, to odczuwanie cierpienia, jako rozkosz intensywną, jako życie spotęgowane, jako pra-przyczynę wywyższenia się człowieczeństwa, gdyż przenika ono każdy fibr i pewną świadomością napełnia molekuł każdy—duszą obdarza.

Innym jest Wilhelm Krag, „ów prawdziwy Krag"—jak niektórzy mówią, dekadent w znaczeniu typowém, tworzący zupełnie w rodzaju znanego rzeźbiarza szwedzkiego Wigelanda i naszego Przybyszewskiego, ale bez ich zwątpienia i satanizmu; mistyk, wizyoner, kwietysta. Pierwiastki te ostatnie przemieszkują zresztą w duszy każdego nowoczesnego pisarza, kto wie, może każdego współczesnego człowieka. Jeden je sobie uświadamia, drugi—tłumi, lub wogóle nie jest zdolny do odczuwania. Gustaw af Geijerstam mówi o tych nastrojach w głębokiéj swéj książce „Głowa Meduzy".

[1]) Po niemiecku u Langena pod niedokładnym tytułem: *Die eherne Schlange.*

Każdy czas ma swój upiór, trwogę budzący: ucieleśnia on wszystko, co się dzieje po za zwodniczym pozorem chwili, wszystko z przeszłości, czego nie sposób się pozbyć; wszystko z teraźniejszości, co dręczy; wszystko z przyszłości, czego nie ominiemy. Komu się ów upiór nareszcie ukazał, ten nosi na całe życie stygmat. Wpatruje się weń błędnie, do oślepnięcia, najlepsze jego siły ulegają paraliżowi. Człowiek o tępych nerwach może się ostatecznie do tego widoku przyzwyczaić; urządzi sobie o ile możności życie wespół wraz z owym upiorem i tak będzie bytował; ale lepsza organizacya—więdnie, ginie. Perseusz mógł Gorgonie głowę uciąć—tylko nie spoglądając w jéj oblicze. Sixten Ebeling twarz tę widział; był młody, wierzył w przyjaźń, ale z czasem opuścił przyjaciela, sprzeniewierzył się, zdradził. Po latach wraca do pomieszkania: wewnątrz tkwi klucz. Skąd? Wchodzi—ma uczucie, że ktoś się tu znajduje. Nagle przychodzi mu na myśl zapomniany przyjaciel, równocześnie słyszy szelest, szum, kroki, i tamten w jakimś nieziemskim blasku przed nim stoi. W kilka dni późniéj otrzymał Sixten paczkę papierów, pamiętniki ex-przyjaciela, który o owéj porze nocnéj rzucił się był pod koła pociągu.

Także stary, uznany pisarz Jonasz Lie, miewa halucynacye i widma. Opowiada o nich w jednéj z ostatnich powieści: „Dyre Rein". Pełną grozy tragikę wnosi tu w zacisze familii szlachty wiejskiéj, żyjącéj w swoim dworku, jak królewięta. Cała rodzina jest wieczorem zebrana, z ciekawością rozmawiają o nowym urzędniku, którego wizyty się spodziewają; wtém najmłodsza córka, Mereta, wzdryga się, truchleje. Tuż przy fortepianie dostrzega nieznaną sobie postać-widmo: to on... ów oczekiwany. I przybył i stał się fatalizmem młodego, naiwnego dziewczęcia. Należał do rodziny ludzi, niezdolnych do życia, uczta życiowa zastawiona, ale nie dla niego. W dzień ślubu kończy téż samobójstwem. Mereta się łamie, a Lie wypowiada ustami jednéj z sióstr, która wyszła za mąż „dobrze", bo bogato: Gdyby wielka miłość mnie się była dostała w udziale, chętnie bym teraz tak leżała w bólu, jak ty, Merete.

Jako fantasta i autor „Jasnowidzącego", Lie działalność pisarską rozpoczął; pisał potém dużo... dużo i realistycznie, reprodukując życiowe prawdy. Obecnie, ogarnięty prądem młodéj generacyi, daje już jedną tylko prawdę i to z siłą i poezyą, prawdę widzianą za pomocą „szóstego zmysłu", „drugiego oblicza"—mistycyzm.

*

* *

Tak się przedstawia w ogólnych zarysach kilka głównych postaci i utworów nowszego ruchu literackiego Skandynawii. Już sam ten pobieżny przegląd wystarczy, aby się przekonać — o czém wspomniano na początku—że drobne to ilościowo piśmiennictwo przedstawia natężony barwami, intensywny odczuciem obraz walk i prądów całéj współczesnéj ludzkości.

Obraz ten zasnuwa się w ostatnich czasach mętami mistycyzmu, z których wyłaniają się coraz fantastyczniejsze postacie wizyi, coraz romantyczniejsze kwiaty symbolizmu. Ale po za bujném, chorobliwie liliowém, dziwacznie poskręcaném bogactwem liści i koron jest łodyga jędrna, zdrowa, silnie tkwiąca w ziemi rodzinnéj. Jest nią duch człowieka, widziany nie zzewnątrz, jak przez szkło naturalizmu, lecz zwewnątrz, z głębi jego własnéj, z punktu centralnego, gdzie jest splot najtajniejszych, najsubtelniejszych, najżywotniejszych jego nerwów bytu. Kto wie, czy tą drogą prędzéj do odkrycia i zsyntetyzowania duszy nie dojdziemy...

Pisarze norwegscy czynią w tym kierunku usiłowania, nacechowane wysoką uczciwością artystyczną i powagą moralną. Wobec nich wydają się młodzi pisarze francuscy arlekinami, a niemieccy—niedołężnymi kopistami. Taki pisarz, jak Knut Hamsun, Arne Garborg, Jonasz Lie, nie tworzy dzieł, lecz je przeżywa, nasyca krwią sercową, nastraja bólem. Nie dla jarmarku księgarskiego tworzą, lecz dla dusz bratnich. Są w prostéj linii potomkami owych skaldów, co lud swój prowadzili, a kończyli w odmętach morza lub wirze płomieni. Lecz *sagi* ich zostaną.

W. F.



MECHANIKA SPOŁECZNA.[1)]

Równowaga estetyczna.

I.

Czém w istocie swéj jest piękno, nie wiemy. Znamy zawsze nie istotę rzeczy, lecz ich odcienie i różnice: światło i mroki, piękno i brzydotę, a także różne ich odmiany. Ale nauka nie może się zadowolić tylko przebiegiem czysto faktycznym, zmysłowym i konkretnym zjawisk, gdyż zaginęłaby w ich powodzi. Musi ona uogólniać, czyli sprowadzać wszystkie zjawiska do wspólnego ich podłoża, do ruchu, energii.

Tak postępuje fizyka i zupełnie w ten sam sposób może, zdaniem naszém, postępować estetyka. Wszystkie objawy piękna mają za podścielisko wspólne ruch nerwowy osób, które je odczuwają. Należy więc odnaleźć związek pomiędzy temi dwoma szeregami: z jednéj strony ruchów obojętnych, z drugiéj—wrażeń piękna. Doświadczenie bezpośrednie pokazuje, iż z pomiędzy ruchów dokonywanych przez człowieka do dziedziny estetyki przedewszystkiém na-

---

1) Porów. naszą „Mechanikę społeczną“ „Ateneum“ (kwiecień 1898).

leżą te, które dążą do zaspokojenia potrzeby płciowéj i do zachowania gatunku.

Toż samo powiedzieć można wogóle o świecie istot ożywionych. „Chęć być pięknym, t. j. wywołania w sobie samym i w innych istotach wrażeń przyjemnych barwą i kształtem ciała nie jest wyłącznie właściwą człowiekowi. Większość zwierząt odczuwa ją i objawia zwłaszcza w epoce miłosnéj. Fakt ten jest szczególnie oczywistym u wielu ptaków, które umieją gładzić swe pióra, roztaczać je z wdziękiem, pokazywać ich barwę błyszczącą. Pod tym względem postępowanie gołębi, pawiów, indyków i t. d. jest typowe“. Niektóre ptaki używają nawet, dla upiększenia się, ozdób sztucznych, szykując w okresie miłosnym rodzaj ogrodu, który zdobią w kwiaty, kamienie barwne, by przyciągnąć samice wrażeniami miłemi dla wzroku [1]).

W dalszym ciągu rozszerzymy znacznie zakres estetyki, tymczasem jednak trzymajmy się mocno tego gruntu piękna — pociągu płciowego—jest on bowiem pierwotny, bezsporny, faktyczny, potwierdzony codziennem doświadczeniem.

W mechanice mamy wciąż do czynienia z tak zwaném „polem sił“, któremu w ekonomii czystéj odpowiada rynek, t. j. zbiór osób współzawodniczących o zysk, przyczém współzawodnictwo ich dąży do pewnéj równowagi i do wytworzenia *maximum* użyteczności gospodarczéj. Wszystkie warunki równowagi ekonomicznéj już zostały przez naukę określone i sprowadzone do ogólnych zasad mechaniki w sposób nie pozostawiający nic prawie do życzenia [2]). W pracy niniejszéj postaramy się zastosować téż same zasady i metody do zjawisk estetycznych.

W ekonomii czystéj mamy do czynienia z t. zw. *homo oeconomicus*, t. j. przedstawiamy sobie postępowaniem analityczném istotę przypuszczalną, kierowaną jedynie dążeniem do zysku, do *maximum* użyteczności gospodarczéj. W estetyce musimy postępować w sposób podobny, t. j. wyobrażamy sobie istotę oderwaną—nazwijmy ją *homo aestheticus*—kierowaną wyłącznie dążeniem do *maximum* piękna, przyjemności estetycznéj. Przyjemność ta, również jak zysk ekonomiczny są to dwa stany duchowe, odpowiadające dwu różnym rodzajom ruchu nerwowego. W jednym i w drugim wypadku spusz-

---

[1]) Letourneau. *La Sociologie d'après l'ethnographie* p. 69—70.
„ *„L'Evolution du mariage et de la famille“* p. 13.

[2]) Porów. „System ekonomi matematycznéj“ „Ateneum“ Grudzień 1897.

czamy zupełnie z oka wszelkie inne właściwości istoty ludzkiéj: jest to konieczny warunek analizy przygotowawczéj, po któréj następuje synteza, łącząca wszystkie te właściwości w jedną całość, odbijającą człowieka rzeczywistego, przy badaniu ogólnéj równowagi społecznéj [1]). Ale przy badaniu równowagi estetycznéj mamy zupełne prawo zajmowania się wyłącznie tak zwanym *homo aestheticus*. Zbiór takich istot walczących o piękno stanowi „pole sił estetycznych“, ktore dąży wciąż do równowagi, wytwarzając *maximum* odnośnéj energii, czyli przyjemności estetycznéj. Otóż najprostszą formą pola sił estetycznych jest każdy bal, wieczór, zabawa tańcująca. Są to agregaty o kształtach mniéj więcéj trwałych, odnajdujące się w każdéj grupie społecznéj i na których siły walczące automatycznie wytwarzają piękno.

Istotnie walka na tego rodzaju zebraniach odbywa się o miłość. Pewna część energii płciowéj młodzieży, która bezpośrednio wyładowania znaleźć nie może, zamienia się automatycznie na kokieteryę, sidła, ozdoby i środki przyciągania płciowego. Weźmy dla przykładu grupę pierwotną mężczyzn i kobiét, związanych obopólnym i wzajemnym pociągiem płciowym, który jest zupełnie nieświadomy, niezależny od niczyjéj woli i który Delboeuf charakteryzuje w sposób następujący: „Ten młodzieniec i ta dziewczyna, dążąc wzajemnie ku sobie, są posłuszni pociągowi, który jest dla nich niejasny, spermatozoidu i jajeczka. Ale bądźcie pewni, iż pociąg ten jest wyraźny dla tych czynników płciowych, które wiedzą, czego im braknie i tego poszukują. W tym celu dają one impulsy odpowiednie muzgowi za pośrednictwem serca i mózg jest posłuszny, nie wiedząc czemu. Czasem wyobraża sobie, iż rozumował, tłómaczy sam sobie swój wybór. Ale w rzeczy saméj był on tylko narzędziem nieświadomém w ręku niedostrzegalnie drobnego robotnika.“[2]).

Ponieważ przyciąganie to może istniéć jednocześnie pomiędzy całym szeregiem mężczyzn i kobiét, to ogólna równowaga całego układu może się wyrazić stanem stosunków powierzchownie obojętnych, gdyż mężczyźni z jednéj strony, a kobiety z drugiéj wzajemnie przeszkadzać sobie będą, albo téż dla tego, że jeden mężczyzna, który silniéj przyciąga kobiety niż inni, wywoła, jako reakcyę, związek tych ostatnich przeciw sobie. Tak samo kobiéta piękniejsza

---

[1]) Porów. „Mechanika społeczna“ „Ateneum“ (Marzec 1898), gdzie naszkicowaliśmy tę ogólną równowagę społeczną.

[2]) Ribot. *La Psychologie des sentiments*. Paryż 1897

wzbudzi przeciw sobie nienawiść innych kobiét. Istotne źródło wszystkich tych uczuć, myśli, postępków i wogóle stanów świadomości zawiera się w każdorazowém ukształtowaniu sił, wiążących wyżéj wskazane czynniki płciowe. W każdym jednak razie równowaga tych sił wyrazi się w stosunkach pozornie obojętnych. Ale przeto ukryta energia żądzy nie przestaje działać; nie znajdując jednak bezpośredniego wyładowania, wyrazi się w ten sposób, iż dana np. kobiéta uszczknie kwiat i wstawi go sobie we włosy, a mężczyzna wymaluje sobie twarz na czerwono. Ona w ten sposób będzie przyciągać mężczyzn, on kobiety. Tak rozpoczyna się pośrednie współzawodnictwo o miłość, za pomocą ozdób. Oczywista rzecz, iż jednostki mające najwięcéj energii wynajdywać będą najpiękniejsze i najbardziéj skomplikowane ozdoby, które w rezultacie zapewnią im największe powodzenie miłosne. Inaczéj mówiąc, energia płciowa, zatamowana ciśnieniem społeczném, szukać będzie ujścia bocznego, w sposób nie znajdujący przeszkód ze strony agregatu, „w sposób dozwolony“, t. j. w pięknie, które jest środkiem pośredniego przyciągania. Inna niewiasta w tymże celu użyje grzebienia, piór, lub wybije sobie przednie zęby, mężczyzna tatuować się będzie, lub przeciągnie przez chrząstkę nosową kawał kości słoniowéj i t. d. Czemu taka lub inna ozdoba wydaje się ludziom piękną, to nas w danéj chwili nie interesuje—jest to kwestya fizyologii i psychologii. Dla mechaniki społecznéj wszystkie ozdoby są równoznaczne, gdyż wszystkie przedstawiają tylko zamianę pewnéj części energii biologicznéj tych osób na pracę potrzebną dla wykonania tych ozdób, zamianę energii możebnéj na czynną i nic więcéj.

Walka o miłość, odbywająca się za pomocą piękna, jest przekształceniem walki o miłość pierwotniejszéj, odbywającéj się za pomocą pięści i gwałtu. Agregat osób tak walczących za pomocą piękna i będący w ruchu podczas pewnego okresu, czyli „sezonu“, dąży wreszcie do równowagi, z podziałem wszystkich kobiét pośród mężczyzn w sposób ściśle prawidłowy. Żeby ten rezultat mógł być osiągnięty, pewna ilość energii biologicznéj osób walczących musi uledz transformacyi, wydzielić się i wcielić w rzeczach pięknych. Naprzód proces ten może być wykonany przez same osoby zainteresowane, późniéj energia tak wydzielona przechodzi do osobnych aparatów społecznych, złożonych z rzemieślników i artystów, którzy ją przetwarzają, materyalizują—i tak powstaje i rozwija się sztuka.

Pierwszym przejawem sztuki są ozdoby ciała, które pierwotnie służą za środki przyciągania płciowego, a następnie otrzymują, jak to w dalszym ciągu zobaczymy, i inne przeznaczenie. By wydawać

się pięknym, człowiek pierwotny używa środków najrozmaitszych, które mogą być podzielone na trzy następujące kategorye: [1]) korzystając ze swéj nagości, człowiek malował i tatuował swe ciało. Była to faza pierwotna ozdób, która przetrwała zresztą dotychczas pod najrozmaitszemi postaciami nawet u ludów cywilizowanych. W całéj Melanezyi, Tasmanii i Papuazyi kolor czerwony najchętniéj używany jest w tym celu, jak zresztą i u większości innych grup niekulturalnych. Pochodzenie płciowe téj produkcyi może być skonstatowane na językach słowiańskich, gdzie często piękno i kolor czerwony oznaczane są tym samym wyrazem (krasny).

Prawdopodobnie człowiek pierwotny czuł największy pociąg do kobiét zdrowych, o policzkach czerwonych, a następnie pociąg ten, już charakteru estetycznego, roztoczył się i na wszystkie wogóle przedmioty koloru czerwonego. [1]) Mając się udać z wizytą lub do tańca, eleganci australijscy rysują sobie na piersi i na udach linie białe i czerwone, które się krzyżują. W Melanezyi, Tasmanii, Polinezyi tatuowanie uważane jest za jedną z najpiękniejszych ozdób, zwłaszcza w téj ostatniéj, gdzie się praktykuje na wielką skalę i dosięgło stopnia znacznego artyzmu [2]). W Ameryce jest ono mniéj używane, ale u Eskimosów znowu jest mocno rozpowszechnione. W Afryce, również jak i w Ameryce, ustępuje ono przed malowawaniem ciała, głównie na czerwono, ale często téż w Afryce—na kolor niebieski. W Azyi zwyczaj barwienia pewnych części oblicza i ciała dotychczas się zachował. W Europie istniał dawniéj u Celtów, u Illiryjczyków, u Traków, u Piktów, Bretończyków i Germa-

---

[1]) Różnica między pięknem a brzydkiem związana była—w kolorach, liściach, kształtach etc. z tem co było płciowo przyciągającem lub odpychającem. Kolor czerwony dotychczas jest niesłychanie pociągającym dla wszystkich mieszkańców wysp oceanu Wielkiego, a był także używany, jako ozdoba, przez mieszkańców jaskiń Francyi południowéj. Dodać należy, iż zamiłowanie do barw jaskrawych jest niesłychanie rozwinięte u Polinezyjczyków, odznaczających się zarazem wyuzdaną zmysłowością. Zauważmy wreszcie, iż jaskrawe zabarwienie skóry u małp odegrało śród nich—zdaniem Darwina—wielką rolę w doborze płciowym. Co się tyczy tatuowania i czesania włosów, to one—zdaniem tegoż autora — mogły być u człowieka naśladownictwem sztucznem ozdób naturalnych małp, jak różnych odcieni i pręg skóry ich twarzy i ciała, różnego rozkładu włosów na głowie i t. d.. Por. Darwin *The descent of Man* II p. 312.

[2]) Joest: „*Taetowiren, Narbenzeichnen und Körperbemalen*". Autor jest zdania, iż „niema na świecie ani jednego narodu ani plemienia, gdzie nie istniałby dawniéj lub nie pozostał dotychczas zwyczaj malowania lub tatuowania ciała" (str. 3).

nów, którzy malowali sobie ciało na niebiesko. W Rzymie pierwotnym tryumfatorowie malowali się na czerwono. (Był to przeżytek!) U Illiryjczyków, Traków, Piktów istniał téż zwyczaj tatuowania się. Przeżytki tego upodobania odnaleźć można dotychczas śród ludności więzień, armii i marynarki. Nareszcie zwyczaj barwienia i pudrowania twarzy uważany jest dotychczas za ozdobę w społeczeństwach najbardziéj ucywilizowanych. Przeżytki te są jedną z form prawa niezniszczalności energii, która podlega ciągłym przemianom pod wpływem warunków, ale sama nie zanika. Tak zamiłowanie do barw, pudru, tatuowania zamieniło się z czasem, gdy odzież pod wpływem zmiany klimatu stała się konieczną, na zamiłowanie do ozdób zewnętrznych i przenośnych. Przedtém jednak człowiek przeszedł fazę innych jeszcze ozdób, które polegały 2) na ranach i deformacyach ciała zadawanych w celach estetycznych. Tak Australczycy wybijają sobie w tym celu przednie zęby, albo téż przedziurawiają sobie chrząstkę nosową, by wstawić kawałek kości słoniowéj, lub muszlę. Pupuasi w tymże celu okrutnie przebijają sobie uszy. Ten ostatni zwyczaj w łagodniejszéj formie rozpowszechniony jest na całéj ziemi, nie wyłączając Europy współczesnéj. Ozdoby nosowe odnaleźć się dają także w Ameryce, w Azyi, w Afryce. Zamiłowanie piękna doprowadziło wreszcie wiele grup ludzkich do dziurawienia sobie warg (np. Botokudów i wszystkie ludy zachodnio-północne Ameryki). W otwór taki wstawiane są najrozmaitsze ozdoby. W Afryce tenże zwyczaj istnieje na całém pobrzeżu Nigru. Kobiéty wstawiają sobie w wargę dolną kółko miedziane, starając się następnie o wydłużenie symetryczne wargi górnéj. Dążą w ten sposób do nadania twarzy wyrazu prawdziwego ryja. Jest rzeczą prawdopodobną, iż chcą w ten sposób stać się podobnemi do pewnych zwierząt uważanych za piękne.

Czaszka dzieci nowonarodzonych podlegała i podlega dotychczas znacznym deformacyom w celach estetycznych u wielu ludów [1]), również jak atropie stóp kobiét chińskich, któréj Chińczycy

---

[1]) Zwyczaj ten nie został wykryty dotychczas tylko w Afryce i w Australii; w innych częściach świata wszędzie był rozpowszechniony. „W Europie — pisze Delisle (zob. „*Déformations ethniques*“ w „*Dictionnaire des sciences anthropologiques*“ p. 371)—sztuczne deformacye czaszki musiały być nader rozpowszechnione. Scaliger w XVI w. wspomina o istnieniu tego zwyczaju u Genueńczyków, Spigiel— u Belgijczyków, Niemców, Rosyan; Andri — u Flamandczyków i u Paryżan“. Dotychczas ślady tego zwyczaju wykryte zostały w Rumunii, w Rosyi, we Francyi, w Anglii (Flower). Moda ta miała prawdopodobnie pochodzenie estetyczne: jeżeli

przypisują znaczenie erotyczne. Inne poranienia, jak obrzezanie np., mogły także z początku mieć znaczenie estetyczne, późniéj dopiéro religia je opanowała dla swych celów, skłonność do poranień zanika jednak z czasem, również jak popęd do malowania się i tatuowania, i wówczas następuje trzecia faza w rozwoju ozdób 3) przenośnych, jak biżuterya, odzież o kolorach jaskrawych, czesanie włosów; ozdoby te rozwijają się w sposób potężny i często wprost fantastyczny. Tak wymazany błotem przeciw ukąszeniom owadów, Buszman, przykryty płaszczem skórzanym, wplata sobie we włosy pióra i ogony zajęcze, zawiesza na rękach, na nogach, na szyi zęby, pazury, rogi zabitych zwierząt, muszle i amulety. Australczycy, chodzący w wielu miejscowościach prawie nago, otaczają sobie tylko biodra pasem z trawy, kory i włosów. Od niepogody bronią się płaszczem z psiéj skóry i przy téj nędzy tak są wrażliwi na piękno, iż do włosów wymalowanych na czerwono, wstawiają pióra kakadu, na szyi zawieszają sznury muszli, zębów, na ręce i nogi wkładają bransolety. Mieszkańcy Ziemi Ognistéj chodzą nago, mając tylko na ramieniu skórę lwa morskiego, którą się bronią od wiatru, ale i oni zawieszają na sobie klucze i blachy znalezione, muszle, raki i t. d.

Polinezyjczycy, u których kultura jest wyżéj rozwiniętą, należą do narodów, które najpiękniéj się odziewają, doszedłszy już do sztuki drapowania się [1]). Melanezyjczycy nie odznaczają się gustem tak wybrednym, ale takie mają zamiłowanie, do ozdób, iż noszą zwykle na sobie całe swe mienie. Zwłaszcza sztuka czesania włosów doszła u mieszkańców wysp oceanu Wschodniego do znacznego rozwoju. Polinezyjczycy budują wielkie struktury z włosów, używając ku temu wysokich grzebieni, ozdobionych piórami. Melanezyjczycy noszą wielką masę włosów w formie turbanu; dla nadania trwałości tym budowom używają węgla i wapna. Toż samo w Afryce. „Kobiéty w Loango—pisze Ratzel—dbają o zdobienie włosów swych mężów i używają nieraz lat kilku na ich trefienie; swą formą niezwykłą czupryny te wynagradzają wówczas ich starania“. Dla nadania trwałości tym budowom używają gliny i krowiego kału. Struktury te dosięgają często pół metra wysokości. Plemiona północne mówiące językami bantu noszą nader skomplikowane peruki, w które wstawiają laski ozdobione piórami. Brodę spla-

np. w jakimś narodzie klasa wyższa składała się z długogłowców, to krótkogłowcy klasy niższej starali się sztucznie wydłużyć czaszki swych dzieci nowonarodzonych, by je uczynić w ten sposób piękniejszemi.

[1]) Ratzel *Völkerkunde*.

tają w warkocze. Natomiast kobiety strzygą sobie włosy, a nawet golą głowy. Na zachodzie Afryki kobiety także urządzają sobie niesłychane coiffury. Głowa ich pokrytą jest jakby jagodami ciemnych winogron, zrobionemi z włosów. U czerwonoskórych spotyka się często tonzura, peruki, albo téż inne ozdoby, często fantastyczne, dochodzące do $1^1/_2$ metra wysokości i wymagające całego roku dla swego przygotowania.

W Gwianie włosy czesane są kręgiem, nakształt aureoli otaczającéj głowę świętych. Wszystkie fantastyczne sposoby czesania włosów, istniejące dotychczas i ich malowania, peruki męzkie i kobiece—wszystko to są przeżytki pierwocin ludzkości. Zresztą trzy formy ozdób powyżéj wyliczone mogą współistnieć i najczęściéj téż współistnieją. W Europie współczesnéj przewagę ostateczną mają ozdoby trzeciego rodzaju: biżuterye, mody zmienne odzieży, *coiffure*'y i t. d.. Warunkiem koniecznym dla ich powstania są współczesne pola sił estetycznych, jak bale, wieczory, zabawy i t. d. Odbywa się zupełnie toż samo, co na zebraniach pierwotnych, powyżéj przedstawionych: walka o miłość i dążenie agregatu do równowagi, tylko że panowie i panie zebrani zamiast sami sobie przyrządzać odnośne ozdoby, jak to się działo w społeczeństwach najpierwotniejszych, czynić to będą za pośrednictwem innych osób, jak krawców, krawcowych, modystek, którym wyrażają swe gusta i dają środki dla ich uskutecznienia. Weźmy szereg bateryi elektrycznéj, w któréj energia chemiczna zamienia się na prąd, ten ostatni zaś związany jest z aparatem galwanoplastycznym, w którym prąd ten wykonywa różne prace, a będziemy mieli uprzytomnienie procesu estetycznego. Jest to tylko mniéj lub więcéj złożona transformacya energii.

W przytoczonych powyżéj przykładach ozdób objawiały się nietylko potrzeby czysto estetyczne, t. j. nie służyły one tylko za środki przyciągania płciowego, ale także wszelkie inne potrzeby społeczne, które z estetyczną najściśléj są związane. Zastanówmy się nad tym związkiem, nad stosunkiem piękna do innych potrzeb ludzkich, ekonomicznych, moralnych, umysłowych i t. d.

Zasadnicze prawo ekonomii matematycznéj, które można zresztą wyprowadzić z równań ruchu Lagrange'a [1]), jest następujące: równowaga w zaspokojeniu potrzeb ekonomicznych jednostki lub społeczeństwa ma miejsce tylko wówczas, gdy napięcie potrzeb

[1]) Por. „Mechanikę społeczną" l. c.

ostatnio zaspokojonych w stosunku do wydatków (energii lub pieniędzy) jest jednakowe dla wszystkich. Codzienne doświadczenie poucza nas o słuszności tego prawa, każdy z nas, układając sobie budżet, zmienia rozmaite jego pozycye aż do chwili, gdy wszystkie nasze potrzeby elementarne są jednakowo zaspokojone lub niezaspokojone. Prawo to może być roztoczone nietylko na potrzeby ekonomiczne, ale na wszelkie inne bez wyjątku, estetyczne, moralne, umysłowe i t. d.

Istota nasza tylko wówczas jest w równowadze, gdy wszystkie nasze potrzeby elementarne, z każdego punktu widzenia, są jednakowo zaspokojone. Dopóki to nie nastąpi, energia nasza życiowa podlega ciągłym przemianom: potrzeby ekonomiczne zamieniają się na moralne, te ostatnie na umysłowe lub estetyczne i odwrotnie. Wiadomo np., iż z polepszeniem lub pogorszeniem naszego położenia materyalnego wszystkie nasze poglądy i przekonania etyczne, estetyczne i t. d. odpowiednio się zmieniają, i odwrotnie zmiana poglądów etycznych lub estetycznych wywołuje odpowiednią zmianę naszych warunków materyalnych: ze zmianą smaku lub mody, kupujemy inną odzież niż dawniéj. Wszystko to odbywa się w sposób automatyczny, na zasadzie tegoż samego prawa, na zasadzie którego woda znajdująca się w kilku naczyniach, chociażby różnéj formy i objętości, połączonych rurkami, dąży do jednego wspólnego poziomu.

Taką jest właśnie zależność energii estetycznéj od innych form energii w jednostce i społeczeństwie, ekonomicznéj, politycznéj, umysłowéj i t. d.; wszystkie one stanowią tylko odmiany téj saméj energii biologicznéj. Oto, czemu każda zmiana zachodząca w jednéj dziedzinie życia bądź jednostki bądź grupy jednostek natychmiast odbijają się na wszystkich pozostałych dziedzinach ich życia. Każdy z nas znajduje się wciąż w stanie równowagi ruchoméj—w ten właśnie sposób można określić życie. Niechaj kilka naczyń różnéj objętości, różnych kształtów i różnego zabarwienia, ale połączonych rurkami, uprzytomni nam różne zbiorniki naszéj energii życiowéj. Przypuśćmy, iż ktoś bez ustanku odlewa wodę z jednych, a dolewa do drugich, tak żeby ona, dążąc wciąż do wspólnego poziomu, nigdy go nie osiągała. Oczywista rzecz, iż zawartość każdego z naczyń jest wciąż w ruchu i miesza się wciąż z zawartością innych. Przykład ten uprzytomnia nam zgruba, w jaki sposób energia estetyczna łączy się u nas z energią polityczną, moralną, ekonomiczną lub odwrotnie Oto, czemu każde zjawisko i każdy stan duchowy, prawie bez wyjątku, mogą być źródłem piękna dla każdego z nas — będzie to zależéć od ogólnych warunków naszéj równowagi biologicznéj.

Ponieważ każdy stan duchowy, prawie bez wyjątku, może się zamienić na piękno, więc pole sił estetycznych znacznie się rozszerza i mając swój początek w agregatach przedstawiających walkę płciową, ogarnia z czasem wszelkie prawie bez wyjątku funkcye społeczne.

Tak energia estetyczna może się zamienić częściowo na moralną: służąc naprzód do zbliżenia osób różnych płci, może z czasem służyć do zbliżenia osób téj samej płci—może wyrażać nietylko miłość, ale i przyjaźń, albo też godność osobistą. Dziki—i nietylko dziki—używa w tym celu ozdób. Energia estetyczna mogła też od samego początku społeczeństw ludzkich służyć za środek przyciągania politycznego lub ekonomicznego: berła kamienne (*batons de cmmandement*) statki i oręże znajdowane, jako resztki życia ludów przedhistorycznych — dostarczają odpowiednich po temu dowodów.

Byłoby nadzwyczaj trudném odtworzyć całą drogę przemian, które przebyć musiała energia biologiczna, by wydać każde z zjawisk estetycznych. To tylko badania indukcyjne mogą ustanowić z większą lub mniejszą ścisłością tę genealogię. Dla celów naszéj pracy wystarczy kilka przykładów takich transformacyi. Człowiek odziedziczył — jak widzieliśmy — po swych przodkach zwierzęcych zamiłowanie do kolorów jaskrawych i do pewnych form zjawisk, które uważał za piękne. Pociąg płciowy wskazywał, co jest pięknem, przyciągającém, a co brzydkiém, odpychającém. W ten sposób wywierał się dobór płciowy. Zwierzęta jednak otrzymywały od natury ozdoby gotowe, przyrodzone, człowiek zaś musiał je sobie sztucznie przygotowywać. Czesał się, malował sobie twarz i ciało, ranił i tatuował, naśladując tém wszystkiém ozdoby naturalne zwierząt. Darwin słusznie wskazuje na to, iż jaskrawe zabarwienie różnych części ciała, a zwłaszcza twarzy, jak również rozmaite rozkłady włosów na głowach małp grały ważną rolę w ich doborze płciowym—autor szuka nawet w tym rozkładzie włosów, w pręgach i fałdach barwnéj twarzy mandryla, przygotowania do sztucznych *coiffures* ludzkich, do tatuowania i deformacyi ciała, które stanowią zwyczaj estetyczny, przyjęty u większości ludów pierwotnych. Z początku człowiek się malował, ranił lub tatuował, by się podobać osobom drugiéj płci, późniéj i dla wszelkich innych celów społecznych. Tak np. użycie odzieży ma prawdopodobnie pochodzenie estetyczne [1]). Klimat epoki trzecio-

[1]) Małpy na Sumatrze chętnie zdobią się ukradzionemi kawałkami jaskrawych materyi lub błyskotkami metalicznemi, nie są jednak stałe i szybko rzucają te ozdoby. Por. „*Revue Scientifique*" 28 sierpnia 1886 (art. p. Morain). Takie

rzędowéj nie wywoływał jéj potrzeby; używano wówczas, jak ozdób, jako trofeów, skór zwierząt zabitych, które zawieszano na ramieniu; albo téż pasów z roślin, muszli lub piór, jak to czynią dotychczas niektórzy dzicy, żyjący w klimacie podzwrotnikowym. To dopiéro nastąpienie epoki lodnikowéj i użycie ognia, które uczyniło człowieka bardziéj wrażliwym na zimno, zrobiły z odzieży przedmiot pierwszorzędnéj potrzeby. Myśl okrywania się w celach estetycznych była zupełnie gotową, to téż można ją było skierować i ku celom ekonomicznym. Była to zwykła przemiana energii biologicznéj; możemy nawet wyśledzić jéj fazy następne. Zwyczaj noszenia odzieży wywołał, jako skutek, rozwój uczucia wstydliwości [1]). Mamy więc zamianę potrzeby estetycznéj na ekonomiczną, téj ostatniéj zaś na moralną. Również rany, które człowiek sobie zadawał, z początku w celach podobania się osobom drugiéj płci, np. dla wstawienia ozdób nosowych lub wargowych, mogły z czasem nabrać zupełnie innego znaczenia. Człowiek mógł się ranić dla celów moralnych lub religijnych, by zaznaczyć swą godność osobistą lub cierpieniami przebytemi wywołać podziw bliźnich. Przyciąganie płciowe zamieniło się tu na przyciąganie społeczne, miłość na przyjaźń lub godność osobistą, również jak ciepło zamienia się przy pewnych warunkach na światło i elektryczność lub odwrotnie.

Energia estetyczna może także nie pozostawać, jako zwykły stan duchowy, wewnątrz człowieka, lecz materyalizować się na zewnątrz w orężach, w statkach, w mieszkaniu, które stają się przedmiotami zdobienia. Forma, jaką energia estetyczna przybiéra w tych razach, zależy każdorazowo od rozwoju ekonomicznego. Tak człowiek pierwotny musiał się zadawalać w swych ozdobach, dzięki warunkom technicznym, tylko rysowaniem linii prostych lub łamanych, nie znając ani koła, ani linii spiralnéj. Cartaillac [2]) objaśnia to zjawisko w ten sposób, iż jedyném narzędziem człowieka pierwotnego był krzemień, wskazuje téż na to, iż niezgrabna forma wytwo-

---

mogło być pochodzenie odzieży człowieka, który tylko odznaczał się większą pod tym względem stałością. Hellwald (*Die menschliche Familie* p. 83) także jest zdania, iż pochodzenie odzieży jest estetyczne. „Ozdoba—powiada autor—jest starszą od odzieży. Człowiek pierwotny może być pomyślany tylko jako nagi i nie znający wstydu. Ale i jego potomkowie, obeznani już z orężami, należą jeszcze do narodów bezwstydnych. Zdobili już, rozumie się, swe ciała na najrozmaitsze sposoby, ale z początku nie mieli odzieży i nawet wówczas, gdy ją wynaleźli, używali jej tylko, jako ozdoby odświętnej”.

[1]) Lippert *Kulturgeschichte.*

[2]) Cartaillac *La France préhistorique* p. 66.

rów tego wymagała. Pojawienie się linii krzywych w ornamentyce wskazuje na wyższy rozwój ekonomiczny i techniczny: one przeważają dopiero w późniejszych epokach okresów przedhistorycznych, gdy znane już były kultura roślin, hodowla bydła i metalurgia. Estetyka ozdób rozwinęła się głównie pod wpływem sztuki plecenia i garncarstwa, gdyż z jednéj strony rośliny, z drugiéj mięka glina z łatwością były posłuszne palcom artysty [1]).

II.

Człowiek może być rozpatrywany, jako układ materyalny, zaopatrzony w energię życiową. W razie, gdy wywołujemy w nim jakieś odkształcenie przez wpływy zewnętrzne, stara się on, narówni z innymi układami, uwolnić się odeń i powrócić do stanu pierwotnego równowagi. W ten sposób się dzieje, iż wszelkie wrażenie, odczute przez człowieka, wywoławszy w nim odpowiednie wstrząśnienie nerwowe i przeszedłszy przez cały szereg przemian wewnętrznych, biologicznych, dąży do wyłonienia się na zewnątrz szeregiem ruchów mniéj więcéj refleksyjnych, poczem cały system powraca do równowagi. Ponieważ reakcya organizmu musi być równą akcyi przyczyny zewnętrznéj, więc cały szereg przemian wewnętrznych energii życiowéj jest zastosowany do szeregu przemian zewnętrznych energii kosmicznéj, które wyrażają się w przyczynie wywołującéj wrażenie. Przemiany wewnętrzne energii przebiegają pod wpływem przyczyn zewnętrznych cykl następujący: naprzód ma miejsce wrażenie, które jest zastosowaniem najogólniejszém i najmniéj ścisłém organizmu ku siłom zewnętrznym, następnie uczucie, które jest zastosowaniem już bardziéj specyalném, ale jeszcze nie związaném, nie ścisłém, następnie myśli, które są zastosowaniem coraz szczegółowszém i ściślejszém i wreszcie czyn, który jest reakcyą zupełną, ostateczną, energii biologicznéj i na którym cały szereg jéj przemian się kończy. Czyn może zresztą następować bezpośrednio po wrażeniu (odruch), albo téż po fazie uczuciowéj, a nie tylko po fazie myślowéj. Życie polega na szeregu nieprzerwanym cyklów mniéj lub więcéj zupełnych przemiany energii biologicznéj, cyklów, które współistnieją lub następują po sobie i które dochodzą

---

[1]) *„Origin and development of form and ornement in ceramic art"* in *„Fort Report"* a także G. Perrot et Ch. Chipier: *„Histoire de l'art dans l'antiquité"* vol. II. p. 26.

każdy do równowagi chwilowéj. Można zresztą rozpatrywać także pracę codzienną, która się rozpoczyna i kończy na śnie, t. j. na stanie równowagi względnéj, jako cykl bardziéj obszerny przemian energii. Nic zresztą nie przeszkadza, byśmy obierali cykle obszerniejsze jeszcze: tygodniowe, miesięczne, roczne. Każdy z nich rozpoczyna się i kończy na stanie względnéj równowagi — t. j. w warunkach normalnych organizm dąży, narówni z innemi układami do powrotu, do stanu pierwotnego, po przejściu całego szeregu przekształceń energii życiowéj. Jeżeli ilość energii nie przekracza téj, która jest niezbędna dla podtrzymania życia, cykl przemian może być uważany za czysto ekonomiczny; jeżeli przekracza, to nadmiar przybiera zwykle formę energii estetycznéj, która towarzyszy przemianom energii czysto ekonomicznym i powtarza w głównych rysach ich fazy, zachowując wciąż swój charakter nieużyteczności, zbytku. To ostatnie twierdzenie może zresztą być zastosowane tylko do cyklów przemian energii nader szczupłych, dziennych, miesięcznych lub rocznych; gdy natomiast rozpatrujemy cykle obszerniejsze, jak np. życie całego pokolenia, lub kilku pokoleń, energia estetyczna traci swój charakter zbytkowy i nabiera czysto utylitarnego: nie mówiąc już o wypoczynku niezbędnym i zbawiennym, którego dostarcza pracy nerwów i mięśni, jest ona—jak to w dalszym ciągu zobaczymy — potężném narzędziem doboru płciowego i antropotechniki.

Możemy naturalnie rozpatrywać, jako system przechodzący przez szereg przemian, nietylko jednostkę oddzielną, ale także cały ich agregat. Widzieliśmy powyżéj, iż szereg przemian energii, który następuje po wstrząśnieniu nerwowém, jest następujący: wrażenia, uczucia, myśli, czyny. Te ostatnie są to skurcze mięśni, ruchy członków, gesta, krzyki, słowa, które są tylko ruchami gardła. Otóż jeżeli nadmiaru energii ponad *minimum* niezbędne dla zachowania życia niema, to cykl przemian jest prosty: rozpoczyna się wrażeniem i kończy czynem. Jeżeli natomiast nadmiar wskazany istnieje, to cykl przemian staje się rytmicznym: przebiegłszy szereg wskazany, energia przebiega go następnie w porządku odwrotnym, poczém może, jeżeli nadmiar jest dość wielki, powtórzyć pierwszy cykl, ale w sposób daleko słabszy, potém drugi i t. d. w sposób coraz słabszy, aż do spoczynku zupełnego, t. j. do stanu równowagi.

Tak woda, wstrząśnięta w naczyniu dość silnie, wraca do spokoju tylko po szeregu wahań rytmicznych. Ruch wahadłowy jest powszechny w przyrodzie całéj, stosując się nietylko do jednostek, ale i do układów społecznych. Cykl przemian ich energii—chociaż-

by najobszerniejszy — gdy ona jest dość obfitą, nie zatrzymuje się, doszedłszy do czynów, które stanowią życie realne grupy, lecz przebiega w kierunku odwrotnym całą drabinę przebytą, począwszy od czynu utylitarnego, po przez myśl i uczucie aż do wrażenia (jest to faza filozoficzna i idealistyczna, która następuje wnet po cyklu realnym) i następnie przebiega szereg przemian w porządku pierwotnym, od wrażenia aż do czynu, który może się materyalizować i wcielać w dziełach sztuki (jest to faza artystyczna, w cyklu rytmicznym przemian energii życiowéj). Wspominaliśmy już, że czyn może nastąpić po wrażeniu i uczuciu, omijając zupełnie lub częściowo myśl, dlatego i faza artystyczna przemian energii może téż nastąpić po fazie realnéj, z pominięciem fazy filozoficznéj. Rozwój sztuki udziela nam wielu pod tym względem przykładów, jakkolwiek znowu w innych razach faza artystyczna może następować dopiéro po fazie filozoficznéj.

Cykl niezupełny — prosty i odwrotny przemian energii przedstawia się więc, jak następuje: wrażenie, uczucie, czyn (realny)— uczucie, wrażenie,—uczucie, czyn (produkcya artystyczna). Ten cykl elementarny, w którym refleksya, myśl—mogą nie odgrywać żadnéj roli, jest charakterystyczny dla śpiewu ptaków, a także do pewnego stopnia dla śpiéwu, muzyki i tańca ludzkiego. Inne sztuki są natomiast raczéj zakończeniem cyklów zupełnych, w których refleksya mniéj więcéj świadoma wyprzedza wykonanie artystyczne; w poezyi, a szczególniéj w niektórych jéj rodzajach, jak dramat, może ona nawet odgrywać rolę przeważającą. Oto, czemu tragedya starożytna rozwijała się równolegle z filozofią, gdy inne sztuki mogą być od niéj mniéj więcéj niezależne. W każdym razie przekształcenia bezpośrednie energii, za pomocą których agregat społeczny oddziaływa na wpływy otoczenia, wyprzedzają zawsze cykle wtórne, które są zwykle echem tamtych.

Szmery natury otaczającéj wywołują w człowieku szereg przemian energii bardzo prostych, które mogą polegać tylko na wrażeniach i uczuciach niejasnych, wyładowujących się na zewnątrz ruchami odtwarzającemi te szmery zewnętrzne. Te ostatnie ze względu na swą nieużyteczność mogą od początku stanowić rodzaj produkcyi artystycznéj. Tak powstały śpiéw i muzyka. Śpiéw może zresztą miéć także pochodzenie utylitarne w krzykach wojennych, w groźbach, w prośbach i pieszczotach miłosnych, ale wszystkie te wyładowania energii mogą dać miejsce cyklom odwrotnym, coraz bardziéj skomplikowanym, które dochodzą wreszcie do produkcyi artystycznéj, nawet u ptaków i u innych zwierząt. Śpiew ptaków

dochodzi często do wysokiego artyzmu, wykonywają one nieraz całe koncerty. U wielkich małp znajdujemy już w stanie zaczątkowym muzykę instrumentalną i wokalną. Savage opowiada, iż szympanse schodzą się nieraz w liczbie 20 do 50, by urządzić rodzaj koncertu, uderzając w puste wewnątrz drzewa trzymanemi przez się patykami.

Podobnież człowiek pierwotny. Wszelkie silniejsze wrażenie wyraża się u niego odruchami, zwłaszcza gardła, skąd pochodzą bądź krzyki, bądź téż zmiany timbru głosu. Różne modulacye głosowe stają się w ten sposób środkami dla wyrażenia życia zmysłowega i uczuciowego. Muzyka wokalna, połączona z początku z językiem zwykłym, oddzieliła się następnie, ze specyalném przeznaczeniem wyrażania uczuć silnych [1]). Śpiew sprowadza się u ludów pierwotnych do monotonnéj recytacyi. Pewne tony powtarzane zostają bez końca, bez zachowania odcieni. Często śpiewowi temu towarzyszą ruchy ciała lub taniec; może on także być przeplatany szmerami, imitacyą krzyku zwierząt, szczekania psów i t. d. Najczęściéj jednak (N. Zelandya, Taiti i t. d.) śpiew ten towarzyszy opowieści wojennéj, miłosnéj lub legendzie kosmologicznéj.

Co się tyczy muzyki ludzkiéj to jéj zaczątki widzieliśmy w muzyce małp wyżéj wspomnianych; tylko zamiast uderzać w drzewo puste, człowiek uderzał w bęben, który był początkowo cylindrem bambusowym, zamkniętym z jednego końca, albo téż pniem umyślnie wydrążonym. Następnie zaczęto używać skór zwierzęcych dla uzupełnienia tych narzędzi pierwotnych, i tak pojawił się prawdziwy bęben tam-tam, który odnaleźć można u wszystkich ludów, za wyjątkiem Tasmańczyków, Australczyków i mieszkańców Ziemi Ognistéj. Z tam-tam'u pochodzą inne instrumenty bardziéj złożone, jak gong chińczyków, jak harmonijka drewniana lub metaliczna i t. d. [2]). Po bębnie, który wywoływał dźwięki prawie muzykalne i służył dla zaznaczania rytmu, wynaleziono instrumenty dęte, piszczałki, trąbki, flety, z początku nader pierwotne, nie wydające więcéj nad dwa lub trzy tony. Piszczałki wyrabiane były często z kości zwierzęcych, z kawałków drzewa, z trzciny i t. d.

---

[1]) Fr. Ratzel: „*Völkerkunde*“ II p. 30 a także Letourneau l. c.

[2]) Tu należą także grzechotki, które A. Lang odnajduje nietylko w Anglii, ale i u Zuniów amerykańskich, u Kamilarsów australijskich, u Maori nowozelandzkich, u Buszmanów południowéj Afryki i u Greków starożytnych w mysteryach religijnych tych narodów. „*Custon and Myth*“ (Bullroarer). Washington Mattews wskazuje na użycie podobnego instrumentu w misteryi Nowochasów „*The mountain chant*“ (*Fifth Report*).

Na tych instrumentach można było wykonywać oczywiście tylko melodye bardzo proste, i dopiéro z użyciem strun pole muzyki instrumentalnéj nader się rozwinęło.

Rasy najniższe (jak Polinezyjczycy, Melanezyjczycy) nie znają strun [1]). Ojczyzną ich jest Azya indyjska i semicka. Stąd przeszły do Egiptu, a następnie do Europy, rozpowszechniły się także po całym kontynencie afrykańskim w stopniach jednak nader rozmaitych. W miarę tego jak spuszczamy się ku południowi Afryki, instrumenty muzyczne i muzyka sama stają się coraz prostsze. Jeżeli na północy i w środku Afryki mieszkańcy umieją mniéj więcéj wykonywać melodye, to na południu tylko brzęk i szum wywoływać są zdolni. Jest to stadyum pierwotne muzyki, po którem wszędzie następowała faza melodyjna. „Istotnie—powiada Letourneau—amplifikacya rytmiczna krzyku namiętności jest wszędzie podstawą, istotą muzyki. Bez wątpienia, rozkwit zupełny muzyki pod tym względem został dokonany dopiéro za czasów nowożytnych, ale z biegiem czasu ludzkość coraz mniéj przypisuje wagi przyjemnościom zmysłowym, a nawet uczuciowym; to téż widzimy, iż ta faza melodyjna dobiega już do swego końca: jest to starość muzyki. Moda skłania się obecnie ku muzyce bez wyrazu, zwanéj harmonijną. Jest to upadek „sztuka muzyczna usycha i zachodzi obawa, iż zakończy się na tém, na czém się rozpoczęła—na szmerze" [2]).

Przejdźmy to tańca. Cykl przekształceń realnych energii, wywoływanych przez głód i przez widok zwierzyny i dochodzący do polowania, dał początek cyklowi odwrotnemu w postaci tańca. Ponieważ wojna i miłość były w społeczeństwach pierwotnych tylko rodzajem polowania, które dążyło do celów utylitarnych, to cykl odwrotny wydatkowanéj tu energii także się kończył na tańcu. Należy więc rozróżniać trzy wielkie rodzaje tańców: taniec myśliwski, taniec wojenny i taniec miłosny. Pierwszy jest tylko naśladownictwem ruchów zwierzęcia, które służy za pokarm dla grupy (dla Tasmańczyków i Australczyków—kanguru, dla Kamczadałów — niedźwiedź, dla czerwonoskórych—bawół i t. d). Taniec wojenny np. Nowo-Zelandczyków na tém polegał, iż tancerze poruszali swe kopje, dzidy, uderzając w wyobrażalnych przeciwników, przy akompaniamencie dzikich pieśni [3]). Z czasem na tańcach się kończyły wszyst-

---

[1]) Pochodzenie ich należy, zdaniem Tylora („Antropologia") związać z pochodzeniem łuku.

[2]) Letourneau: „*La sociologie d'e après l'Ethnographie*" p. 99.

[3]) Zwykle tańce, śpiew, mimika i gra dramatyczna tego rodzaju wymagają masek, często koturnów i t. d. Tak maski były początkowo używane w misteryach

kie czyny życia społecznego: traktaty, przyjęcia cudzoziemców, żniwa, ceremonie religijne, urodzenia lub śmierć [1]). Taniec miłosny wreszcie powtarza bądź ruchy bystre polowania na kobiéty, ich ucieczki i porywania, bądź ruchy lubieżne aktów miłosnych. (Pod tym względem słynna jest t. zw. timorodya). Odnaléźć je można na wyspach Sandwich, na Taiti, w Madagaskarze, w Indyach w całéj Afryce i t. d. W tańcu miłosnym biorą udział obiedwie płcie, w wojennym i myśliwskim—mężczyźni tylko.

Niepogody, deszcze, zimno i inne szkodliwe wpływy otoczenia wywołują w człowieku szereg przekształceń energii, które wyrażają się w reakcyi ostatecznéj na te wpływy, w budowie mieszkań—jest-to produkcya realna. Cykl odwrotny przemian energii dochodzi do architektury, jako sztuki. Istnieje więc związek ścisły pomiędzy architekturą każdego narodu a rodzajem natury nieorganicznéj, która go otacza, klimatem, geologią i t. d. Elisée Reclus słusznie powiada: „Świątynie greckie, wznoszące się na szczytach wzgórz, zdaje się, że streszczają tylko ich formę". „Również jak sam kraj nie jest massywny, świątynia grecka nie ma pozoru massywności i ociężałości pomników Teb lub Niniwy", w których one zastosowane są do charakteru kraju".

Architektura kraju jest więc jakby kontynuacyą natury nieorganicznéj, od któréj zapożycza swe materyały. Jest zresztą rzeczą oczywistą, iż zależy ona—narówni z innemi sztukami—nie tylko od otoczenia przyrodzonego, ale od charakteru saméj rasy—gdyż ten sam krajobraz inaczéj się maluje w różnych duszach—i od warunków społecznych, które różniczkują ją na architekturę religijną, urzędową, prywatną i t. d. Większość wrażeń rzeczywistych życia ma miejsce w towarzystwie obrazów rzeczy, cykl odwrotny odtwarza je automatycznie i materyalizuje za pomocą rysunku, rzeźby, malarstwa. Te ostatnie sztuki powstały, zdaje się, jednocześnie. „Ten sam człowiek dziki—powiada Letourneau—który próbował rzeźbić z gruba nożem kamiennym kawałek drzewa lub kości, by

greckich skąd przeszły na scenę. Por. Andrée. „*Masken*" l. c. 107—165, a także Fr. Ratzel: „*Völkerkunde*" p. 382 I, 228 II etc.

[1]) Lang „*Custom and Myth*" i „*Myth Ritual and Religion*". O tańcu i śpiewie pierwotnym por. jeszcze: Washington Mathews „*The mountains chant*" w „*Fifth Reporth of the Bureau of Ethnology*" i pracę Cushinga tamże; Emile Deschamps „*Les Veddas de Ceylon*" w „*L'Anthropologie*" Mai—Juin 1891; Mantegazza: „*L'amour dans l'humanité*".

uzewnętrznić w ten sposób obraz żyjący w jego mózgu starał się także najczęściéj dopiąć tegoż samego rezultatu rysunkiem".

Troglodyci Périgordu uprawiali jednocześnie rysunek i rzeźbę. Tak samo postępują dotychczas Eskimosi. Australczyk zdobi liściami i arabeskami wyrzynanemi w płaskorzeźbie swe oręże i naczynia—co jest jednocześnie rysunkiem i rzeźbą. Pociąg do rzeźby rozmaicie jest rozpowszechniony śród różnych plemion. Polinezyjczycy współcześni są w niéj nader niezręczni, za wyjątkiem Nowo-Zelandczyków. Oręże i statki są zdobione przez nich liniami i arabeskami z wielkim wdziękiem, ale w rzeźbie właściwéj są nieudolni. Robią tylko drobne posążki. Natomiast Papuasi z N. Gwinei mają uzdolnienie wyraźne ku téj sztuce, które prawdopodobnie przyszczepili N. Zelandczykom. Papuasi odznaczają się głównie zręcznością w rzeźbieniu drzewa. Ten smak artystyczny, nader rozwinięty, współistnieje u nich z bardzo pierwotną kulturą, moralnością i inteligencyą.

Rzeźba Melanezyjczyków odbywa się tylko na drzewie, kości, glinie, gdyż artyści rozporządzają nader niedoskonałemi narzędziami kamiennemi. W pasie najbardziéj cywilizowanym Afryki negryckiéj, wzdłuż Nigru, praktykowaną jest także rzeźba na drzewie. W Katandze wyrabiają płaskorzeźby na drzewie przedstawiające sceny wojenne i myśliwskie, a w Kiama i w Jenna—na miedzi, gdzie występują ludzie i zwierzęta. Ameryka środkowa dała początek—w Peru, w Jukatanie, w Meksyku—skulpturze dość rozwiniętéj. Tu artyści, zaopatrzeni w narzędzia miedziane i bronzowe, wykonywali z kamienia posągi i płaskorzeźby wielce złożone. Rzeźba ta przypomina po części sztukę egipską: członki nie wyodrębniają się jeszcze od ciała, a osoby są przedstawiane zawsze z profilu, zupełnie jak w Egipcie. Peruwiańczycy i Meksykanie starożytni umieli nawet odlewać w złocie i srebrze posążki roślin i zwierząt [1]). Pierwsi odznaczali się także swą ceramiką artystyczną, w któréj zdarzają się postacie ludzkie z wyrazem bardzo ożywionym. Podbój hiszpański zdusił cały ten rozkwit artystyczny. Przejdźmy do Azyi: rasa mongolska stworzyła sztukę wielce niedoskonałą: w rzeźbie artyści tamtejsi nie przekroczyli fazy najniższéj, a w Chinach i Japonii nawet jest ona bardzo słabo rozwinięta. Chińczycy robią tylko drobne posążki i ornamentacye, Japończycy odtwarzają zwierzęta i rośliny z wielką skrupulatnością. Tylko w Europie, a zwłasz-

---

[1]) Pottier: „*Les statuettes de terre cuite dans l'antiquité*". Letourneau l. c.

cza w Grecyi starożytnéj, rzeźba doszła do najwyższego swego rozkwitu. Odgrywały tu pewną rolę rozwój techniki i stosunków społecznych, głównie jednak rasa w téj sztuce, jak i we wszystkich innych, jest czynnikiem decydującym.

Malarstwo właściwe rozpoczyna się barwieniem przedmiotów, rysunków, płaskorzeźb i posągów. Ten zwyczaj pokrywania kolorami wytworów sztuk plastycznych, dla nadania mu więcéj życia, można wykazać we wszystkich częściach świata, zarówno w N. Kalidonii, jak w Tartaryi lub w Grecyi starożytnéj. U ludów, które się zatrzymały na niższych stopniach rozwoju artystycznego, malarstwo pozostało takiém właśnie barwieniem rysunków i rzeźb dokonanych, mniéj lub więcéj zręczném. Artyści meksykańscy z czasów wyprzedzających Corteza chińscy i japońscy, również jak i staroegipscy nie posunęli się daléj. Rysunki pierwotnego Meksyku były zawsze nader proste, przedstawiały w profilu ludzi i zwierzęta. Upraszczając je bardziéj jeszcze, zrobiono z nich hieroglify, któremi starano się oddawać treść całych scen i rozmowy osób działających. Egipcyanie bardziéj jeszcze wyidealizowali to pismo rysowane lub malowane, a Chińczycy doszli pod tym względem do najwyższéj zręczności. Czego jednak brak we wszystkich tych malowidłach pierwotnych, to sztuki pogłębienia rysunku, oddania wypukłości lub zagłębień. Światłocień i perspektywa są im prawie nieznane. Osoby ustawiane są szeregiem, wszystkie na tym samym planie. Natomiast w wyborze i grupowaniu kolorów zręczność jest daleko większa zarówno u starożytnych Meksykanów i Egipcyan, jak i u Chińczyków. Toż samo spostrzegamy w rękopismach indyjskich i arabskich [1]).

Streszczając wszystko, co powyżéj powiedziano, widzimy, iż wrażenia świata zewnętrznego mają dążność, po przejściu przez organizm ludzki i po przebyciu w nim szeregu przemian, do uzewnętrznienia się ruchami stanowiącemi reakcyę organizmu i które mogą wcielić się w przedmiotach użytecznych, należących do dziedziny produkcyi gospodarczéj. Widzieliśmy także, że, jeżeli istnieje nadmiar energii biologicznéj, który wykonywa cykl odwrotny i rytmiczny przemian i dochodzi do nowéj powtórnéj materyalizacyi, stanowiącéj zbytek z punktu widzenia utylitarnego, mamy sztukę i twórczość artystyczną. Człowiek pierwotny, widząc zwierza dzikiego,

[1]) Letourneau: „*La sociologie d'après l'ethnographie.* G. Perrot i Ch. Chipier „*Histoire de l'art dans l'antiquité*".

wydawał odruchowo okrzyk, naśladujący ryk zwierza, była to reakcya bezpośrednia, mająca na celu samoobronę—groźbę, albo też ochronę społeczną—ostrzeżeniem towarzyszy.

Był to czyn należący do dziedziny ekonomicznéj. Jeżeli jednak po przeminięciu niebezpieczeństwa w człowieku owym pozostawał nadmiar niewydatkowanéj energii, który się wyładowywał w okrzyku powtórnym, wywołującym poprzednie wstrząśnienie nerwowe i odpowiednie stany duchowe, cały ten proces wtórny należy do sztuki, która gra w ten sposób w świecie społecznym tęż samą rolę, co echo odgrywa w świecie kosmicznym. Oczywista zresztą rzecz, iż człowiek mógł odtwarzać nietylko ryk zwierzęcia odruchami gardła, lecz także jego widok zewnętrzny ruchami ręki, która owładnęła kawałkiem kredy, lub węgla, lub nożem—robił odruchowo znak zwierzęcia. Znaki wszystkich rzeczy i faktów interesujących stały się pismem (malowaném, późniéj hieroglificzném), mnemoniką faktów. Stąd pochodzą petroglify [1]), jak je Andrée nazwał, czyli znaki i rysunki, które człowiek pozostawił na ścianach skał, wszędzie gdzie tylko przebywał. Są to znaki ludzi, zwierząt, arabeski bezsensowne. Znaczenie ich nie jest jeszcze dokładnie zbadane. Niektórzy autorowie widzą w nich opowieści mitologiczne, inni—zabawy przypadkowe, wywołane naśladownictwem, jak u dzieci, inni wreszcie wskazówki kierunku przesiedleń. Można je odnaleźć we wszystkich częściach świata: w Anglii, na górze Synai, w Transwaalu, na Ziemi Ognistéj, w Ameryce środkowéj, w Australii i t. d.

Sztuka ma zwykle na celu bądź odtwarzać kształty przedmiotów, bądź też wywoływać stany duchowe z niemi związane. Obydwa te czynniki można odnaléźć w petroglifach, t. j. w zarodkach sztuki, również jak w pozostałościach kopalnych z epoki paleolitycznéj i u dzikich współczesnych.

Należy jednak zauważyć że różne rasy zachowują się pod tym względem rozmaicie. U jednych przeważa dążność do piękna i do przyjemnego, ku ornamentyce, celem wywołania stanów duchowych: tak np. się dzieje u Polinezyjczyków, u Dajaków z Borneo, u Pueblosów z Colorado [2]). U innych natomiast zabiegi koło ornamentacyi

---

[1]) Por. Andrée: „*Ethnographische Parallelen und Vergleiche*“, a także Garrick Mallery: „*Pictographs of the North-American Indians*“ w „*Fourth ann. report of the Bureau of Ethnology*“ (Wash. 1886). Dla Australii: Andrew Lang: „*Customs and Myth*“.

[2]) W. H. Holmes: „*Pottery of the ancient Pueblos*“ w „*Fourth report* etc.“.
A. R. Hein: „*Die bildenden Künsten bei d. Dayaks in Borneo*“

estetycznéj schodzą na plan drugi wobec starań wyrażenia za pomocą znaków idei społecznych, religijnych, politycznych i t. d.—np. u czerwonoskórych [1]). Tu przeważa czynnik ideologiczny i mnemoniczny, który dał początek hieroglifom i pismu, również jak czynnik ornamentacyjny, wyrażający nastroje, znajduje się w podstawie symboliki mistycznéj i filozoficznéj z czasów późniejszych [2]).

Zdaniem Langa [3]) sztuka dzikich jest przedewszystkiém sztuką dekoracyjną i ornament wyprzedził w historyi rozwoju reprodukcyę rzeczy świata zewnętrznego. A ornament ma swą własną ewolucyę, która daje się najlepiéj studyować w Ameryce. Holmes widzi jego początki w naśladownictwie nieświadomém pierwszych narzędzi pracy, dostarczanych przez naturę, jak muszli; miały one kształty i barwy estetyczne, które człowiek nieświadomie odtwarzał już wówczas, gdy sam sobie szykował oręże, narzędzia i statki [4]).

Sztuki graficzne dzikich współczesnych zbliżają się zwykle do jednego z tych dwu typów: tak u Polinezyjczyków i u Melanezyjczyków piękny ornament gra główną rolę, a reprodukcya zwierząt i ludzi znajduje się na drugim planie, (toż samo dzieje się u mieszkańców Nowéj-Gwinei, Nowéj-Kaledonii, Madagaskaru i t. d.); natomiast u Australczyków, u Buszmanów, u ludów północnych reprodukcya estetyczna zwierząt, ludzi, scen obyczajowych przeważa, a ornamentacya jest rzadką. Lang twierdzi, iż rysunki Australczyków i Buszmanów są tak doskonałe, iż nie ustępują tym, które na wazonach greckich znajdujemy [5]) Inne ludy natomiast w swych znakach piktograficznych nie bardzo oddalają się od niezgrabych petroglifów pierwotnych (plemiona afrykańskie z pobrzeża Kamerunu, Mandani amerykańscy, Eskimosowie i t. d.). Różnice te należą po części od warunków i stopni rozwoju społecznego, ale głównie od rasy, gdyż bardzo wysoki stopień ewolucyi artystycznéj bywa często dopięty przez grupy niższe pod względem kultury ogólnéj, np. Australczycy i Buszmanowie. Z tego względu Andrée dochodzi nawet do wniosku, iż sztuka nie zawsze jest najwyższym rozkwitem narodu. Jest to rzecz

---

[1]) Garrick Mallery l. c. i Cyrus Thomas: „*Burial mounds of the north. sect. of the Unit. States*". w „Fifth Report" (1887).

[2]) Goblet d'Aviella: „*La migration des symboles*".

[3]) A. Lang „*Myth, Ritual and Religion*" I, 271.

[4]) W. H. Holmes w. „*Fourth Report*" a także „*Art in shells of the anc. Americans*" w „Second Report.".

[5]) Lang: „*Myth, Ritual and Religion*" I, 174.

naturalna: jak widzieliśmy powyżéj, cykl prosty, gospodarczy, przemian energii życiowéj może obejmować tylko wrażenia, uczucia i reakcyę ruchową zewnętrzną, z bardzo niewielkim współudziałem myśli. Również i cykl odwrotny, który wyraża się w sztuce. Istnieją więc nader rozmaite tendencye w rozwoju sztuki, które mogą być zbadane tylko przez skrzętne studyum ras i otoczeń.

Wszystko, cośmy mówili o sztuce, dotyczy także poezyi. Tylko jeżeli sztuka odbija życie w sposób specyalny, malując je w różnych dziedzinach poszczególnych, poezya, a zwłaszcza szczyt jéj najwyższy, dramat, odbija je syntezą nader złożoną, która używa jako środków pomocniczych, udziału wszystkich sztuk i daje obraz życia w całéj jego komplikacyi. Ale i w poezyi mamy zawsze także naprzód wrażenie zewnętrzne, następnie przekształcenie wewnętrzne energii i wreszcie wyładowanie zewnętrzne słowami—co stanowi cykl życia realnego. Jeżeli zaś istnieje nadmiar energii i ona odbywa cykl przemian odwrotny, życie odbijać się będzie w słowach stanowiących poezyę.

Pochodzenie sztuki objaśnia się więc, we wszystkich dziedzinach, prawem ruchu rytmicznego, któremu podlega energia życiowa w licznych swych objawach. Otóż wrażenia wzrokowe i słuchowe podlegają temu prawu z największą łatwością, jako odradzające się (*reviviscentes*) i mogące być wywołane we wspomnieniu. Oto, czemu słuch i wzrok są zmysłami artystycznemi *par excelence*, będąc zarazem najbardziéj intelektualnemi. Najłatwiéj reprodukują przedstawienia zewnętrzne i dają najbogatsze ich kombinacye.

Każdy rodzaj sztuki tém wyżéj może być postawiony, im więcéj wchodzi weń inteligencyi i odwrotnie. Dla tego téż taniec może być rozpatrywany, jako najniższy rodzaj sztuki. Widzieliśmy powyżéj, iż każdy cykl przekształceń energii, stanowiącéj sztukę, następuje zwykle po cyklu przemian realnych, z drugiéj jednak strony wyprzedza on bezpośrednio inny cykl przemian tego ostatniego rodzaju. Tak np. u czerwonoskórych „taniec bawołów wyprzedzał zwykle polowanie na tego zwierza"—czytamy u Letourneau. Teoretycznie mówiąc, następował po niém, ale cykle przemian utylitarnych i artystycznych energii następują po sobie w rzeczywistości tak bezpośrednio, iż z biegiem czasu trudném się staje do wyróżnienia, co wyprzedza, a co następuje, życie, czy sztuka. Oto, czemu cykl przemian artystycznych energii może służyć z biegiem czasu także za środek wychowawczy i przygotowawczy do życia realnego i przez to otrzymać charakter konieczny i utylitarny. Ludzie zaczy-

nają się wprawiać w taniec i w gimnastykę, dlatego iż przygotowują ich do polowania i do wojny.

Jest rzeczą oczywistą, że jeżeli cała energia biologiczna jest wyczerpana czynnościami życia realnego, to niema cyklów odwrotnych, ani téż objawów artystycznych. Gry i zabawy dzieci pochodzą stąd właśnie, iż ich energia życiowa nie jest wyczerpana przez cykle bezpośrednie przemian energii, może więc ona wykonywać cykle odwrotne, nader rozmaite i zupełne. Ale w miarę tego, jak ten nadmiar energii coraz bardziéj wyczerpywany zostaje przez życie rzeczywiste, smak i zamiłowanie do zabaw zanikają lub zmniejszają się.

Mogą być także wypadki, iż nadmiar energii, który istniał niegdyś w społeczeństwie i wcielał się w sztuce, zostaje użytym dla celów utylitarnych, skutkiem czego sztuka zamiera—jest to wypadek nader częsty w naszych społeczeństwach demokratycznych. Albo téż wreszcie nadmiar ów pozostaje ten sam, ale przybiéra nową formę artystyczną, zgodniejszą z cyklem przemian produkcyjnych energii. Tak np. taniec, który odgrywał rolę nader znaczną w życiu wszystkich ludów pierwotnych, zamiera w społeczeństwach obecnych, gdzie balety teatralne i tańce salonowe mogą już być uważane tylko za przeżytki--natomiast rozwinęły sią inne rodzaje sztuki, bardziéj intelektualne. Wszystko to są zresztą tylko różne wypadki przemiany i przemieszczenia energii, które stanowią przedmiot dynamiki estetycznéj. Ta ostatnia rozpada się na szereg stanów równowagi, która obejmuje każdą poszczególną i odrębną epokę w rozwoju sztuki. Zastanowiliśmy się w pracy niniejszéj dla przykładu tylko nad fazą początkową jéj rozwoju, która przedstawia równowagę dość prostą i łatwą do zanalizowania. W estetyce stosowanéj należy czynić toż samo z każdą inną epoką. To jednak nie wchodzi w zakres zadań niniejszéj pracy, która ma na widoku estetykę czystą. Ta ostatnia ma do zbadania warunki najogólniejsze, wspólne wszystkim epokom i dostateczne do określenia równowagi estetycznéj. Inaczej mówiąc, przypuściwszy, iż układ bądź indywidualny, bądź społeczny, posiada nadmiar energii ponad potrzeby bezpośrednie życia realnego, należy określić, w jaki sposób ten nadmiar, w formie artystycznéj, rozdzieli się pomiędzy te potrzeby, pomimo wszystkie objawy poszczególne, które może przybrać w zależności od organów zmysłowych specyalnych, jakie wprawione zostaną w ruch.

Otóż dla określenia téj równowagi mamy, jako dane, warunki następujące: 1) wszystkie objawy artystyczne dają się sprowadzić do przyjemności estetycznéj, t. j. téj, która nie ma na widoku zaspo-

kojenia bezpośrednich potrzeb materyalnych; natężenie téj przyjemności jest miarą wszelkich odnośnych objawów; 2) natężenie to zmniejsza się w miarę trwania przyjemności estetycznéj—co jest prawem ogólném dla wszystkich objawów psychicznych; 3) każdy agregat dąży do *maximum* przyjemności estetycznéj, która jest zdobytą automatycznie w chwili ustanowienia równowagi i 4) istnieje równowaga pomiędzy tą przyjemnością, a wydatkami energii, czyli przykrościami, które dla jéj zdobycia zadać sobie należy. Opiérając się na tych zasadach psychologii i mechaniki, można zbudować równania równowagi estetycznéj dla układu bądź indywidualnego (wypadek ten ważny jest dla artystów samotnych, jak np. dla pająka) lub społecznego, w ich reakcyach z otoczeniem naturalném, sztuczném i z innémi układami. W téj równowadze, zupełnie tak samo, jak w ekonomicznéj, należy rozróżniać, czy przewagę mają siły zwartości między jednostkami (równowaga Goszenowska), czy téż siły indywidualizmu (równaga Jewońska). Można w ten sposób dać analizę zupełną, jakkolwiek tylko abstrakcyjną, wszystkich zjawisk estetycznych.

Przyjemność estetyczna, również jak użyteczność ekonomiczna, są to dwa stany duchowe, odpowiadające dwu różnym rodzajom ruchu nerwowego. Zbiór osób walczących o piękno stanowi pole sił estetycznych, które dąży wciąż do równowagi, wytwarzając *maximum* odnośnéj energii, czyli ruchu nerwowego pewnéj szybkości; ten ostatni z łatwością przechodzi we wszelkie inne stany duchowe, ekonomiczne, polityczne, moralne i t. d., albo téż odwrotnie. Najprostszą i najbardziéj zasadniczą formą pola sił estetycznych jest każdy bal, zabawa, wieczór. Takie są rezultaty, do których poprzednio doszliśmy. Zastanówmy się bliżéj nad odnośną równowagą. Ponieważ każdy stan duchowy, prawie bez wyjątku, może się zamienić na piękno, mamy pola sił estetycznych we wszystkich dziedzinach życia społecznego. Piękno pojawia się wszędzie, w moralności, w polityce, w religii, w ekonomii, nawet w nauce. Wszędzie odbywa się odpowiednie przekształcenie energii życiowéj. Każdy sąd jest stosunkiem dwu pojęć. Gdy powiadam: „kreda jest biała", zestawiam pojęcie kredy z pojęciem białości, t. j. dwa stany duchowe, czemu odpowiada w mózgu pewne przekształcenie energii. Sądy i wrażenia estetyczne mogą oczywiście być rozpatrywane w takiż sam sposób.

Wartość rzeczy jest sądem ekonomicznym, czyli porównaniem jakiegokolwiek stanu świadomości z poczuciem użyteczności, porównanie zaś tegoż stanu z poczuciem przyjemności, piękna, jest sądem

estetycznym. W obu wypadkach są to przemiany energii. Jeżeli jednostki służące za miarę do porównań, czyli stopy przemiany energii są dowolne, mamy sądy indywidualne, bądź ekonomicznę, bądź estetyczne. Jeżeli jednostki te są wspólne całemu szeregowi osób, mamy sądy społeczne. Otóż estetyka czysta jest nauką o sądach estetycznych (uważając i wrażenie za pewnego rodzaju sąd, t. j. stosunek) tak samo, jak ekonomia czysta jest nauką o cenach i o wartościach. Poznać cokolwiek znaczy wskazać warunki niezbędne i wystarczające dla spowodowania danego szeregu zjawisk. Estetyka czysta powinna wskazać wszystkie warunki, powodujące w każdym układzie społecznym całość sądów estetycznych, również jak ekonomia czysta to czyni dla całości cen. Warunki te mogą być objęte i zbadane przez trzy następujące teorye:

1) Przez teoryę spożycia estetycznego (czyli przez teoryę smaku), która wskazuje warunki niezbędne dla ustanowienia wszystkich sądów estetycznych, wydawanych w zastosowaniu bądź do gotowych wytworów sztuki, bądź téż w zastosowaniu do zjawisk natury, historyi i życia społecznego, o ile zjawiska te wywołują w nas bezpośrednie wrażenie estetyczne, o ile rozkoszujemy się niemi bez żadnych dalszych widoków. Tu ustanawia się więc wartość estetyczna wszystkich dóbr bezpośrednio smakowanych, bądź materyalnych, bądź niematery alnych (jak cnota, męztwo i t. d.). Sądy te mogą być indywidualne lub społeczne. Do pierwszych należą wszystkie wrażenia odczuwane przez jednostki z punktu widzenia estetycznego, względem jakiegokolwiek z powyżéj wspomnianych przedmiotów. Są to tylko reakcye, wywowołane w nas przez jeden z nich, ustanawiające przemianę naszych energii ekonomicznych, moralnych i t. d. na estetyczne. Przemian tego rodzaju może być ilość nieskończenie wielka i stąd téż pochodzi nieskończenie wielka ilość zdań osobistych względem piękna rzeczy.

W miarę tego jednak, jak jednostki te wprowadzone zostają przez życie społeczne w stosunki coraz bliższe, przemiany energii odbywają się w nich—jak matematyka nam pokazuje, w sposób coraz bardziéj prawidłowy, według stóp coraz zgodniejszych, drogą całego szeregu zwyżek i zniżek: jedni przeceniają, drudzy niedoceniają dane zjawisko aż do ustanowienia wspólnéj jego wartości estetycznéj. Równowaga ta istnieje tylko w dążeniu i nigdy prawie w rzeczywistości się nie uskutecznia. Ale każda grupa społeczna ma niewątpliwie dążność do ustanowienia jednéj wartości estetycznéj dla każdego zjawiska. Wartość ta wyrażana jest zwykle przez pismo każdéj grupy, przez jéj krytyków artystycznych i literackich, którzy

podlegają przekształceniom energii identycznie z innymi członkami grupy.

W ten sposób mniemana dowolność i niezależność sądów estetycznych podlega regułom stałym. W miarę tego jak solidarność społeczna rosnąć będzie, sądy estetyczne stawać się będą coraz bardziéj jednostajnemi.

Równania równowagi spożycia estetycznego mogą być wyprowadzone z zasad następujących: a) równowagę estetyczną każdy z nas tylko wówczas osiąga, gdy natężenia ostatnio zaspokojonych przyjemności są równe w stosunku do wydatków energii; b) każdy członek społeczeństwa posiada pewną określoną sumę energii estetycznéj i wszystkie jego przyjemności poszczególne są z niéj czerpane a nie mogą jéj przewyższać; c) suma energii estetycznéj ofiarowana przez jedną część społeczeństwa (przez artystów) równa się sumie energii, na którą publiczność stawia popyt.

Matematyka przekonywa nas, iż warunki te są dostateczne dla określenia wszystkich wrażeń i sądów estetycznych, wywoływanych przez zjawiska materyalne lub niemateryalne, bezpośrednio smakowane [1]).

2) Przez teoryę twórczości artystycznéj, która wskazuje warunki, określające wartość artystyczną wszystkich czynników rzeczowych — dostarczonych przez naturę i przez życie społeczne— i osobistych, niezbędnych dla powstawania gotowych dzieł sztuki. Tu wchodzą usługi dostarczone przez osoby, t. j. ich uczucia, myśli i czyny rozpatrywane z punktu widzenia estetycznego, a także usługi kapitałów nieruchomych (widoki, pejzaże i wogóle wszelkie zjawiska naturalne, przedstawiające charakter piękna) i ruchomych (tu należą wszystkie wytwory materyalne historyi i cywilizacyi) i wreszcie materyały surowe, dostarczone przez naturę. Artyści i poeci grają w dziedzinie estetyki tęż samą rolę, co przedsiębiercy w dziedzinie ekonomii. Robią oni syntezę wszystkich powyższych czynników: kombinują stany świadomości, zapożyczone z otoczenia naturalnego historycznego i społecznego, jak pieśni ludowe, tradycye, dzieła innych artystów, których naśladują i t. d., nie mówiąc już o materyałach surowych dostarczanych przez naturę, i łączą te czynniki nie na ślepo, lecz tak, aby suma wartości artystycznych wszystkich

---

[1]) Por. „Mechanikę społeczną" w „Ateneum" (Kwiecień 1898) str. 70—71. Równania spożycia estetycznego są też same, co i równania spożycia ekonomicznego, tylko zamiast X, q_x, p_x, d X służącycych dla wyrażenia potrzeby ekonomicznej, używamy T, q_t, p_t, d T.

tych czynników była równą wartości estetycznéj utworów gotowych, ustanowionych już poprzednio w równowadze spożycia estetycznego, czyli smaku. Ilości usług wytwórczych, niezbędne w tym celu do użycia, nazywają się współczynnikami twórczości [1]). Ta ostatnia stanowi twórczość, która może być świadomą, lub częściowo nieświadomą (natchnieniem).

3) Nareszcie przez teoryę kapitalizacyi artystycznéj ustanawia się wartość estetyczna samych kapitałów osobistych, ruchomych i nieruchomych, gdy w poprzedniéj teoryi ustanawialiśmy wartość usług ich [2]). Tu należą naprzód sami artyści, wartość ich zależy od ich rzadkości naturalnéj, również jak i innych kapitałów rzeczowych i idealnych—a także od wydatków energii, które trzeba było zużyć na ich wytworzenie. Tu także występuje kwestya zaoszczędzania estetycznego. Jeżeli, wychodząc z pewnego stanu układu i wracając doń, ilość energii estetycznéj pozostaje niezmienną, mamy zwykły cykl przekształceń i niema oszczędzania. Jeżeli natomiast, ilość artystów, dzieł, zakładów artystycznych wzrasta, należy rozpatrywać energię zaoszczędzoną i jéj rozpodział pomiędzy nowe kapitały. Zaoszczędzanie może oczywiście być nietylko dodatnie, ale i ujemne. Rzeczywista ewolucya artystyczna polega właśnie na cyklu złożonym przekształceń, w którym ilość energii to wzrasta, to znowu spada.

Wszystkie te trzy równowagi częściowe dążą wciąż do jednéj ogólnéj równowagi estetycznéj, w któréj każdy utwór, każda usługa i każdy kapitał artystyczny mają jedną tylko wartość artystyczną. Jest to rzeczywiście stan zupełnie idealny, ale ku któremu siły społeczne automatycznie zdążają.

Proces estetyczny przedstawia się nam, jako proces przekształceń energii, który obejmujemy w jego momentach statycznych ca-

---

[1]) Niechaj a_s, a_u, a_v, ... będą ilości usług S, U, V... niezbędnych dla wydania jednego utworu artystycznego A; b_s, b_u, b_v, ... c_s, c_u, c_v, mają znaczenie analogiczne dla wydania utworów B, C i t. d. Jeżeli ilość tych utworów jest *m*, a ilość usług *n*, to można zbudować *m* równań następujących:

$$p_a = a_u p_u + a_s p_s + a_v p_v \ldots p_b = b_u p_u + b_s p_s + b_v p_v \ldots, p_c = c_u p_u + \\ + c_s p_s + c_v p_v \ldots$$

[2]) Kapitały mogą być rozpatrywane, jako produkty *sui generis*—i w ten sposob teorya kapitalizacyi sprowadzona zostaje matematycznie do jednego z wypadków teoryi wytwarzania artystycznego.

łym szeregiem równań. Życie realne rozwiązuje te równania całym systemem prób empirycznych. Są one rozwiązywane przez krytykę dzienników, przez koncerty, wystawy, stopnie stawiane przez profesorów w szkołach sztuk pięknych i t. p. wartości estetyczne, bądź indywidualne, bądź społeczne, czyli wypływające z pewnéj równowagi. Rzeczywistość i teorya pokazują nam, iż wartości estetyczne tego ostatniego rodzaju, oparte na stopach przekształceń energii, wspólnych całéj grupie osób, mogą z punktu widzenia społecznego być mierzone za pomocą złota. Istotnie, ekonomia czysta z pomiędzy dóbr nie wyłącza tych, które są niemateryalne—z tego punktu widzenia, nie tylko produkty, ale stany duchowe, t. j. usługi, między innemi estetyczne, mają swe ceny, wyrażone w złocie. Rzeczywistość daje nam w ten sposób środek doskonały, jakkolwiek jednostronny, mierzenia ścisłego wszystkich zjawisk estetycznych, duchowych i rzeczowych. Jest to zresztą sprawa statystyki i mechaniki społecznéj stosowanéj. Jak wszystkie formy energii kosmicznéj wyrażają się w końcu w cieple, które służy dla ich wymierzania, również wszystkie formy energii społecznéj wyrażają się w końcu w użyteczności społecznéj, mierzonéj za pomocą złota.

Co się tyczy równań równowagi estetycznéj, dają one nam środek czysto teoretyczny klasyfikowania faktów piękna z punktu widzenia społecznego, a zarazem objęcia wszystkich tych faktów, jako całości. Samo przez się, fakty te powinny być badane i nadal sposobami czysto indukcyjnemi, jak to się dotychczas odbywa. Ale jest to dziedzina estetyki i krytyki artystycznéj, literackiéj, nie zaś socyologii ogólnéj, któréj zadania, wyżéj wspomniane, zupełnie wystarczają. Estetyka czysta jest częścią mechaniki społecznéj, pojmowanéj, jako socyologia ogólna.

Otóż mechanika społeczna pozwala nam także—jak to widzieliśmy powyżéj—mierzyć energię estetyczną, jako część energii społecznéj wogóle, za pomocą wartości pieniężnéj produktów i usług estetycznych, korzystając pod tym względem z danych statystyki. Jest rzeczą możliwą, iż fizyologowie i psychologowie dadzą nam kiedyś inne środki dla robienia tych wymiarów—np. sprowadzając stany duchowe estetyczne, również jak i wszelkie inne, do ilości ciepła, które w ich przebiegu się wydzielają. Ale nie o to w danéj chwili nam chodzi. Jeżeli socyologia ogólna ma istnieć, jako nauka niezależna, nie powinna ona wkraczać w dziedziny innych nauk, jak psychologii—powinna ona nam pokazać, iż posiada metodę, zdolną objąć procesy społeczne w sposób logiczny, i na tém zadanie jéj się kończy. Mechanika społeczna czysta rozwiązuje właśnie to zadanie.

Co najwyżéj powiedzieć można, iż mechanika społeczna stosowana będzie mogła skorzystać z przyszłych postępów energetyki psychologicznéj, ale ona może już od dziś dnia korzystać z wskazówek, których jéj udziela ekonomia społeczna i statystyka cen— w danym razie—cen produktów i usług estetycznych.

III.

Dotychczas rozpatrywaliśmy piękno i sztukę z punktu widzenia użyteczności podmiotowéj, czyli przyjemności. Widzieliśmy, iż wystarcza, by były przedmiotem życzenia, bez względu na to, czy są pożyteczne, czy szkodliwe z punktu widzenia smaku i zdań osób oddzielnych, aby można było dać teoryę równowagi estetycznéj. Ale mechanika społeczna nie może się zadawalać tém, powinna ona jeszcze analizować sztukę i piękno z punktu widzenia użyteczności objektywnéj, inaczéj mówiąc, dobra rzeczywistego rasy, postępu biologicznego.

Otóż ich charakter utylitarny nie może być zaprzeczany. Ze stanowiska jednostki lub nawet oddzielnego pokolenia, charakteru tego nie sposób pochwycić, ale staje się on oczywisty z punktu widzenia rasy. Istotnie, postęp biologiczny odbywa się w ten sposób, iż w łonie rasy niższéj pojawia się, dzięki krzyżowaniu lub jakimkolwiek innym warunkom naturalnym, jednostka o wyższéj energii biologicznéj, która ma się stać twórczą i protoplastą rasy nowéj. W tym celu musi ona odegrać rolę reproduktora. Tłum istniejący na to pozwolić nie może, gdyż to zmniejsza ilość jego bezpośrednich przyjemności. I dla tego pewna część energii reproduktora zamienia się na piękno, które z jednéj strony ubezwładnia i rozbraja zazdrość tłumu męzkiego, a z drugiéj wabi i przyciąga płeć żeńską. Stąd ta siła olśniewająca, czarująca i magnetyczna piękna. Wywiera ono na nas ten sam wpływ, co wąż spojrzeniem na ptaka, ubezwładnionego i padającego w jego paszczę rozwartą.

Weźmy rasowego konia, gdy on harcuje, skacze lub staje dęba: wszystkie jego ruchy nacechowane są wciąż harmonią. To piękno zewnętrzne jest wytworem doboru płciowego; ma ono określone cele i zadania w ogólnéj ekonomii natury. To samo powiedzieć można o rasowcach ludzkich, na których zarazem stwierdzić można takież same pochodzenie piękna wewnętrznego.

Gdy twórca w jakiejkolwiekbądź dziedzinie pięknie myśli, pisze lub maluje, to dla tego, że cała jego istota nieświadomie skiero-

wana jest ku podbojom na polu miłosném. Jego energia życiowa automatycznie przysposabia się do tego celu, przybiérając jedną z swych odmian, formę piękna. Ono przejawiać się będzie w odzieży, ruchach, myślach, gdyż dąży do podobania się, zapładniania i poprawiania rasy. Jeżeli jednocześnie twórca pisze, maluje lub buduje system filozoficzny, to tylko, że tak powiem, *par dessus le marché*, czynić będzie to wszystko w sposób piękny, co się odbywa w sposób naturalny, nieświadomy, bez wysiłków, gdyż cała jego istota wówczas zdobi się w piękno, a także w przebiegłość i rozum, bo i te są środkiem potężnym podboju. Jeżeli więc kto tworzy piękne dzieła w jakiéjkolwiek dziedzinie, to można być pewnym, iż nieświadomie chce się podobać. Bo jeżeli ta chęć ginie z wiekiem lub w okolicznościach niedogodnych, to i elegancya zewnętrzna i wewnętrzna zanika, jako rzecz zbyteczna, i wówczas odradzać ją należy z wielkim nakładem pracy, jak to czynią przedstawiciele ras niższych, o których rozmnażanie natura nie dba; rozmnażanie ich nie zapewnia *maximum* energii biologicznéj, ku któremu agregaty społeczne automatycznie dążą.

W zestarzałych twórcach piękno ginące może się zamienić wyłącznie na swój atrybut, na przebiegłość i rozum: mogą oni wówczas stać się wielkimi filozofami lub uczonymi, ale i te zjawiska mieć będą toż samo pochodzenie biologiczne. Goethe i Chateaubriand sześćdziesięcioletnimi starcami, mimowolnie, podbijali serca ośmnastoletnich dziewcząt.

Czyż należy dodawać, iż wszystkie te przemiany energii odbywają się w sposób czysto automatyczny, i że tak oddaleni już jesteśmy od istotnych źródeł naszych czynów, iż nietylko poeta, ale nawet filozof i uczony nie zdają sobie sprawy z istotnego stanu rzeczy? Bądź co bądź, pociąg płciowy i dobór płciowy wystarczają, zdaniem naszém, by zrozumiéć pojawienie się piękna we wszystkich jego przejawach, a w znacznéj części i myśli, która—jak to wnet zobaczymy—może miéć i inne jeszcze pochodzenie.

Ludzkość pierwotna istniała hordami, o pożyciu płciowém nieuporządkowaném: etnografia nie pozostawia pod tym względem prawie żadnéj wątpliwości, zresztą psychologia płciowa stad współczesnych w zupełności to przypuszczenie potwierdza. Ale obok hord istniały pierwotnie samotne i zazdrosne samce, otoczone tłumem oddanych samic. Oni to wytworzyli wodzów, a poczęści i klasy panujące; żyją oni u większości ludów pierwotnych i dotychczas w poligamii, co poprawiało rasę. Przez to samo wodzowie ci zmniejszali jednak wciąż przyjemności bezpośrednie masy. Stąd zatarg,

który był jedném z głównych źródeł poezyi i piękna. Mężczyzna genialny, zamiast bezpośrednio porywać kobiety, jak to się działo w czasach najpierwotniejszych, wabić je będzie pięknemi pozami, śpiewem, muzyką i t. d. Z czasem ta idealizacya może się odczepić od swego istotnego źródła, którego już nie spostrzegamy, którego istnienia zaprzeczamy, ale które nie przestaje istnieć. Jest to zwykła przemiana energii, odbywająca się w geniuszu pod ciśnieniem stada. Takie wydają się nam najgłębsze źródła sztuki. A zarazem można powiedzieć, iż przy pewnym stopniu zwartości tłumu sztuka i piękno są jedynemi środkami, zapewniającemi jeszcze trwałość geniuszu i postęp antropologiczny ludzkości. A ten postęp jest źródłem wszelkich innych: w rasie, w jéj energii potencyalnéj, zawarte są wszelkie energie czynne cywilizacyi.

Sztuka poezya i wogóle piękno mają więc określone zadania użyteczności: przy pewnych warunkach walki o miłość pomiędzy eugenistami a tłumem, tylko one mogą jeszcze zapewnić pośrednio postęp biologiczny. Zjawiają się one automatycznie, jako zwykłe zjawiska przemiany energii, w dążeniu nieświadomém agregatów społecznych do *maximum* energii (czyli użyteczności)—na zasadzie ogólnych praw mechaniki. Jesteśmy tylko atomami tych agregatów, atomami, które przy niesłychanéj złożoności swych ruchów wciąż są skierowane ku temu biegunowi—ku największemu dobru społecznemu. Wszystkie nasze uczucia, myśli i czyny wciąż ku temu dążą nieświadomie.

Otóż największém dobrem społeczném jest zachowanie ras wyższych—w braku świadoméj antropotechniki sztuka wykonywa jéj rolę. Wiemy, iż potoki energii, tak wywiązane, zanim dobiegną do ostatecznego swego celu, wykonywują po drodze masę innych zadań cywilizacyjnych, w znaczeniu oświaty, obyczajowości, religii [1]), humanitaryzmu, wypoczynku i zabawy [2]), ale wszystko to są zjawiska pośrednie i drugorzędne wobec celów biologicznych sztuki. Z punktu widzenia zabawy i przyjemności, charakter utylitarny sztuki może

---

[1]) A. Lang powiada o dzikich: „Ich tańce—to tańce magiczne; ich rysunki są robione w celach magicznych; ich śpiewy są wróżbami lub czarami“ „*Customs and Myth*“ p. 276.

[2]) Tu należą przyjemności, święta i zabawy społeczne, często uświęcane przez religię. „Kult pierwotny—powiada Gruppe—polegał na spożywaniu jedzeń i napojów, czém oddawano cześć bóstwom“ (*Die griechische Kulte und Mythen*“, I. p. 277).

Tu także należą gry wszelkiego rodzaju. Por. Andrée: „*Spiele*“ l. c.

do takiego stopnia się zatracić, iż niektórzy uważają za rys znamionujący piękno estetyczne jego bezużyteczność. Nic słuszniejszego, o ile rozpatrujemy tylko przyjemność podmiotową—wówczas nie tylko objawy bezużyteczne, ale szkodliwe i niemoralne mogą do sztuki należéć. Ale jak już rzekliśmy, mechanika społeczna tym punktem widzenia zadowolić się nie może; ona musi rozważać zjawiska estetyczne, również jak i wszelkie inne zjawiska społeczne, nietylko z punktu widzenia przyjemności podmiotowéj, ale także — użyteczności rasowéj.

Otóż, jak widzieliśmy powyżéj, nawet użyteczność podmiotowa może współdziałać dla urzeczywistnienia *maximum* użyteczności objektywnéj, rasowéj. A jednak pod tym względem istnieją mniejsze lub większe wahania i może nawet istniéć zupełny rozdźwięk pomiędzy temi dwoma rodzajami użyteczności. A mianowicie, pod ciśnieniem tłumu przekraczającém granice normalne, geniusz, t. j. twórca, może utracić poczucie swego naturalnego powołania: on na nie spoglądać będzie nawet ze wstrętem. A jednak tak potężną jest siła instynktów pierwotnych, iż poeta wytwarzać będzie piękno, t. j. wabić kobiéty, jakkolwiek to już traci dla niego właściwy swój sens. Tak, człowiek korzysta z instynktu pszczół do zbierania miodu, jakkolwiek one już z owoców swéj pracy nie korzystają, bo on im je wciąż wykrada. W ten sposób poeta staje się narzędziem, specyalistą dla wytwarzania piękna, z którego tłum korzysta, zwiększając coraz bardziéj zasób swych podmiotowych przyjemności, ale zmniejszając zarazem przedmiotową użyteczność społeczną, postęp rasowo-biologiczny.

Kto chce zrozumiéć cokolwiek w geniuszu, musi go pojąć w jego formie czystéj i naturalnéj—reproduktora. Kto zaś powiada „reproduktor"—mówi zarazem „wódz", t. j. jednostka o większém natężeniu energii, niż otaczający tłum, i mająca dlatego w rozpodziale bogactw i władzy udział większy, niż inni członkowie społeczeństwa. W tém większém natężeniu żądzy, t. j. miłości i głodu, zawiera się wyjaśnienie nie tylko piękna, którego źródłem jest geniusz, ale także jego zdolności syntetycznéj. Jest rzeczą wiadomą, iż twórczość w jakiéjkolwiekbądź dziedzinie się przejawia, polega zawsze na syntezie. Otóż syntezę—również zresztą jak i analizę—należy, zdaniem naszém, wyprowadzić z głodu, z trawienia, które są tylko formami przyciągania biologicznego. Fizyologia uczy nas, iż faktem najogólniejszym, na którym życie polega, jest asymilacya. Dotyczy to nietylko życia fizycznego, ale także i duchowego, gdyż to ostatnie jest, właściwie mówiąc, tylko jednym z przejawów tamtego. Bo na

czém polega przyswajanie pokarmów? Na zmiażdżeniu ich zębami i rozpoznaniu ich smaku językiem — jest to analiza — a następnie na przetrawieniu, t. j. przyswojeniu tak przygotowanych pokarmów — jest to synteza. Gdy kucharka przynosi z targu zapasy, działalność jej polega na dwu procesach: naprzód oczyszcza jarzyny, mięso i t. d.—jest to analiza, a następnie łączy je w garnku—jest to synteza. Tak, najwyższe funkcye ducha ludzkiego mają swe pochodzenie w drobnych procesach trawienia. Pojmowanie jest to jeden z przejawów procesu asymilacyi, obszernie rozumianego w zastosowaniu do energii biologicznéj. Wszak powiadamy nawet o człowieku, który dobrze zrozumiał jakąś teoryę: „on to dobrze przetrawił". Język pozwala nam także odtworzyć proces, za pomocą ktorego asymilacya fizyczna, mająca siedlisko w żołądku, zamieniła się na asymilacyę duchową, odbywającą się w mózgu. Pożeranie bliźnich, hamowane ciśnieniem społeczném, zamieniło się na chęć panowania nad nimi, pojmując ich. Dlatego pojąć coś znaczy nietylko przyswoić je sobie, ale panować nad niém. Wszak powiadamy: „on panuje nad swym przedmiotem" o człowieku, który go zrozumiał dokładnie.

Widzieliśmy także poprzednio, w jaki sposób pojmowanie, inteligencya, przebiegłość mogą być uważane za atrybuty miłości, jako środki naturalne podbojów miłosnych. Toż samo powiedziane być może o głodzie. I wogóle im większe jest natężenie głodu i miłości, t. j. energii biologicznéj, im większa chęć posiadania i panowania, tém większą będzie potęga pojmowania i syntezy. I oto, czemu w geniuszach czystych piękno idzie w parze z egoizmem, z wielką zdolnością asymilacyi, syntezy, stanowiąc razem wzięte, zdolność twórczą, poezyę.

W reproduktorach i wodzach pierwotnych znajduje się klucz do zrozumienia współczesnych geniuszów i poetów. Tylko, że ich energia brutalna pod ciśnieniem wiekowém społeczeństwa została odpartą, pohamowaną, zawieszoną i skierowaną w kanały specyalne mózgu i zmysłów, wydrążone przez rozwój społeczny. Oto, czemu tajemnicy zdolności twórczéj poety, artysty, filozofa lub genialnego uczonego należy szukać nietylko w ich organach specyalnych—jak mózg, oko, ucho i t. d.—ale także w ich procesach fizyologicznych najbardziéj ukrytych, w ich głodzie i miłości. Człowiek jest to punkt dynamiczny, który z większą lub mniejszą siłą przyciąga ku sobie inne istoty żywe i materyę nieożywioną—na zasadzie praw ogólnych, które rządzą, ciążeniem w przyrodzie całéj. Wszystkie zaś organy specyalne i ich funkcye, oko, które widzi, ucho, które słyszy,

ręka, która chwyta, nawet mózg, który myśli, są tylko narzędziami specyalnemi, za pomocą których to przyciąganie się wywiera.

W rezultacie wszechświat składa się tylko z materyi i energii, które podlegają ciągłym przemianom na zasadzie praw wspólnych. Piękno, również jak moralność, jak inteligencya mają pochodzenie czysto kosmiczne. Czyny piękne, rozumne, lub szlachetne odbywają się na zasadzie tych samych praw, na zasadzie których ciepło zamienia się na światło lub elektryczność, na zasadzie których księżyc obraca się koło ziemi i cały system słoneczny obiega w przestrzeni.

Jednym z przykładów takiego przekształcenia energii jest geniusz współczesny. Jak ze zwykłéj, zdrowéj, dzikiéj róży można zrobić wspaniałą ozdobę naszych ogrodów, ale tylko kosztém jéj płodności, zamieniając całą jéj energię życiową na piękno płatków, tak samo społeczeństwo swém wielowiekowém ciśnieniem coraz bardziéj zamienia swych reproduktorów i wodzów pierwotnych na specyalistów piękna i syntezy umysłowéj. Ale, właściwie mówiąc, pomimo całéj różnicy odcieni, poeci i twórcy wszystkich narodów przedstawiają jeden typ wspólny i szukać go należy we wskazanym ich charakterze zdrowym i pierwotnym. On może z czasem tak dalece się zatracić, pod wpływem kultury społecznéj, iż erotyka może u danego poety lub geniusza nie grać żadnéj już roli, iż może spoglądać na nią z pogardą, lub stać się fizyologicznie bezpłodnym. Ale to dowodzi tylko, iż ciśnienie społeczne dokonało już w zupełności swéj roli i że dobiegło do kresu swych dążeń. Wszystkie fakty co do zwyrodnienia geniuszu, co do jego bezpłodności, zebrane przez Lombrosa i tłómaczone przezeń w sposób tak opaczny, nie mają innego znaczenia. Pokazują one, iż społeczeństwo zamieniło już całą energię swych reproduktorów pierwotnych na sztukę, naukę, poezyę, moralność, wogóle na formy cywilizacyi, zwiększając przez to zasób swych podmiotowych użyteczności, ale hamując postęp biologiczny rasy.

Teraz jesteśmy tak jeszcze oplątani pajęczyną przesądów i wszystkie nasze poglądy są tak nienaturalne, wykrzywione, iż funkcya rodzicielska geniusza, najwyższa z jego funkcyi, tylko śmiech lub oburzenie w nas wzbudza. Stała się ona obecnie przywilejem tłumu, który całym systemem kłamstw konwencyonalnych i nieświadomych zapewnia sobie jedyną nieśmiertelność rzeczywistą, przyznawaną przez naukę, rozmnażaniem i zapełnia w ten sposób świat swemi miernotami. Geniuszowi zaś, nawpół zwyrodniałemu, obiecuje tę nieśmiertelność chimeryczną, która tylko chore dzieci zadowolnić może i która się nazywa sławą w potomności. Oczywi-

sta rzecz, że jeżeli przez tę zmianę ról społeczeństwo rozwija cywilizacyę, to niszczy zarazem same jéj źródła obniżeniem potencyału biologicznego. Każdy akt twórczości umysłowéj zawarunkowany jest nietylko przez pewien stopień rozwoju społecznego, ale także obecnością jednostki o energii biologicznéj dość natężonéj, by mogła sprawić odpowiednią syntezę. Rozwój społeczny daje tylko materyały i pretekst dla pewnego przekształcenia energii, odbywającéj się w geniuszu, i któréj owocem jest wynalazek.

Cała twórczość, do któréj ludzkość jest zdolna, zawiera się w kapitale reproduktorów i wodzów, wytworzonym w czasach przedhistorycznych. Społeczeństwo może kapitał ten tylko zaoszczędzić lub roztrwonić, może całym systemem ciśnień, szczepień i krzyżowań, które w zupełności przypominają sztukę ogrodniczą, skierować energię twórczą swych rozpłodowców na naukę, filozofię, sztukę lub poezyę, ale ono nowych sił twórczych wydać, ani téż samo tworzyć nie jest w stanie, przynajmniéj w takich rozmiarach, jak to geniusz—czyni. Uwydatnijmy to na pięknie. Jest ono pewném przekształceniem energii biologicznéj, odbywającém się w rozpłodowcu i mającém na celu wabienie płci drugiéj, powstrzymywanéj przez stado. Ale pomiędzy członkami stada odbywa się także walka o samice i odpowiednie przekształcenie energii, tylko w stopniu nieznacznym w porównaniu z reproduktorem. Gdy już raz przyzwyczajenie przemiany energii na piękno (w odzieży, ruchach, słowach, myślach i t. d.) wytworzone zostało w celach miłosnych, to przekształcenie to potém już odbywać się będzie i w innych celach. Tak, piękny wódz nietylko wabić będzie kobiety, ale działać będzie przyciągająco na tłum—gestem, słowem, czy piórem—w celach politycznych i społecznych. I w ten właśnie sposób sprawiać będzie syntezę społeczną, która polega na przyciąganiu biologiczném, silniejszém, niż to, które inni członkowie stada wywierają.

Ale i w nim i w tłumie wrażliwość na piękno wytworzyła się początkowo w zupełnie innych celach. Tak samo w człowieku wytwarza się wrażliwość na piękno roślin i zwierząt, powstałe w tymże celu, i na piękno natury nieożywionéj, które jest po części rzutem na zewnątrz naszych stanów duchowych. Dla tego téż Francuzi słusznie powiadają: „*un paysage c'est un état d'âme*".

Zresztą poczucie piękna natury nieożywionéj i ożywionéj ma źródła daleko głębsze jeszcze w ciążeniu powszechném, którego ciążenie biologiczno-płciowe jest tylko jednym z przejawów, Poczucie piękna jest w ten sposób jednym z objawów jedności, panującéj w naturze całéj. Helmholz zapytuje w swéj „Fizyologii muzyki",

czemu pewne tony zawierające daną ilość drgań, matematycznie określoną, wydają się nam pięknemi, inne zaś — nie wydają, i szuka możliwéj odpowiedzi w twierdzeniu filozofów, iż pięknem jest odnalezienie w wszechświecie praw naszego umysłu. Jabym powiedział wprost odwrotnie. Wszechświat jest starszy od nas. Ostatecznie jesteśmy tylko atomami, podległymi ogólnym prawom ciążenia. A ponieważ w układzie wszystko jest związane, każda zmiana zachodząca w wszechświecie, również jak i całość tych zmian objęta imieniem praw, odbija się we wszystkich atomach materyi ożywionéj i nieożywionéj. Nasze poczucie piękna dowodzi więc tylko, iż jesteśmy w zgodności z przebiegiem rzeczy naturalnych, drzew i wiatrów, obłoków i morza.

Jak z jednéj strony szukaliśmy źródeł piękna w ciążeniu biologicznem, w pociągu płciowym, tak z drugiéj musimy ich szukać w ciążeniu kosmicznem. Ale to ostatnie, by mieć wartość społeczną, musi otrzymać wyraz równoznaczny w energii biologicznéj: oto, czemu mechanice społecznéj wystarcza zajmowanie się tą ostatnią: tak np. w nasze równania równowagi estetycznéj wchodzą wszystkie zjawiska naturalne, przedstawiające pewną wartość estetyczną, narówni z wszelkiemi innemi stanami ducha. I to w zupełności wystarcza. Bardzo być może, iż mechanika kosmiczna potrafi kiedyś wyprowadzić równowagę społeczną, i między innemi estetyczną, wprost z prawa przyciągania pomiędzy masami ożywionemi i nieożywionemi. Ale metoda ta nie jest ani jedynie możliwą, ani nawet najlepszą. Tak przy badaniu równowag chemicznych Guldberg i Waage oparli się na mierzeniu przyciągań masowych. Otóż ta metoda okazała się jak najmniéj zadawalniającą z punktu widzenia rezultatów. I obecnie używana jest w tém badaniu bądź metoda termodynamiczna, jak to czynią Clapeyron, Planck i inni, bądź też metoda czysto dynamiczna, jak J. Thompsona, który się opiéra wprost na równaniach ogólnych ruchu Lagrange'a. Ta ostatnia metoda jest jedyną, możliwą do zastosowania przy badaniu równowag społecznych, a głównie równowagi estetycznéj. Zamiast mierzyć akcyę mas, należy mierzyć akcyę energii, co wychodzi zresztą na jedno, gdyż każdemu obiegowi materyi odpowiada obieg energii—w naszym wypadku biologicznéj, gdyż wszelkie inne muszą w niéj znaléźć wyraz, by posiadać wartość społeczną. Tylko, jeżeli badanie równowag chemicznych stało się już liczbowém, badanie równowag społecznych znajduje się jeszcze w stadyum abstrakcyjném, mechaniki czystéj. W każdym razie prawa piękna i wszystkich wogóle objawów duchowych są tożsame z prawami mechaniki. Wykazuje to dobitnie mechanika społeczna, zastosowując też same równania ruchu do wszystkich

objawów życia duchowego, jak i do wszystkich objawów energii kosmicznéj.

Proces estetyczny również, jak i wszelkie inne procesy społeczne, nabiera kryształowéj przejrzystości w świetle mechaniki. Działanie ciążenia powszechnego i prawo przemiany sił w zupełności wystarczają dla ich filozoficzno-naukowego wytłómaczenia. Człowiek nie podlega żadnym innym prawom, niż pozostała natura. Jest on tylko skupieniem energii biologicznéj, która może być mniéj lub więcéj napiętą. W geniuszach napięcie to, wyrażające się siłą przyciągania, albo téż odpychania, dochodzi do najwyższych stopni. Są oni przedstawicielami najwyższego potencyału biologicznego.

Otóż gdy wprowadzeni zostają w stosunki z rasami o potencyale biologicznym niższym, to cała różnica potencyałów (czyli użyteczności społecznéj) zamienia się na energię kinetyczną (*orphélimité sociale*) cywilizacyi. Przekształcenie to, jeżeli nie przekracza określonego punktu, który zapewniając *maximum* cywilizacyi możliwéj, dopuszcza zarazem istnienie i rozwój ras wyższych, zapewnia jednocześnie *maximum* użyteczności i podmiotowéj i przedmiotowéj społeczeństwu. I do tego punktu piękno i sztuka grają rolę doskonałego środka antropotechniki. Z tego powodu, wbrew socyologom, którzy uważają sztukę bodaj czy nie za piąte koło u wozu i odsuwają ją gdzieś na poślednie miejsce w szeregu czynników społecznych, wyprowadzamy ją na jedno z pierwszych miejsc.

Sztuka, jako objaw energii biologicznéj, z punktu widzenia mechaniki społecznéj odgrywa absolutnie takąż samą rolę, co i piękno naturalne, stanowiąc środek przyciągania płciowego i rozmnażania. Jeżeli jednak punkt powyżéj wskazany przekształcenia energii przekroczony został przez rozwój społeczny, wytwarza się jeszcze pewne *maximum* energii, ale już nie kinetycznéj i potencyalnéj jednocześnie, lecz wyłącznie kinetycznéj, t. j. cywilizacyi z obniżeniem stopniowém potencyału biologicznego, które się wyraża w zwyrodnieniu geniusza. Piękno, którego on jest źródłem, stanowić będzie środek doboru sztucznego ozdobami i rozkoszami artystycznemi, z których korzysta tłum; środek ten działa już nie na korzyść geniusza, lecz ras niższych, które rozmnażać się będą, gdy geniusz coraz bardziéj podlegać będzie zwyrodnieniu.

Zastanówmy się bliżéj nad tą kwestyą. W czasach pierwotnych mężczyzna najsilniejszy i najzdolniejszy był źródłem piękna, z którego zresztą sam korzystał, wabiąc niém kobiety i poprawiając rasę. W naszych czasach już nie poeci i artyści, bezpośredni wytwórcy piękna, zeń korzystają, a jeżeli korzystają, to w stopniu nie-

znacznym, w porównaniu z przedstawicielami innych zawodów, którzy go używają nieświadomie w celach antropotechnicznych. Kto czyta poezye? Młodzież, nie zajęta jeszcze walką o byt materyalny, natomiast pochłonięta w znacznym stopniu walką o miłość. W poematach szuka ona nieświadomie pięknych słów, pięknych myśli i pięknych uczuć, któremi się szczerze rozrzewnia, które naśladuje i używa bezwiednie, jako środków podobania się, jako oręży w walce o miłość, gdyż na tém polu piękno jest potężném narzędziem zwycięztwa. Używa więc póz piękna nie tylko czysto estetycznego, ale moralnego i umysłowego. Ten bohatér lub ta bohaterka, których poeta wymarzył w polotach wzniosłéj ekstazy, są następnie powtarzani w tysiącach egzemplarzy przez młodzież męzką i kobiecą, która się nimi zachwyca, i służą następnie jako środek podobania się i podboju osób mniéj inteligentnych lub mniéj zamożnych, które nie miały czasu, zdolności lub możności przywłaszczenia sobie danego *cliché* poetyckiego i które dlatego poddają się czarowi naśladowców szczęśliwszych. W ten sposób poezya odgrywa rolę całkiem niespodzianą i która jest, jak to wnet zobaczymy, bodaj czy nie najważniejszém jéj zadaniem w ogólnéj ekonomii społecznéj.

Toż samo powiedzieć można o malarstwie, muzyce i t. d. Osoby najbogatsze i najzdolniejsze, które najlepiéj potrafią smakować w dziełach wielkich artystów i najlepiéj umieją o nich rozprawiać, będą miały najwięcéj powodzenia u pań, jakkolwiek artyści sami mogli za życia być chorzy, ślepi, głusi — mogli nie wychodzić ze swych pracowni.

W ten sposób podział pracy społecznéj zamienił dawnych reproduktorów na przyprawiaczy czarów miłosnych i ta praca wyczerpuje ich energię życiową, która niegdyś służyłaby do poprawiania rasy, a ta ich funkcya rodzicielska powierzoną została innym członkom społeczeństwa. Oczywista rzecz, iż pośród tych ostatnich ci, co są najinteligentniejsi, najzdolniejsi i najbogatsi, najlepiéj potrafią bądź przeniknąć myśli i intencye poetów i artystów, bądź téż przyswoić sobie ich dzieła w sposób czysto powierzchowny o tyle, aby miéć powodzenie w „towarzystwie". A więc nawet w tym stanie rzeczy sztuka gra wciąż rolę antropotechniki i zapewnia *maximum* energii biologicznéj społeczeństwu, ale będzie ono już mniejsze niż to, które otrzymywano niegdyś bezpośredniém rozmnażaniem reproduktorów. (Stan ów zapewniał *maximum maximorum* biologiczne). Obecnie rozmnażają się ich naśladowcy, mniéj lub więcéj powierzchowni, gdy dawniéj rozmnażali się twórcy oryginalni.

Prawda, iż wszystko, co tracimy w ten sposób na energii biologicznéj możebnéj, na wyższości rasowéj, zyskujemy na energii społecznéj czynnéj, na naśladownictwie pięknych myśli, słów, póz i czynów, które w ten sposób rozchodzą się po całém społeczeństwie. Należy dodać, iż te naśladownictwa piękna estetycznego, moralnego, umysłowego i t. d. mają naturalnie swą wartość samoistną, niezależnie od wszelkich celów antropologicznych, ale jest to zwykle wartość czasowa, mająca znaczenie cywilizacyjne dla danéj epoki lub danego pokolenia, gdy tymczasem ulepszenie rasy w ten sposób zdobyte ma znaczenie dla całego szeregu pokoleń, chociażby dla tego, iż potomkowie geniuszów, lub w braku takowych ich zdolnych naśladowców, staną się źródłem nowych dzieł, nowych tworów piękna w oddalonéj przyszłości. Tymczasem w braku tych szczepów wszelki postęp estetyczny, a może i umysłowy, musi się kiedyś w przyszłości zatrzymać.

W ten właśnie sposób należy rozumieć rolę antropotechniczną sztuki. Wątpię nawet, czy świadoma antropotechnika mogłaby dziś już, gdy jeszcze nie mamy pewnych wskazówek naukowych pod tym względem, tak dobrze spełnić tę rolę zachowania dla przyszłości istniejącego kapitału eugenistów, jak to czyni sztuka empirycznie i automatycznie. Nic w społeczeństwie nie dzieje się przypadkiem i zjawiska najdowolniejsze, wydając się podległemi tylko kaprysowi osobistemu, są w rzeczywistości kierowane przez żelazne prawa mechaniki i przekształcania sił i odgrywają określone zadania utylitarne w ogólnéj ekonomii społecznéj.

Dodajmy wreszcie, iż rolę antropotechniki odgrywa sztuka tylko w społeczeństwach, gdzie posiadanie i przywileje oparte są na istotnéj zasłudze, na wyższości rasowéj, nie zaś na monopolu. W tym ostatnim wypadku bogactwa znajdą się w ręku niezdolnych miernot, a wówczas wysiłki poetów i artystów na tworzenie piękna pójdą na korzyść tych właśnie miernot, i one to mianowicie używać go będą, jako środka do swego rozmnażania, albo téż jako narzędzia dla swego zepsucia.

W tych wypadkach sztuka przestaje grać swą rolę dodatnią w rozwoju biologicznym społeczeństwa i zaczyna grać rolę ujemną, a może także stać się jedną z dróg zwyrodnienia, ku któremu cały agregat społeczny wówczas dąży. Taką właśnie rolę rozkładową sztuka odgrywa zwykle przy schyłku każdéj wielkiéj cywilizacyi: tak było w Grecyi i Rzymie za czasów upadku i we Francyi przed wielką rewolucyą.

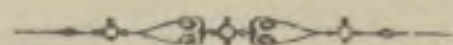
W czasach jednak rozwoju normalnego sztuka jest potężnem narzędziem doboru biologicznego i gdy wszelkie inne dobory społeczne, jak ekonomiczny, polityczny, moralny, prawny i t. d., okazują się w świetle nowych badań zabójczemi dla rasy, bądź zbytnim podziałem pracy, bądź ciążeniem, które rasy niższe wywierają na eugenistów, bądź rewolucyami, które ich wytępiają, tylko dobory estetyczne bezustannie wywierają swój wpływ zbawienny.

We wszystkich wszakże epokach, czy postępu czy cofania się społeczeństw, bezpośredni niegdyś reproduktorzy ludzkości, artyści, poeci i wogóle geniusze, wydają się skazani na zagładę. Fakty, zebrane przez Lombrosa i jego szkołę, w zupełności to potwierdzają. Ale one tylko dowodzą, iż społeczeństwa mogą mieć cywilizacyę rozwiniętą jedynie kosztem życia swych szczytów antropologicznych.

Dr. Leon Winiarski.
Prywat. docent Uniwersytetu Genewskiego.



KRONIKA GALICYJSKA.



Lwów w lutym.

Ś. p. ks. Jan Badeni. Aferzyści. Katastrofa kredytowa. Mali ludzie do wielkich interesów. Literatura ludowa.

W cichéj celi klasztornéj OO. Jezuitów zmarł w pierwszych dniach stycznia b. r. w pełni męzkiego wieku (w 42 roku życia) ks. Jan Badeni, jako kapłan, pisarz i niezmordowany inicyator a zarazem niestrudzony działacz w zakresie spraw publicznych, otoczony taką czcią powszechną, takiém uwielbieniem, jakie w społeczeństwie naszém zdobywa się dopiéro niezwykłą miarą zasług. Niezwykłą postacią był ks. Badeni pod względem talentu pisarskiego, woli i energii w działaniu obywatelskiém, więc niezwykłą jest téż spuścizna, która została po jego krótkiém życiu. Wyrażenia „strata niepowetowana”, „luka na razie wypełnić się nie dająca” i t. d. powtarzają się tak często w dorywczych nekrologach dziennikarskich, spowszedniały już tak dalece, jako banalna ornamentyka stylistyczna, że w wspomnieniu pośmiertném o ks. Janie Badenim użyć ich można chyba tylko z tém wyraźném zastrzeżeniem, iż słowa tłómaczone być powinny jaknajściśléj, bez odrobiny przesady lub chociażby tylko swobody frazesowéj.

Nie myślę podnosić tutaj obrazu całéj działalności ś. p. ks. Badeniego, bo jest to materyał nie dla kroniki peryodycznéj, lecz dla osobnego studyum, które, jeżeli napisane zostanie na szerokiém tle obecnych przesileń społecznych w Galicyi, byłoby z pewnością bar-

dzo pouczające, jako przykład i zachęta dla wszystkich ludzi dobréj woli i szczeréj chęci do pracy obywatelskiéj. Uwagi niniejsze mogą uchodzić zaledwie za najogólniejsze rysy charakterystyczne indywidualności i działalności ks. Jana Badeniego.

Ktokolwiek pisze dziś o ks. Janie Badenim, winien podnieść to na samym wstępie i dobrze podkréślić, że był to przedewszystkiém kapłan-zakonnik wzorowy, *strictissimae observationis*. Jeżeli taki mąż od czasu do czasu wysuwa się z cichéj celi klasztornéj na szeroką widownię życia, aby czy to zapłodnić swój bystry umysł spostrzegawczy i niepospolity talent pisarski wycieczkami do różnych mało znanych, a jeszcze mniéj ze stanowiska społeczno-etnograficznego zbadanych krajów i zakątków słowiańskich w Austryi i po za Austryą, czy to zmierzyć się oko w oko z podżegaczami, zamącającemi spokój i porządek społeczny w klasach niższych, pomiędzy ludnością wiejską i robotniczą, czy to wreszcie ziścić jakiś pomysł, stworzyć jakieś dzieło publicznéj dobroczynności lub użyteczności — to zawsze i na każdym kroku czuł się przedewszystkiém sługą Bożym, powołanym do pracy bez wytchnienia i bez osobistych aspiracyi pisarskich lub politycznych, działającym wyłącznie za głosem czystych intencyi i troski o dobro ogółu.

Powyższy rys charakterystyczny w postaci ks. Jana Badeniego wysunąć wypada na pierwszy plan dla tego, że gdy jest mowa o nim, przed oczyma mimowoli staje każdemu wcielona antyteza takiego podniosłego pojmowania powołania kapłańsko-obywatelskiego, staje w demonicznéj grozie swojéj destruktywnéj działalności osłwiony ks. Stanisław Stojałowski, najpierw tak samo, jak ks. Jan Badeni, wychowaniec OO. Jezuitów, a późniéj ksiądz świecki, porwany wirem agitacyi polityczno-społecznéj w niższych warstwach tak daleko, że stracił zupełnie z oczu kapłańskie powołanie, stał się apostołem zawiści i niezgody, szerząc między ludem wiejskim uprzedzenia do szlachty i sfer rządowych. Znacznie starszy od ks. Jana Badeniego, uprzedził go ks. Stojałowski w działalności publicznéj, to téż, kiedy pierwszy obejmować zaczął bystrym wzrokiem całą niwę stosunków społecznych w kraju, spostrzegł tam już dojrzewający a bujny plon złego posiewu, który ks. Stojałowski rzucał przed nim pełną garścią pod okiem wszystkich czynników, powołanych do strzeżenia téj niwy, ale nieoględnych czy niedbałych w pojmowaniu obowiązków tego powołania. Pierwsza praca publicystyczna, która zwróciła uwagę kraju na ks. Jana Badeniego, była niejako alarmem podniesionym na widok tego ruchu ludowego, który rozbudzony, a zarazem na fałszywe tory skierowany przez ks. Stojałowskiego, już poważnie zagraża

zaczął interesom publicznym. Alarm publicystyczny ks. Jana Badeniego był głośny, dobitny, jak wszystko, co z pod jego pióra wychodziło, ale snać gnuśność, czy niedbałość, kół powołanych do działania była większą niż dosadność alarmu, skoro nie alarm ten, lecz dopiero późniejszy szereg ujemnych objawów w życiu publicznem, mianowicie wyniki dwukrotnéj fatalnéj w swoim przebiegu kampapanii wyborczéj, dały impuls do intensywnéj akcyi zaradczéj.

Że w akcyi téj ks. Janowi Badeniemu przypaść musiała czynna rola, to rzecz naturalna. Zaczęła się teraz jego praca właściwa, pełna dodatnich skutków na każdym kroku i to nietylko przemijających lecz i takich, które czy to w formie instytucyi pożytecznych, czy pism popularnych, zdobywających sobie coraz szersze koła czytelników po wsiach i po warsztatach, czy wreszcie w formie stałéj organizacyi dobrych żywiołów, mianowicie w klasie robotniczéj, posiadającéj dziś szereg stowarzyszeń antisocyalistycznych, pozostaną trwałym dobytkiem społecznym, a zarazem trwałym pomnikiem zbawiennéj działalności ś. p. ks. Jana Badeniego.

Spuścizna literacka nieboszczyka zejść musi w tém wspomnieniu dorywczém na drugi plan nie dla tego, żeby miała być małoznaczną. Gdyby chodziło o skréślenie pełnéj sylwetki zmarłego, to jego działalność pisarska musiałaby wiele zająć miejsca, bo jéj rezultatem jest cały szereg szkiców i rozpraw, pełnych aktualnego, społecznego znaczenia, a przytém napisanych tak oryginalnym, jędrnym stylem, że wyróżniały się zawsze i wyróżniać będą pomiędzy innemi pracami na ten sam temat napisanemi. Jeżeli zatém mówimy o usunięciu działalności pisarskiéj ś. p. ks. Jana Badeniego na drugi plan, to czynimy to dlatego, że chodzi tutaj o podniesienie głównych tylko rysów charakterystycznych téj niepospolitéj osobistości.

Najwybitniejszym z tych rysów, tym właśnie, który poniekąd nadawał ks. Janowi Badeniemu charakter kruka białego, unikatu w naszém społeczeństwie, była siła woli i jéj energia w działaniu. Ks. Badeni nie miał równego sobie działacza w szybkości i stanowczości, z jaką przystępował do urzeczywistnienia pomysłów, raz powziętych i za dobre uznanych. Od słowa, czy to pisanego, czy wygłoszonego publicznie, do czynu, był tylko krok jeden, z którym nie ociągał się nawet wtedy, gdy na pierwszy rzut oka widział przed sobą same tylko trudności, jakie jednego zraziłyby już na wstępie, drugiego wstrzymałyby w połowie drogi, a zmarłego niejako tylko tém więcéj pobudzały do wytężenia energii. Kto pisać będzie wyczerpującą jego biografię, powinien na czele postawić dwuwiersz Mickiewicza:

W słowach chęć tylko widzim, w działaniu potęgę.
Trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę.

Ks. Badeni napisał szereg ksiąg, ale co stokroć ważniejsza, przeżył szereg nie dni lecz lat nie tylko dobrze lecz i pożytecznie tak dla zakonu, którego był ozdobą i chlubą, jak i dla społeczeństwa, które mu wiele zawdzięcza, a nieskończenie więcéj oczekiwało jeszcze później, gdyby skon przedwczesny nie był go powalił na pobojowisku życia publicznego, tak dziś u nas ożywionego i tak wiele ofiar pochłaniającego.

Majestat śmierci nie został zupełnie uszanowany przez tych wszystkich propagatorów przewrotu i waśni społecznéj, dla których ks. Badeni był najstraszniejszym przeciwnikiem. Po ludzku rzecz biorąc, nie można się temu dziwić, zwłaszcza wobec faktu, że z ks. Badenim nie poszło do grobu to wszystko, co on bądź to już zbudował, bądź dopiéro zapoczątkował, a co propagatorom tym nadal planów, szyków krzyżować nie przestanie.

* *

*

Od niejakiego czasu coraz częściéj spostrzegać się daje w naszém życiu ekonomiczném objawy tego niezdrowego prądu spekulacyjnego, który na zachodzie dawno się już rozpanoszył i doprowadził do panamowéj doskonałości, czy grozy, a stanowi przytém tak wybitne *signum temporis*, że w wielkiéj, ciągle wznawianéj i za każdym razem tylko odraczanéj dyskusyi socyologów na temat, czy współczesna wielka ewolucya cywilizacyjna zmniejszyła sumę złego w moralném i kryminalistyczném tego słowa znaczeniu, ten właśnie szczegół stanowi jeden z głównych punktów rozprawy i kontrowersyi. W téj rozprawie optymiści są w mniejszości, a przeważa zdanie, że zło, jak Proteus, zmienia tylko swoje oblicze, ale złem być nie przestaje, że zatém cywilizacya wywołuje tylko metamorfozę złego, ale nie jego redukcyę. Dawniéj — tak mniéj więcéj mówią pesymistycznie nastrojeni socyologowie, jak Tarde, Sighele i inni — bryganci napadali podróżnych w Abruzzach, wogóle na odludnych drogach, z bronią w ręku i z somacyą zbójecką: życie lub mienie, dziś jeździmy i chodzimy wszędzie, zabezpieczeni przed brutalnemi napadami zbójów, ale za to otoczeni dokoła brygantami innego kroju, szalbierzami, umiejącymi wybornie poruszać się na wązkim przesmyku pomiędzy prawem prywatném a karném, obdzierającymi wszystkich łatwowiernych, którzy się im w drodze nawiną i polegając na dobréj

wierze, uczciwości, a raczéj jéj łudzących pozorach, wpadają nieoględnie w niedostrzegalną dla nich gęstą sieć spekulacyjną. Żeby miéć obraz dokładny tego nowoczesnego brygantyzmu, wystarczy rzut oka za kulisy jego głównego przybytku, giełdy dzisiejszéj.

Nie posiadamy u siebie takiego przybytku nowoczesnego brygantyzmu, ale ofiar dostarczaliśmy i dostarczamy ciągle owym przybytkom tego rodzaju. Żadna z kilku głośnych katastrof giełdowych w Wiedniu nie minęła bez ofiar galicyjskich, tém smutniejszych, że w kieszeń brygantów nowoczesnych poszły nie, jak gdzieindziéj, zyski dawniéj tą drogą zdobyte, więc jako *maleparta* godne tego losu, lecz substancye majątkowe przedtém z trudem uczciwie zebrane i w spuściźnie przekazane. Nie posiadając takiego własnego przybytku nowoczesnego legalnego (*sit venia verbo*) brygantyzmu, nie posiadamy także brygantów domorodnych. Za to jednak wytwarza się u nas osobny, do stosunków przykrojony typ spekulantów, stojących hierarchicznie poniżéj powyższych brygantów, ale w danéj sytuacyi równie szkodliwych i niebezpiecznych. Żeby nie uwłaczać pojęciu spekulacyi w racyonalném, dobrém tego słowa znaczeniu, spekulacyi, polegającéj na umiejętném i bystrém wyzyskiwaniu tych rozlicznych czynników konjunktury, które w dzisiejszém skomplikowaném do najwyższego stopnia życiu obrotowém, rozstrzygają o powodzeniu każdego przedsiębiorstwa, trzeba dla takich wice-brygantów, jakich tutaj mamy na myśli, przyjąć inną nazwę. Nazwijmy ich np. aferzystami, najbliższymi w genealogii tym ptakom niebieskim naszego społeczeństwa, co to ani sieją ani orzą, a jednak zbierają w sposób zagadkowy plon obfity. Aferzysta sieje, ale nie ziarno, lecz—tumany kurzu i to tak, aby on spadał nie na ziemię, lecz na oczy tych, których się pragnie olśnić czy oślepić, a w każdym razie naciągnąć. Aferzysta taki raz przyczepia się do jakiego żywotnego przedsiębiorstwa, jak pauper do wozu, aby chwycić po drodze, co się daje, i drapnąć potém z pełną kieszenią, drugi raz obmyśli jakiś spektakl reklamowy, t. j. przedsiębiorstwo na oko dobrze wyglądające, ściągnie ile możności najwięcéj widzów, t. j. uczestników lub akcyonaryuszy, a pobrawszy opłaty wstępne, t. j. części wpłaconych udziałów, ulatnia się z „zyskiem” w kieszeni i zostawia okpionych gości własnemu losowi.

Zagranica na tém polu przewyższa nas dotąd na szczęście nasze tak samo, jak w brygantyzmie nowoczesnym. Wyższość ta jednak jest tutaj dzisiaj na nasze nieszczęście już nie tak znaczna, jak była do niedawna. Wydała bowiem Galicya w ostatnich czasach aferzystę, którego sprawkami nie sama tylko się zajmowała, którego

kieszeń jednak sama wypychała w czasie życia hulaszczego. Nazwiska nie wymieniam, bo znane jest z kryminalnych listów gończych, a krakowska instytucya asekuracyjna, któréj długi czas był luminarzem, a w końcu demonem, jest dobrze znana po za Galicyą. Karyerę swoją zamknął ten aferzysta szalbierstwem, popełnioném w zakresie téj gałęzi przemysłu, w któréj Galicya posiada albo raczéj mogłaby posiadać nieprzebrane źródło bogactwa, t. j. w zakresie przemysłu naftowego. Z wielkim hałasem utworzył on spółkę naftową dla eksploatacyi terenu wyborną reputacyę posiadającego, pobrał od ludzi niezamożnych drobne kapitaliki, zeskontował sobie naprzód zyski podobnym sposobem i według imaginacyjnéj skali, a drapnąwszy potém zagranicę, zostawił spółkę w takim stanie, że jéj członkowie odbywają jedno zgromadzenie po drugiém, z rozprawami coraz skandaliczniejszemi, i mimo to do ładu dojść nie mogą i nie dojdą, jeżeli sobie nie powiedzą z góry, że są w pole wyprowadzeni i że im nic innego nie pozostaje, jak tylko formalnie dokonać na swoich kapitałach amputacyi, faktycznie już przez założyciela-aferzystę dokonanéj. Im prędzéj to nastąpi, tém lepiéj dla nich, bo się krócéj łudzić będą, a zniknie wreszcie z widowni szalbierska *cause célebre*, rzucająca cień na inne podobne interesa spółkowe w Galicyi. A interesa te są niestety dziś w stanie tak zachwianym, że nie wiele potrzeba, aby je do reszty skompromitować. Już i tak opinia jest uprzedzona i w każdém chybioném przedsiębiorstwie radaby znaleźć innego aferzystę.

Dotąd była mowa o aferzystach w znaczeniu szalbierzy, przystępujących do interesu z powziętym z góry zamiarem wydobycia korzyści z cudzéj łatwowierności czy naiwności ekonomicznéj w taki sposób, aby cel osiągnięty został bez wejścia w nieprzyjemną kolizyę z kodeksem karnym. Są jednak inni aferzyści lepszéj kategoryi, tacy, którzy obmyślają i od razu przeprowadzają plany, zakrojone na wzbogacenie się nie za pomocą podstępu i z cudzą krzywdą, lecz o tyle nawet w dobréj wierze, że uważają już swoje pomysłowości za wielki kapitał, który wprowadzany w ruch, przynieść powinien i musi lichwiarskie odsetki. Są to niejako gracze, puszczający się na hazard, ślepo ufający swojemu szczęściu i zachęcający drugich do udziału z tém lekkomyślném przeświadczeniem, że wiodą ich na drogę wielkiéj fortuny. Gracz taki niedopuszcza się nielojalności w manipulowaniu kartami, t. j. swojemi pomysłami, ale gra na oślep, i jak zawsze w takich razach bywa, — zrobi czasem szczęśliwą partyę. Jeżeli się w porę z gry wycofa, wyjdzie z łupem, jeżeli zbytnio zaufa szczęściu, prędzéj lub późniéj straci wszystko

i zarwie swoich wspólników. W pierwszym wypadku tryumf jego będzie demoralizującym, bo podrywać musi i tak już trawiącą wszystkich żądzę wzbogacenia się i używania bez trudu i pracy, w drugim lojalny na pozór aferzysta kończy tak samo jak aferzysta-szalbierz, ruiną własną i tych, którzy mu zaufali. A w dodatku cierpi na têm sprawa ekonomiczna, któréj uczepił się taki aferzysta ze swojemi planami, chociażby ona nawet była zkądinąd żywotna i godna wszelkiego poparcia.

Tak się np. stało u nas w kilku wypadkach kupna wielkich majątków w zamiarach parcelacyi, którą najlepsi znawcy naszych stosunków agrarnych usilnie zalecają, oczywiście z zastrzeżeniem, że będzie racyonalnie podjęta i przeprowadzona. Jedna i druga taka parcelacya przyszła do skutku z rzetelną korzyścią dla wszystkich interesowanych, a poniekąd nawet dla interesu publicznego, ale zaraz potêm zaczęło się kupowanie wielkich dóbr przez aferzystów lekkomyślnych, z dziwnêm zaślepieniem wierzących w swoją gwiazdę, uważających już samo formalnie ale bez potrzebnych funduszów dokonane kupno wielkich kompleksów ziemi lub lasu za interes złoty, któremu kredyt bankowy i prywatny na oścież otworzyć winien wrota do swego skarbca, który czy to przez parcelacyę, czy przez forsowną eksploatacyę lasów, wszystkich uczestników musi wzbogacić. Jeden taki interes świeżo skończył się wprost tragicznie, bo samobójstwem obywatela, który w powiecie swoim zajmował przodujące stanowisko publiczne, był rzeczywiście pożytecznym dla sprawy publicznéj i w dodatku posiadał fortunę, wprawdzie nie magnacką, ale wcale dostatnią. Nieszczęsny los czy przypadek sprowadził go z bitego gościńca zasłużonéj pracy obywatelskiéj na manowce aferzysty, po których nie błąkał się długo i na któréj nie splamił się niczêm, ale za to tak się powikłał w interesa kredytowe, że w przesadnéj obawie o zagrożoną egzystencyę, a jeszcze przesadniejszéj o honor, już wcale a wcale nie zagrożony, targnął się na własne życie. Gdybyż przynajmniéj ten tragiczny los obywatela, porywającego się na awanturę spekulacyjno-kredytową z typową szlachecką łatwowiernością był odstraszającym przykładem dla wszystkich aferzystów lepszéj kategoryi, tych, których lekkomyślna wiara w możność zdobycia wielkiéj fortuny za pomocą saméj tylko pomysłowości spekulacyjnéj popycha na manowce.

Wypadek powyższy pociągnął za sobą fatalne następstwa dla kredytu publicznego, wogóle dla sprawy publicznéj o tyle, że był niejako ową ostatnią kroplą, od któréj woda przelewa się przez brzegi pełnego naczynia. Zmyślona pogłoska, że weksle z powyższego interesu obciążają zanadto portfel galicyjskiéj kasy oszczędności, wywołała w szeregach jéj klienteli, najpiérw lwowskiéj a potém i prowincyonalnéj, panikę i tłumne zgłaszanie się po zwrot wkładek. W ciągu dni kilku odebrano kasie milionową kwotę, a gdy mimo wypłat szybkich, zazwyczaj w takich wypadkach jeżeli nie w pierwszym zaraz dniu to w następnym uśmierzająco wpływających, tłumy nie przestawały spieszyć do kasy po odbiór wkładek, rzecz przybrała charakter tak niepokojący, że namiestnik i marszałek krajowy musieli zająć się sprawą i zarządzić rewizyę interesów kasy oszczędności. Rezultat był wprost przygnębiający. Nie wykryto żadnéj malwersacyi, ale wyszły na jaw szczegóły do prawdy nie podobne. Znaleziono bowiem w portfelu weksle jednéj, bardzo zresztą poważnéj i na sympatyę zasługującéj, ale mimo to ryzykownéj firmy (przedsiębiorstwo kopalń naftowych Szczepanowski, Wolski i Odrzywolski) na sumę—4,700,000 złr.! Oprócz tych weksli znaleziono inne pomniejsze, ale także ryzykowne, i razem składające się na pokaźną sumę co najmniéj wątpliwych pozycyi. Namiestnik ogłosił ten rezultat z kontra z kategoryczném zapewnieniem, że chociażby kasa oszczędności ponieść miała znaczne straty na swoich wierzycielach, to w żadnym razie wkładki nie są zagrożone, a fundusz rezerwowy wystarczy na pokrycie strat. Mimo tego zapewnienia, a właściwie po niém dopiéro zaczęła się prawdziwa *debacle*. Policyą musiano obsadzić wejście do kasy, aby tłok interesantów, spieszących z wypowiedzeniem wkładek, jako tako w karbach utrzymać. W chwili, gdy to piszę, tłok ten jest codziennie jednakowy, a nieufność udziela się coraz szerszym kołom i skłania do wypowiadania wkładek nawet ludzi inteligentnych. Jakie kręgi zakréśli sobie to przesilenie w dalszym przebiegu, na razie nawet zmierzyć nie można. Z kasą oszczędności łączy się mnóstwo interesów kredytowych i całe gałęzie przemysłu, a w dzisiejszym, tak skomplikowanym systemie kredytowym zastój, a tém mniéj klęska w jednym punkcie nie da się pomyśléć bez dotkliwych następstw na innych punktach. Już dziś nasi wrogowie, a na ich czele prasa wiedeńska, komentują wypadek ten w taki sposób, aby cień padł na cały kredyt krajowy.

Nigdy jeszcze wielka nieoględność nie wyrządziła tyle szkody publicznéj, co w tym wypadku. Bo że tutaj w grę wchodzi tylko

nieoględność, to nie ulega wątpliwości. Tak, dyrektor naczelny kasy oszczędności, mąż zasłużony i wypróbowanéj prawości, jak i szefowie owéj firmy, któréj weksle na szwank wystawiły kredyt publiczny, zgrzeszyli nieoględnością, nie tą zwyczajną nieoględnością, która nie patrzy na najbliższe następstwa zrobionego kroku, lecz nieoględnością fantastyczną. Wszyscy unieśli się w obłoki wielkich rojeń i stracili z oczu realne stosunki z ich skromną miarą. Po amerykańsku, czy po angielsku, zakréślono plan przedsiębiorstwa, po amerykańsku, czy po angielsku, obliczano ich rozrost i stosownie do tego musiał kredyt przekroczyć wszelką miarę. I dyrektor kasy i szefowie owych przedsiębiorstw byli niezawodnie przekonani, że milionowe rezultaty eksploatacyi wszystko pokryją, a w dodatku wzbogacą kasę i postawią przemysł, przynajmniéj jedną gałęź jego, na wyżynie zagranicznéj!

Dajmy na to, że wszystkie obawy, dziś głośno wypowiadane, wcale się nie ziszczą, że weksle kasy oszczędności zostaną do centa spłacone, a firmy w nich zaangażowane nic na tém nie ucierpią. W tym najlepszym razie pozostałyby zawsze jeszcze pożałowania godne złe skutki, których już uchylić nie podobna. Najpierw bowiem nie rychło wróci dawne uspokojenie tak, aby napowrót wpływały do kasy owe drobne kwoty stróżów, kucharek i t. p., to jest oszczędności, na których ze względów dobra społecznego najwięcéj zależy. Jeżeli zaś oszczędności takie nie będą wpływały do kasy, to z pewnością rozejdą się marnie, bo tylko wyjątki potrafią oprzéć się pokusom i chować będą pieniądz w skrzyni bez procentu. Niepowetowana pozostanie daléj strata, poniesiona w dniach popłochu przez tych biednych prostaczków, którzy oblegali kasę ze swojemi książkami, a nie mogąc się docisnąć, sprzedawali je za bezcen, oczywiście żydom, wychodzącym w takich razach na łup z planem obmyślanym. Opowiadano sobie codziennie oburzające szczegóły o takich tranzakcyach żydowskich. Tysiące wydarto w ten podstępny sposób najbiedniejszéj klasie.

Wogóle żydzi odegrali w całéj téj sprawie rolę fatalną, bo nietylko jedni spekulowali w powyższy sposób niegodziwy, lecz nadto drudzy potęgowali i rozszerzali panikę we Lwowie i po za Lwowem tak, że w końcu powstał domysł, iż chodzi o założenie jakiegoś banku żydowskiego, do czego wstępem miałaby być ruina kasy oszczędności. Antysemici mogą zacierać ręce z radości. Najzręczniejsza propaganda za pomocą prasy nie zdziałałaby w roku tyle, ile im przyniosła ta kilkunastodniowa panika w kasie oszczędności.

Niepowetowaną jest wreszcie strata polityczna, jaka się łączy ściśle z katastrofą w kasie oszczędności. Podkopuje ona bądź co bądź zdolność do akcyi stronnictwa sympatycznego, które w ostatnich zwłaszcza czasach pracować zaczęło w sejmie skutecznie nad stworzeniem pomostu pomiędzy t. zw. ludowcami a większością sejmową, więc nad usunięciem jednéj z największych zapor naszego normalnego rozwoju polityczno-społecznego. Jeden z głównych szefów tego stronnictwa, Stanisław Szczepanowski, wyjdzie z całéj téj sprawy niezawodnie bez najmniejszéj skazy, ale zachwiany w swojéj niepospolitéj energii obywatelskiéj, która i tak niestety wskutek choroby w ostatnich czasach słabnąć zaczęła.

*

* *

Tak zwanych, wielkich ludzi do małych interesów, którzy nie chcąc czy nie mogąc się pogodzić z właściwym sobie zakresem działalności, przybierają przynajmniéj taką pozę, jak gdyby w tym skromnym zakresie chodziło o same wielkie rzeczy, wszędzie i zawsze jest bez liku. Za to mali ludzie do wielkich interesów nie są w normalnych stosunkach zwyczajném zjawiskiem, bo, żeby tacy ludzie występować mogli na widowni publicznéj bez narażenia się na śmieszność, do tego potrzeba przygotowanego gruntu i to przygotowanego pod dwoma względami. Najpierw musi być zachwiana powaga ludzi kierujących sprawami, a powtóre potrzebną jest do tego sytuacya powikłana, albo raczéj wprost chaotyczna. W téj chwili w całém państwie a w konsekwencyi i u nas grunt jest rzeczywiście doskonale przygotowany dla małych ludzi do wielkich interesów. W Wiedniu parlament stał się podobnym do pospolitego zbiegowiska, w którém pierwszy lepszy wysunąć się może naprzód, roztrącając wszystkich i starszych i rozumniejszych i doświadczeńszych, a że od głowy ryba się psuje, więc deprawacya polityczna pod względem upadku wszelkich powag przenosi się coraz daléj. Chaos w sprawach publicznych, brak wszelkiéj świadomości, dokąd się zdąża, lub dokąd fatalizm zawiedzie, ośmiela każdego do zabierania głosu i układania projektów polityczno-sanacyjnych lub reform społecznych. Tak np. u nas głośny, ale nie sławny jeszcze p. Daszyński, widoma głowa frakcyi socyalistycznéj, ni ztąd ni zowąd uczuł w sobie powołanie do uszczęśliwienia Galicyi broszurą, w któréj rozwija program wielkiéj reformy stosunków, takiéj reformy, po któréj przeprowadzeniu moglibyśmy już z założonemi rękami używać szczęśliwości politycz-

nej. W tym programie punkt pierwszy stanowi krucyata wypowiedziana „szlachetczyźnie”, pojmowanéj w téj broszurze oczywiście nie w herbowém tylko znaczeniu, lecz w politycznem, więc identyfikowanéj ze stronnictwem rządzącém. Wszystkie dalsze punkta programu stanowią niejako rekapitulacyę tego, co w każdéj kampanii wyborczéj słyszéć można w tuzinie mów kandydackich.

Właściwie, broszura p. Daszyńskiego powinnaby być traktowana w sposób sarkastyczny, bo człowiek, który dotąd nie wygłosił publicznie żadnéj mowy bez powtórzenia socyalistycznego *ceterum censeo*, że najpierw należy cały dzisiejszy porządek społeczny zburzyć lub wywrócić do góry nogami, wygląda w każdym razie zabawnie w roli i w pozie reformatora, myślącego tylko o naprawie tego, co niedomaga w dzisiejszym ustroju. Tymczasem w prasie naszéj broszura p. Daszyńskiego, zamiast znaleźć sarkastyczną ocenę, traktowana jest w ten sposób, jakgdyby chodziło o poważną enuncyacyę, z którą się liczyć należy. Znalazł się nawet głos krytyczny, który w tém wystąpieniu p. Daszyńskiego na widowni publicystycznéj widzi symptom ogólnego a doniosłego znaczenia społecznego, mianowicie oznakę, że za hasłem wydaném na ostatnim zjeździe socyalistów niemieckich także i nasza frakcya socyalistyczna zaczyna się moderować i przekształcać na stronnictwo, z którém nie jak dawniéj na zabój walczyć należy, lecz jako z czynnikiem wrzekomo zdolnym do pracy dodatniéj paktować można. A tymczasem p. Daszyński skorzystał tylko z chwili chaotycznéj, aby popisać się reformatorskiemi aspiracyami swojemi i zwrócić na siebie uwagę, lub uśpić czujność wobec roboty socyalistycznéj. W pierwszym razie ozwał się, jak mały człowiek do wielkich interesów, w drugim razie chwycił się fortelu i znalazł poparcie mimowolne u innnych ludzi téj kategoryi, którzy jego ozwanie się tak traktują, jakgdyby chodziło o poważny projekt reform.

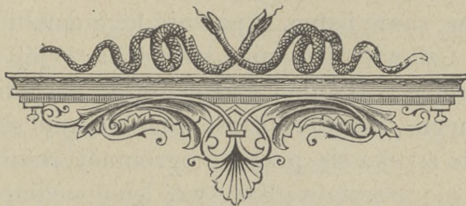
*

* *

Wśród ciągłych narzekań na wybujałość złéj prasy ludowéj, propagującéj po wsiach rozterkę społeczną i nienawiść do żywiołów przodujących, zdawałoby się, że tylko zły kierunek w téj prasie robi postępy, a dobra literatura ludowa albo wcale nie istnieje, albo przynajmniéj wcale się nie rozwija. Tymczasem tak źle nie jest, bo w ostatnich czasach powstały nowe pisma popularne (np. „Krzyż”), torujące sobie szczęśliwie drogę pod strzechy, a propagujące hasła

pokoju i harmonii społecznéj. Dla pesymistów, niedostrzegających zmiany na lepsze, niespodziankę stanowi najświeższe roczne sprawozdanie „Macierzy polskiéj", która pod protektoratem marszałka krajowego z każdym rokiem coraz wydatniejszą rozwija działalność w popularnych wydawnictwach książkowych i broszurowych, a nadto w peryodycznym tygodniku „Niedziela". W ubiegłym roku rozeszło się pomiędzy ludem 60,000 egzemplarzy tych wydawnictw, więc cyfra wprost imponująca w naszych stosunkach. Ostatnie sprawozdanie „Macierzy" wykazuje nadto, że jéj książeczki, zawierające bądźto dzieła Mickiewicza, bądź prace popularne o Mickiewiczu, rozeszły się pomiędzy ludem w 120,000 egzemplarzy. Kiedy Mickiewicz marzył o tém, aby jego pieśni dotarły do chat wiejskich, pewnie nikt w Galicyi ówczesnéj nie uważał tego za rzecz możliwą, aby już w tym roku jubileuszowym marzenie poety ziścić się mogło. Ale wszystko to nie wystarcza pesymistom, a prasa zamiast pochwalić się takiém sprawozdaniem zarządu „Macierzy", sucho, tylko o niém wspomniała, jakby o fakcie zwyczajnego znaczenia kronikarskiego!

Ita.



ARTUR GRUSZECKI

JAKO POWIEŚCIOPISARZ.

III.

Jakiemikolwiek zasobami pięknoznawstwa rozporządza artysta, nie zdolne są one, same jedne, zapewnić jego dziełu trwałości i wartości stalszéj. Człowiek i ziemia, jednostka i jéj środowisko nie przypatrują się sobie wiecznie i wyłącznie za pośrednictwem zwierciadła estetycznego. Rzeczywistość, przebierając się w odświętne szaty piękna, nie zrzeka się przez to ogromnéj reszty swych praw przyrodzonych, nie przestaje gliny swéj lepić według własnych wzorów, o wiele bardziéj urozmaiconych i bez porównania liczniejszych, niźli wzory pięknotwórcze. Artysta nagina, upraszcza, wygładza, potęguje dźwignię i sprężyny mechanizmu życia, lecz do pewnego tylko stopnia, stosunkowo nader ograniczonego.

Z faktem tym liczyć się trzeba w powieści ściśléj jeszcze, niż w każdéj innéj dziedzinie wytwórczości artystycznéj. W muzyce np., w architekturze, wzgląd na przyrodzoną przędzę zdarzeń, na rzeczywisty tok wypadków staje się podrzędnym, niemal zbytecznym, tak dalece kunsztowność formalna zdaje się tu sama sobie wystarczać, sama za siebie mówić, a przynajmniéj przeważać o tyle,

iż nikt w zjawiskach żywéj, czy martwéj natury nie szuka tożsamości lub podobieństw dla dziwotwornych spiętrzeń katedry paryskiéj lub niebotycznych zaklęć żałobnéj mszy Berlioza. Inaczéj dzieje się w poezyi, wymowie, dramacie, gdzie rytmiczność estetyczna, zewnętrzna, nietylko nie pochłania i nie zatapia swéj zawartości życiowéj, wewnętrznéj, lecz zniewoloną jest poniekąd iść na jéj usługi, być jéj akompaniamentem posłusznym. Poddańcza taka zależność artyzmu od konkretnych wątków i zjawiskowéj osnowy utworu niemniéj dobitnie, dobitniéj nawet jeszcze ujawnia się w powieściopisarstwie, które obok powszechnie uznanych swych powinowactw z krasomówstwem i poezyą („romans—to tyle, co poemat w prozie") wiąże się nadto pokrewieństwem blizkiém z dziedziną nauk humanistycznych i społecznych, w moc swojego określenia, że jest historyą powszedniości naszéj, jéj psychologią upostaciowaną, do czynu rozwiniętą. Beletrystyka nie zdoła wprawdzie ostać się bez pewnego nakładu pracy artystycznéj, wyrównywającéj i podnoszącéj poziom empirycznych danych rzeczywistości; prawdziwe atoli bogactwo powieści, w obrachunku ostatecznym, zależy od ilości i jakości zgromadzonego dla niéj kapitału postrzeżeń i doświadczeń życiowych.

U Gruszeckiego kapitał ten bywa niekiedy nader obfity i sprawia niekiedy pewnego rodzaju zastój, znany w świecie ekonomicznym pod nazwą „zapakowania się", lub hyperprodukcyi. Z nadmiernego tłoku zdarzeń, osaczających i krępujących dowolny polot fantazyi indywidualnéj, autor zawsze przecież wychodzi ręką obronną, dzięki właściwemu sobie systematowi grupowania wrażeń i zasobów obserwacyi (bądź złożonych w pamięci, bądź *ad hoc* nabytych) w szeregi opisów obrazowych, wyodrębnionych i odosobnionych jeden od drugiego, a kojarzących się z sobą organicznie pod przewodem naczelnego pomysłu, czyli naczelnéj tezy kompozycyjnéj; szeregi te gruntownością i spoistością swych posad realnych, od realnego świata pożyczonych, przypominają nieco owe dawne kopce ukraińskie, po których niegdyś dymnemi lub ognistemi znakami przechadzały się raz trwożne to znowu radosne wieści o najeździe lub odwrocie hord tatarskich. Ciągłość opowiadania załamuje się i urywa w ten sposób raz po raz, w miarę jak przygotowane tworzywo faktyczne segreguje się i wyczerpuje na pojedyńcze, w sobie zaokrąglone sceny, dyalogi, pejzaże, rozmyślania, zarysy sytuacyjne i t. d.,—maszerujące ściśniętemi kolumnami rozdziałów, z których każdy jest jakby ryciną wyjętą z albumu Kossaka, Kotsisa, Gierymskiego lub Chełmońskiego. Oto np. polowanie z „Tuzow". Człowiek w zielonkawéj kurtce, schylony na kulbace, z twarzą przytuloną niemal

do grzywy, pędzi co koń wyskoczy za chartami z dzikim okrzykiem „hu-ha", zdradzającym całą namiętność, niemal—wściekłość prześladowczą barbarzyńcy. Koń odczuwa pogoń: rozdęte ma chrapy, skulone uszy, wyciągniętą szyję, naprężone muskuły, rozwiany ogon. W szalonym biegu dojeżdżacz pędzi po rżyskach, posiewach, przesadza rowy, przebiega w gwałtownych podskokach zaoraną rolę... Wrzeszczy, piszczy, wyje; rozognione jego policzki wydymają się jak miechy, z których nieustające „hu-ha"—zatacza się po cichych łanach czarnoziemnych, pokrytych runią młodéj oziminy. Ciężka mgła jesienna leniwo i głucho niesie te chrapowate odgłosy, wśród których ledwie słyszysz ostre trzaskanie charapa; gdzieś w oddaleniu, z krańców płaszczyzny, wyrywa się skowyt i naszczekiwanie ogarów... Rozlegają się nowe głosy. Za dojeżdżaczem wysuwa się jeździec siedzący na pysznym gniadym kłusaku, który niejako płynie w powietrzu, niedotykając ziemi. Za nim w przerywanéj linii pędzą inni, z podniesioną głową, ze wzrokiem utkwionym w mgłę. Z pod rwących kopyt końskich bryzga ziemia, lecą strzępy młodéj pszenicy, każdy krok znaczy ślady zniszczenia, nad którém kłębi się chaos zmieszanych okrzyków: „héj, héj!" „na-na-na!" „huź-ha!" „hola-ha!"... Zabrzmiała trąbka... Kończy się polowanie. Odwracamy kartkę: mamy odsłonę drugą,—czyli nowy kopiec faktów, nowy z nich obraz: dwór w Krzywcu. Kamerdyner Jan, poważny, wygolony, we fraku, otwiera drzwi wiodące do saloniku i w postawie pełnéj uszanowania oczekuje na chwilę przejścia panów wracających z polowania, kończących obecnie w wielkim przedpokoju swą toaletę... W salonie na okrągłym stole nakrytym kapą pali się wysoka lampa, naśladująca stary bronz, lichy odlew przedstawiający kobietę w todze. Lampa oświeca fotele, foteliki, półokrągłą kanapę, wszystko pokryte niebieskim rypsem z wytłoczonemi czarnemi kwiatkami; bo bokach niezbędne portiery, z dziwacznie pogiętemi gzymsami, których linie kłócą się z symetrycznym rysunkiem mebli. Na ścianie wprost drzwi otwartych w bogato złoconych ramach wiszą dwa niewielkie oleodruki. Jeden przedstawia sianożęcie: niemieccy chłopi nakładają olbrzymią furę, obok siedzi kobiéta karmiąca dziecko; w głębi—obejście z dworkiem szwajcarskim we środku. Oleodruk drugi ilustruje lato: pucułowate dzieciaki, w myckach na głowie, łowią motyle siedzące na kwiatach; tło stanowi wioska z wymuskanemi domkami wśród podzwrotnikowéj zieleni i z wysoką, czerwoną wieżyczką kościoła... W przedpokoju milknie szelest szczotek, czyszczących ubrania... Odgłosy powitań...
—„Gdzież trofea?" — pyta z siedzenia pani Edwardowa Wirecka

i zwracając po kolei uśmiechniętą twarz do gości, podaje im rękę suchą, gorącą, zakończoną cienkiemi palcami. Obok pani Edwardowéj, siedzącéj na fotelu, kanapkę zajmuje niemłoda, czarno ubrana kobiéta, ciotka pana Edwarda, panna Klara Wirecka: ciemne włosy, gładko przyczesane nad nizkiém czołem, bielą się siwemi pasemkami; nos szczupły, ostro zakończony, schyla się ku ustom, szczelnie zamkniętym cieniutkiemi wargami, jakgdyby liniami fioletoto-wo-czerwonemi; oczy wielkie, jasno piwne, badawcze; z pod koronki czarnéj, zdobiącéj głowę, wyglądają odstające uszy, które całéj twarzy nadają piętno sowy, wsłuchującéj się w szmer, by wpaść na nieostrożną mysz... Rozmowa, żarty, koncepty. — „Gdy byłem w Anglii — powiada pan Czesław Bielawski—polowałem *par force*; to dopiéro rozkosz"...—„Czesiu, nie chwal się Anglią—przerywa mu pan Ryszkowski, siadając obok Stasi, młodziutkiéj, zaledwie dopiéro dorastającéj siostry gospodyni domu, ładnéj, zgrabnéj szatynki, poważnemi, surowemi oczyma spoglądającéj na towarzystwo... Nie chwal się Anglią... I u nas częściéj *par force* się poluje, aniżeli dobrowolnie, gdyż Polki są cnotliwe"...—„Władku!"...—upomina go żona, wysoka powabna blondynka, o łagodnym uśmiechu i miękkich ruchach, któréj fijołkowe oczy, w pięknéj oprawie, rzewne i marzące, umieją z pod długich, podnoszących się raz po raz rzęs przybierać zdziwienie i nieśmiałość, jakgdyby po raz pierwszy świat widziały... Podają obiad; przy stole dwie bony: jedna stara, brzydka, druga młodziutka, fertyczna Francuzka; włosy ciemne, kędzierzawe, oczy żywe, wesołe, świeża pociągła twarz, wcięta, dobrze zarysowana figura czynią ją ładną i ponętną. Po obiedzie karty, tytoń, pogawędki tłuste w odosobnioném towarzystwie męzkiém. Zabawa przeciąga za północ. Odzywają się wreszcie gwizdania stróżów nocnych, psy odpowiedziały głośnym skowytem—i znów cicho, tylko z gościnnych pokojów wyrwie się czasem ton jakiś i tępo kona w mroku i pustce okolicznéj... Kurtyna zapada. Raz jeszcze przewracamy kartkę i mamy obraz, czyli akt trzeci. Dnieje. Gruba, brudna mgła, przesiąknięta kwaśnemi wyziewami błota, gnoju, śmieci, nieczystości i zgnilizny, wisi nad okolicą. Wieś się budzi. Dym, dobywający się z nizkich drewnianych kominów, kładzie się siwemi płatami na strzechach, ściele się po mokréj ziemi. Lekki powiew wiatru z trudnością porusza tą masą lotnéj wody. Koguty odzywają się na rozmaite tony, w rozmaitych krzyżujących się z sobą kierunkach; tu i owdzie skrzypną drzwi, z okienek chat rozłożonych półkolem nad stawem coraz gęściéj biją czerwone światła... Płoną one nie długo. Ukazuje się słońce i podnosi na swych skrzydłach promiennych mgły

do góry. Dwór w Krzywcu wciąż pogrążony w śnie martwym. Tylko sam Edward Wirecki, gospodarz zawołany i, jak zaraz zobaczymy, wzorowy mąż i ojciec rodziny, oddawna już jest na nogach. Wraca oto w téj chwili z gorzelni. Wchodzi do domu bocznemi drzwiami. Na korytarzu pusto. Cisza dokoła martwa... Po niejakiém wahaniu się pan Wirecki zagląda do pokoju dziecinnego. Przez zapuszczoną roletę słońce napróżno przedrzéć się usiłuje do wnętrza. Powietrze ciepłe, duszne. Przy ścianie korytarzowéj na żelazném łóżeczku, opatrzoném siatką niebieską, śpi jego córeczka ze złożonemi przy rumianéj buzi piąsteczkami; pod ścianą prawą — pościel synka; pomiędzy posłaniem dzieci—łóżko bony... „Wirecki rozejrzał się po pokoju, cicho zbliżył się do syna i zwolna szedł do łóżeczka córki. Po drodze spotkał krzesło, na którém złożone było ubranie Francuzki; poczuł zapach hyacyntowy przepajający jéj suknie. Biała haftowana koszula dzienna, ozdobiona różową wstążeczką, leżała na samym wierzchu. Wzrok jego zatrzymał się na śpiącéj kobiecie. Odchylony rąbek koszuli nocnéj pozwalał widziéć różowe jéj ciało i pierś wystającą. Obie ręce, podniesione w górę i podłożone pod głowę, otaczały twarz śpiącéj ramką jasną, falistą, od któréj odbijały ciemne włosy i purpurowe usta. Postąpił o pół kroku i patrzał. Wtém posłyszał szmer za sobą; zaniepokojony, odwrócił się,—to syn jego przewracał się na posłaniu, usuwając główkę z pod cienkiéj strugi promieni słonecznych. Regularny oddech dziecka uspokoił ojca"... Zasłona nie spada jeszcze. Spłoszony wśród pieszczot przebudzeniem się córki, Wirecki wysuwa się z pokoju,—ale nieubłagany autor dla kontrastu prowadzi go zaraz do sypialni żony. Dwa łóżka machoniowe, ciężkie, z pozłacanemi ozdobami snycerskiemi, komoda, kilka krzesełek, dywany w kwiaty wzorzyste; dokoła okien, grubo osłoniętych, błąkają się odblaski dnia walczące z duszną, ogrzaną atmosferą pokoju; na łóżku od ściany spoczywa pani Edwardowa. Twarz jéj blada, zmęczona, z włosami wymykającemi się z pod nocnego czepca, żółtawo rysuje się na białéj poduszce; na posadzce, na fotelu przy łóżku leżą rozrzucone niedbale spódnice, pończochy, gorset, pantofle zdeptane... „Pan Wirecki powiódł dokoła spojrzenie chmurne Szybko postąpił do stolika po klucze... Głośniejsze stuknięcie zbudziło jednak żonę, która przeciągając się leniwo szepnęła:—Edziu... Mąż z niechęcią spojrzał na nią, odwrócił się i odpowiedział tonem ostrym: —nie mam czasu!—Otworzył drzwi i gwałtownie zatrzasnął je za sobą"...

Niewyczerpanym jest Gruszecki w tego rodzaju wizerunkach ze wszystkich zakresów przyrody martwéj i ożywionéj, ze wszystkich dziedzin bytu społecznego i obyczajowego. Celuje szczególniéj

w krajobrazach, w których jednakże przeważa koloryt szary, zasępiony; jest z tego względu więcéj Holendrem niż Włochem. Lubi słońce, ale się z niém nie pieści i na niém się nie wygrzéwa. W całym dotychczasowym literackim dorobku Gruszeckiego znajduje się jeden tylko wschód słońca (zimowy),—co prawda mocno, barwnie odtworzony. „Ciemno-granatowe chmury zwolna się wyjaśniały i nabierały fioletowéj odmiany; po skrajach zaczęły się ukazywać lekkie zaognienia, które stopniowo przechodziły w różowawą, czerwoną, ponsową, ognistą barwę; nareszcie po nad jasno liljowemi obłokami zabłysła linia purpurowa—i słońce wychyliło się ze wschodu, złocąc promieniami wierzchołki drzew, dachów, aż wpadło w okna, zamigotało w nich, odbiło się o puchowy śnieg i rozsypało brylanty po całéj ziemi". („W Starym Dworze", str. 60). Początki wiosny w „Rugiwojskich" (121—122) mają zaledwie lekkie dotknięcie promieni słonecznych o powierzchnię ziemi, budzącéj się z odrętwienia zimowego wśród głośnéj wrzawy wron, kruków, kawek opuszczających siedziby ludzkie, wśród szumu potoków przygodnych, pędzących swe wody żółtawe ku Tykiczowi, gdzie szeroko rozlane na lodowatéj powierzchni rzeki leniwie płynęły daléj. Nawet maj i miesiące letnie częściej w powieściach Gruszeckiego przemawiają cieniami wieczora i ciszą nocy, niż blaskami poranka lub jaskrawém ożywieniem dnia. „W niedzielę powielkanocną Pakosz i Paulisia wracali z Zagórza od matki chrzestnéj późnym wieczorem. Na rozjaśnione niebo wypłynął księżyc i jasno oświetlił całą okolicę, lasy dalekie, łąki nadbrzeżne, bliższe zagony i drogę wijącą się z góry ku kopalniom i fabrykom. Czar nocy wiosennéj początków maja ogarnął ich... Sasanki, stokrotki, mniszki, rozkwitłe nad rowami przydrożnemi, orzeźwione rosą nocną, wychylały swe główki z murawy i błyszczały w świetle księżyca. Z oddali, w samym dole, olbrzymie kominy licznych fabryk wyrzucały kłęby sinego dymu, który zwolna i w milczeniu wznosił się coraz wyżéj... I w téj ciszy przyrody żywéj, płodnéj, prócz lasu, wody i fabryk w dole, tylko świerszcze polne wygrywały swą jednostajną melodyę" („Krety" 399). „Park pogrążony w mroku rysował się w mglistych konturach, tylko wierzchołki drzew dalszych wyraźniéj się zaznaczały na wyiskrzoném niebie; czasami lekki powiew wiatru przynosił gorące tchnienia ziemi ostygającéj po dniu skwarnym, zapachy silne kwiatów ogrodowych, szum niewyraźny rzeki, klekot stłumiony dalekiego młyna i urywane piski ptaków nocnych. Ćmy różnokolorowe, zwabione światłem w oknach, zbliżały się lotem cichym i głucho uderzały o szyby". („Rugiwojscy", 182—183). Za to słoty i deszczów je-

siennych, zamieci, ślizgawic i odwilży zimowych—bez liku; mgły zaś wszędzie tyle i tak gęstéj, jakgdyby autor całe swe życie spędził wśród błot poleskich lub w parku jordanowickim pod Grodziskiem. Połykamy tę wilgoć ojczystą, rodowicie swojską, ocieramy się o nią, kąpiemy się w niéj o każdéj porze dnia i roku, we wszelkich możliwych stopniach rozcieńczenia lub natężenia. „Jesień była mglista, chmurna i słotna. Z dalekich lasów, pól i rzek płynęły mgły ciężkie, wilgotne, leniwe. Wlokły się po polach, czepiały się drzew i poruszane wiatrem kładły się na licznych fabrykach, otulały smukłe czerwone kominy, zakrywały domy robotnicze, przedostawały się do mieszkań, przejmowały wilgocią wszystko dokoła. Dnie były smutne, słońce nie mogło rozświetlić na chwilę szaréj ziemi. Tylko po nocach wspaniałe łuny krwawe odbijały się nad kominami fabrycznemi, a jasne lampy elektryczne świeciły się, jak zawieszone wśród mgieł księżyce". („Hutnik", 143—144). „Poranek był posępny. Budynki otuliła mgła ścieląca się wespół z dymem po ziemi. Tumany przewalały się ocieżale, jakgdyby zmęczona nocną pracą, ubezwładnione ogromem własnym, uśpione spóźnionym świtem. A maszyny w kopalni huczały, gwizdały, wyły, chrzęszczały, sortownie z łoskotem głuchym gatunkowały węgiel, wagony stukały, turkotały, piszczały, uderzały o siebie, i wszystkie te odgłosy łowiła poczerniała mgła, wciągała w siebie i przerobiwszy je na ponury pomruk, tępo przesyłała gdzieś dalszym mgłom, rozesłanym po okolicy. Niekiedy otwierały się drzwi palenisk; czerwony odblask przebił mgłę, zamajaczyły czarne sylwetki robotników, zarysowały się kontury budynku i wnet wszystko znikło w szarym kolorycie mgły, jak gorączkowe widziadło. Dom zborny robotników kopalni, murowany, parterowy, długi i niekształtny, przygnieciony wysokiemi kominami i budynkami szybu, stał opodal, jak przytulony wielki robak czarny, nasycony aż do wstrętu, aż do obrzękłości, aż do unieruchomienia... Dwa jasno oświetlone okna zdawały się być oczami mrugającemi"... („Krety", 26—27). „Na obszernéj płaszczyźnie, tonącéj w białawych chmurach widnokręgu, nie było, jak okiem sięgnąć, żadnego drzewa, tylko gdzieś po nad czarnym błotnym szlakiem wznosił się łagodny pagórek, ślad mogiły lub strażnicy minionych wieków. Wysokie, zeschłe, zczerniałe badyle ostów, bodiaków, łobody stały skulone na miedzach łanów obszernych, podzielonych na nierówne czworoboki... Nad całą płaszczyzną sunęła mgła brudno-błękitnawa, łącząca się bezpośrednio z mlecznemi chmurami. Czasem silniejszy zachodni powiew wiatru napędził ciemniejsze kłęby obłoków, drobny gęsty deszcz zamżył i znów ta sama

szaro biała, niewyraźna barwa zapanowała nad łanami. Cisza głęboka otuliła step cały. Krople wody bez dźwięku, bez szelestu spływały po źdźbłach młodéj oziminy i tonęły w tłustéj, czarnéj glebie; deszcz siekł, chmury bliżéj i bliżéj zwieszały się nad ziemią, senny dzień spływał się zwolna z czarną, bezgwiezdną nocą". („Tuzy", 11).

W porównaniu do kwiecistości wysłowienia celniejszych mistrzów dawnéj naszéj powieści, którzy ani „ołowiu" nie żałowali dla nadania „powagi" ubogiemu w vernet'owskie efekta niebu polskiemu, ani złota nie skąpili dla nadania większéj nieco wartości jałowym ugorom polskim, pejzaż Gruszeckiego wygląda nieraz zanadto wstrzemięźliwie, skromnie, chłodno, bez ciepła, bez poezyi, bez duszy... Ale oto kartka, godna stanąć do pary z najbardziéj niegdyś przypadającemi do smaku „powietrznemi konwulsyami" Korzeniowskiego lub Kaczkowskiego. Sanna. Za dobréj, choć nieco wietrznéj pogody wybrał się Wirecki na kontrakty kijowskie. Dobrze się przed zimnem opatrzył: wziął na spód futerko miejskie, zaś na wierzch obszerne futro „dachą" zwane. Stangret również podkpiwał sobie z mroźnego wiatru, dopóki jechali wsią. Lecz oto za wiejskim kołowrotem otwierały się pola równe, jednostajne, szerokie, bez końca, tonące gdzieś w dali, w nizkich białawych chmurach. Jak daleko wzrok sięgał, step olbrzymi dymił się lekką, białą, ruchomą kurzawą. Wiatr podnosił puszyste pyły, wydzierał je zmarzniętéj ziemi i tuż nad powierzchnią unosił w przestrzeń odległą. Ślady koni i kutych płozów, wrzynających się głęboko w śnieg nadrożny, zawieja zacierała natychmiast. Droga była ciężka i kopna. Przy silniejszych podmuchach, śniegi, które leciały i wirowały tuż nad ziemią, wnet się wznosiły wyżéj, zasłaniały widnokrąg, płynęły mleczną, zimną, przejmującą falą, która pokrywała konie, sanie i ludzi. Dzwonki jęczały to ciszéj, to znów głośniéj w zamroczonéj mroźnéj przestrzeni. Pod kopytami koni, pod płozami sań śnieg piszczał, skrzypiał, skarżył się i leciał gdzieś na jary, stepy, chmury... Wypadałoby może zawrócić do domu, lecz kontrakty, interesa...—może świeża przygoda z karminowemi usteczkami jakiéjś czarnookiéj guwernantki Francuzki, jakiéjś białowłoséj bony Niemki. I pan Wirecki przedewszystkiém dobry mąż, dobry gospodarz, dobry obywatel kraju, poleciwszy stangretowi trzymać się jedynych w takim razie wskazówek na stepie—wiatrów, sam staranniéj tylko owinął się w sute poły futra. Wtém wiatr zachuczał głośniéj, przeciągléj, jakgdyby przerwał zaporę, i sypnął lodem i śniegiem na mknące sanie. Uderzenie było tak silne, że konie zwolniły biegu,

głos dzwonka zamilkł, słychać było tylko dzikie zawodzenia wiatru, który leciał stepami szalony, nieokiełznany, groźny. Wokoło sani podniosły się wysokie, grube widma śnieżne i uderzyły na siedzących... Głucha, śmiertelna cisza, zalegająca zazwyczaj step w czasie zimy, ustąpiła miejsca wściekłym objawom życia i potęgi rozszalałego żywiołu. Nie były to już równomierne uderzenia stepowego wiatru, który płynie szerokim, wolnym szlakiem, lecz czuć się dawały wstrząśnienia szybko po sobie następujące, z siłą zdwojoną, przerażającą, niby gwałtowna jakaś, nagle od zimna ścinająca się, zlodowaciała powódź. Śnieg piętrzył się teraz, wzbierał i wszystko pod siebie zagarniał nadmiarem życia, ruchu, sprzymierzał się z wiatrem, palił dotknięciem, potrząsał powłoką ziemi, obnażał zczerniały spód roli... Wśród stepu stał wielki drewniany krzyż. Do niego docierały sanie. Zczerniałe, dębowe ramiona wysunęły się szeroko; wiatr wygrywał na nich ponure, niezrozumiałe melodye, szarpał, kąsał, parskał, ujadał, skacząc dokoła tęgiego, mocno osadzonego trzona. Krzyż stał twardo, nieruchomie. Tylko Chrystus z blachy, przybity do drzewa, pokryty szronem, lodem, śniegiem, zajęczał chwilami żałośnie, smagany lodowatemi biczami nawałnicy. Pan Wirecki wetschnął do Boga, zmówił krótką modlitwę i pokrzepiony krzyknął: —Pilnuj drogi! Na lewo!—Stangret nie wiele co widział przed sobą, mając oczy zasypane piaskiem śniegowym i igłami lodu,—lecz wciąż trzaskał z bata Wkrótce zniknął krzyż przydrożny. Z koni podnosił się gorący opar; ich grzywy, podbrzusza, nogi strzępiły się soplami i szpilkami lodowemi, lecz biegły równo, mimo wiatru i śniegu. Sanki zjeżdżały w jar. Na raz silny wiatr dmuchnął, obrzucił jadących i zbił konie z drogi; licowe weszły na razie na odwianą rolę i parły przed siebie; nagle wpadły w zaspę śnieżną. Poczuwszy osuwający się grunt pod kopytami, skoczyły w górę i znów padły, lecz już głębiej, w lekki śnieg puchowy. Stangret powstał z kozła i uderzył batem po wystających grzbietach końskich. Porwały się jeszcze raz konie, lecz nagłém szarpnięciem zerwały kółko orczykowe. Sanie, głęboko zaryte, stanęły. Stangret zaklął...

Nie było, niema u nas chyba powieściopisarza, którzyby mając na warsztacie epizod tak efektowny, oprzeć się zdołał pokusie przygotowania dlań lirycznie lub dramatycznie napiętego *genre*'u. Jakaś Oleńka z dopędzającym jak wicher Bohunem, jakaś pobożna matrona, ratująca ginących natchnioném wskazaniem wyjścia, jakieś cudowne dziecko, budzące litość w łonie szalejącéj burzy,—przydałyby się tu bardzo. Wreszcie, łatwo byłoby w tych zaspach pogrzebać niecnoty i obłudę samego tego Wireckiego. Gruszecki postąpił so-

bie prościéj, a zgodniéj ze ślepą logiką żywiołów, które, nacierając, nie dbają wcale, co i kogo pod sobą miażdżą, utuczonego w marmurowéj oborze wołu, czy zachudzoną po szpitalach siostrę miłosierdzia. Autor „Kretów" pozostawił Wireckiego i jego stangreta własnéj ich doli—i tym sposobem, bez żadnego wyszukania, pozwolił dwom cywilizacyom, dwom biegunowo rozstrzelonym stanowiskom społecznym spojrzeć sobie—sam na sam—w żywe oczy... Strach odrazu chwycił Wireckiego za gardło na widok rosłego, barczystego tego chłopa, który zlazłszy z siedzenia, zapuścił najpierw wzrok w bezdenną otchłań wichury, jakgdyby się chciał upewnić, że istotnie są sami, a następnie zaczął rozgrzebywać śnieg rękami, jakgdyby przekonać się pragnął, że dół dostatnio może być głęboki... A wiatr szumiał, huczał, wył, zgrzytał—i korzystając z wypadku, zawczasu sypał mogiłę. Wireckiemu wydało się nawet, że w gwizdaniu wichury rozróżnia dyabelski śmiech tryumfu i zwycięstwa... Wypadnie nałożyć głową. Oczywiście,—dla rabunku. Cóż łatwiejszego w takiéj chwili?... Stangret wyciągnie gdzieś siekierę, tnie w głowę... Wie pewno, że są pieniądze... A chociażby nie wiedział, to złakomią go konie, futro, sanie... To taka gratka na stepie, wśród zawiei, przed nocą... Wirecki uczuł przebiegające po skórze dreszcze. Szybko robił rachunek sumienia: czy i o ile chłop ten może mieć do niego urazę, pretensyę?... Ale naprędce rachunek się gmatwał. Że go skrzyczał, wyłajał, poszturgnął, to prawda, ale to rzeczy zwyczajne. Zasługi mu przecież wypłacił, na nowy rok dał mu trzy złote... Szkoda, że nie dał więcéj. Dałby mu teraz... dziesięć nawet rubli... Zresztą ten lud jest taki dobry, potulny, nieśmiały... I myśl ta uspokoiła go więcéj, niż dziesięciorublówka. Tymczasem stangret, obmacawszy zerwany orczyk, szukał czegoś uparcie pod siedzeniem. Zapewne sznura... Nieznalazłszy, poszedł w tył sani, gdzie był przywiązany kuferek,—i wyjął wielki nóż z kieszeni. Wirecki nasłuchiwał niespokojnie Wylękniona wyobraźnia wciąż mu podsuwała rozmaite możliwości nagłéj śmierci, uderzenia, uduszenia, zabicia nożem... Zerwał się wreszcie na równe nogi i spojrzał na stangreta, który nachylony, rozwiązywał sznur. Odrazu wlało mu to do duszy pełną miarę otuchy. Lecz w téj-że chwili spotkany wzrok stangreta—poważny a zdziwiony—pobudził go do gniewu, tém silniejszego, że maskował strach doznany.—„Ach ty przeklęty gamoniu!—wrzasnął. To tak wybrałeś się w drogę? Ani sznura, ani siekiery! A sanie jak opatrzyłeś? Pieniądze brać, mój chléb jeść, to umiész!" Chłop w milczeniu wziął sznur i znów grzebał się w śniegu, by się dostać do sztelwagi. Oce-

nił tę jego pracę Wirecki. Zaprzestał krzyku, usiadł spokojnie; postanowił wynagrodzić stangreta—dać mu, jak przyjadą —rubla...

Od pisarza, który nawet w zestawieniu motywów tak wysoko, tragicznie niemal nastrojonych umie zachować spokój i równowagę, niepodobna oczekiwać najmniejszych zboczeń w stronę jakiéjkolwiek przesady czułostkowéj, fantazyjnéj lub idealizacyjnéj. Do głębi wzruszy go niekiedy płacz szlązkiego dziecka, katowanego przez pedagogów niemieckich, zaboli krzywda starego ojca, opuszczonego przez ukochaną córkę, rozrzewni widok upadku robotnicy niezdolnéj oprzéć się groźbom, naskakiwaniom, karesom dozorcy zwierzchnika,—ale dla łez matki, dla rozpaczy kochanka nie spaczy on i nie złamie powszednich, utartych, wyżłobionych od wieków ścieżek, na które rydwan fortuny, choćby chciał, wtoczyć się nie zdoła. Na szerszych gościńcach życia złudzenie nasuwa wprawdzie niekiedy milsze perspektywy. W „Rugiwojskich" np., w bogatym magnackim domu, gdzie ta fortuna mogłaby obrać na stałe swą kwaterę główną, dwie pary stają do wyścigu o jéj uśmiech. Młody hrabia Jasmund pokochał Janię Dołsunowską, córkę rządcy; w jego siostrze, hrabiance Hercie, zakochał się Staś Wodziński, kandydat czy nawet magister nauk agronomicznych — przypominający, jak dwie krople wody, największego bohatera w rodzinie Rugiwojskich, —Stefana, „zaginionego w krwawéj bitwie na stepach". Ale nie wiele stąd pociechy. Jak na nizinach twarda, nieubłagana konieczność psuje ludziom szyki i w niwecz obraca nadzieje, tak na wyżynach to samo czyni duma, przesąd, swawola, łupina tradycyi pustéj. Janię uwodzi hr. Jasmund według wszelkich reguł dobrego smaku i rutyny pańskiéj; Wodziński, odepchnięty opryskliwie przez Hertę za jedno szczersze, mniéj oględne słówko, odjeżdża na jakiéjś biedce żydowskiéj czy gnojance chłopskiéj. Jedną część milionów i chwały Rugiwojskich hrabia Jasmund roztrzęsie odtąd zapewne po drodze od Monaco do Spaa i napowrót, część drugą hrabianka Herta wniesie najniechybniéj w dom markizów de Beaufremez. Jest właśnie w téj chwili z matką w Biarritz. Siedzą obie przy oknie i znudzone, zmęczone jednostajnym widokiem „kawałka błękitnego nieba i ciemniejszego morza", tęsknić zaczynają do dziedzicznych Wieszar...—„Zauważyłaś wczoraj markiza de Beaufremez?"—pyta matka.—„Pamiętam. Wyróżnia się trochę"...—odrzekła Herta obojętnie. Matka kazała odszukać almanach de Gotha i odczytać rodowód Beaufremezów.—„Arnould I-er de Neufville—czytała córka—écuyer, Seigneur de Beaufremez en Artois, puîné de la maison de Neufville-Vitasse en Artois, epousa avant 1150 Marie, fille de Guillaume de

Boubaix"... Było tego ze dwie stronice.—„Ród dobry—mówiła matka zwolna—a kto go rodzi?"... Herta zaglądając do książki, odpowiedziała:—„Hrabianka de Thiennes"...—„Młodsza rodzina, ale także dobra... On starszy od ciebie o lat dwanaście, różnica lat właściwa"...—„Nie jest zbyt ładny"—zauważyła córka, przypominając sobie rzadkie blond włosy markiza, twarz matową, nikły zarost i oczy zmęczone.—„Ideałów niema—zaśmiała się matka ale ród i nazwisko dobre. Wyszumiał za młodu, będzie stateczniejszy. Być może, że powitam cię jako markizę de Beaufremez"...—„Ach, mamo, jeszcze się nie oświadczył"...—„To zależy tylko od nas"... W kilka tygodni późniéj doniosły dzienniki o zaręczynach Herty hrabianki Rugiwojskiéj z markizem de Beaufremez. Ojciec hrabianki, hrabia Rugard, pozostał wierny zasadzie Rugiwojskich, wypowiedzianéj niegdyś do swego doktora:—„Odświeżając krew szlachetną, zachowujemy czystość rasy"...

Że wszystkich tych naszych „tuzów"—Rugiwojskich i Wireckich—autor poznał osobiście, że we wszystkich powyższych wizerunkach, od blaszanego Chrystusa na dębowym krzyżu do zbornego domu robotników kopalni, wyglądającego jak „wielki robak czarny nasycony aż do wstrętu", — realizm szczegółowego przedstawienia płynie pełném łożyskiem, tego nikomu dowodzić i pokazywać nie trzeba,—to najdobitniéj samo rzuca się w oczy. Nie sposób na jedną nawet chwilę wątpić, że te „zadeptane pantofle", tę „siatkę niebieską" przy łóżeczku, tę „różową wstążeczkę" u koszuli bony Francuzki, „te drewniane kominy" chat wiejskich, tego dojeżdżacza w krutce na polowaniu Gruszecki na własne oczy oglądał, własną ręką do notatnika zaciągnął,—że tę sowią głowę staréj panny na świeżo w pamięci swéj odmodelował, że frazes do lokaja o szarabanie sam z ust jakiegoś Ryszkowskiego słyszał i że téj „suchéj, gorącéj ręki pani Wireckiéj, zakończonéj cienkiemi palcami" powielokroć razy zapewne w swém życiu się dotykał. Rzecz to niezawodna. Chodziłoby teraz tylko o dowiedzenie się, azali téż tło, podstawy, ramy, warunki, okoliczności,—stosunki osób i rzeczy, w jakich wszystkie owe realne i realistyczne wzorki znalazły umieszczenie, również są wzięte żywcem z natury?...—Pytanie wcale niepodrzędne dla tych, co wiedzą, że w naszych czasach,—zwłaszcza zaś w naszéj literaturze, wyrażenie „wziąć żywcem z natury", w stosunku do utworów beletrystycznych, przybrało powagę i znaczenie jakiéjś formuły nieomylnéj,—uniwersalnéj i sakramentalnéj. A ponieważ przez naturę i naturalność każdy z nas rozumie, co chce,—ponieważ nadto najgrubszy fałsz, najdziksza potworność, najwierutniejsze głupstwo,

o ile—naturalnie!—istnieją, muszą istniéć nie inaczéj, jak najnaturalniéj w świecie, przeto „zgodność z naturą”, pojęta jako probierz i sprawdzian dzieł sztuki, wychodzi wprost na parawan, za którym wszelka nędza umysłowa, wszelkie niedołęstwo moralne i estetyczne śmiało wyszczerzać może zęby i pokazywać język zarówno zdrowemu rozsądkowi, jak i umiejętności najgłębszéj. I na takie właśnie tory weszła dziś u nas powieść i krytyka powieściowa,—a nawet, w ogólności, krytyka artystyczna. Najwyższa pochwała, na jaką piśmiennictwo polskie zdobyło się dla Paderewskiego nazajutrz po jego wystąpieniu w Warszawie i Łodzi, głosiła, iż mistrz tonów potrafi z fortepianu wydobyć głos dzwonka i głos grzmotu,—burzy i sielanki, gwałtów wojennych i wynurzeń miłosnych, szmeru liści i hołubców tańca. W romansie naszym nie było ohydy, śmieszności, zabobonu, dzieciństwa, błahostki, w któréjby genialnéj naturalności nie podpatrzono. Wyciągnął ktoś strunkę suchotniczą do stopnia, że pękając od początku, nie zdołała pęknąć do końca, wyhaftował inny cały obrus westchnień i żalów szwaczki bezdarnémi i nieortograficznemi jéj listami, wytrząsnął trzeci z obłoków próżniaczéj swéj kontemplacyi niestrawne resztki filozofii poobiedniéj,—jakież to wszystko naturalne! wołamy z najróżnorodniejszych zakątków feljetonowych i bibliograficznych. Cóż dziwnego, że późniéj lada pokojówka, lada niedonoszony subjekt handlowy do saméj starości nie przestanie łamać sobie głowy nad wyładowaniem na papier naturalnych skarbów swéj duszy, ku całkiem tym razem naturalnéj radości wydawców i redaktorów, co za dusze takie płacić mogą po dwa grosze od wiersza... Mniejsza jednak o szelągowe zarobki naszego handlu księgarskiego, jeśli one nie czyhają na zatratę smaku, świadomości, sumienia publicznego... Ale i to zaczyna, niestety, być wątpliwém. Przykłady najwyraźniejszego obłędu powieściowego podniesionego do wyżyn apoteozy zdarzają się wśród nas coraz częściéj. Wyobraźmy sobie pisarza, który do panteonu chwały współczesnéj zaniesiony został za to, że cały swój naturalizm włożył w ilustrowanie chłopaków wiejskich, rozkoszujących się odrzynaniem łapek i skrzydełek niewypierzonemu ptastwu, lub w modelowanie pięści szlacheckich na policzkach chłopskich. Wśród swoich widział on tylko, na tle powszechnego błazeństwa, olbrzymie tłumy żydowstwa pogrążone w niezgłębionéj nocy ciemnoty i nieprzebrane kupy chłopstwa nie tkniętego ani jednym powiewem oświaty, a bezczelnie wyzyskiwanego przez przemysł fabryczny zalewający rynki obce. Naraz przyszło temu pisarzowi na myśl „skoczyć na lodowe szczyty alpejskie, wytężyć ucho na ryk chwytających się tam za bary potoków, wpatrzéć się w wielkie

świetlane plamy słoneczne, truchleć na widok oceanu przedziwnych gromad lodu i granitu, stanąć oko w oko z pustynią podniebną, słuchać dochodzących w ciszy nocnéj łkań Rodanu,—a nasłuchawszy się,—odejść w krainę snu czy maligny, nie wiedzieć nic a nic, rozpłynąć się w jakiéjś bezwiednéj kąpieli, spocząć w nicości na wieki, na wieki"... Amen,—nic przeciwko temu, wolna droga. Ale czy podobna przypuścić, że w piśmie poważném, cieszącém się—jeżeli nie sympatyą, to poważaniem powszechném, znajdzie się człowiek do tyla odważny, iżby na widok téj aberracyi i tych skoków śmiertelnych nie zawahał się wyrzec: że „mamy tu do czynienia z ustrojem duchowym niezmiernie wrażliwym na wszystkie głosy i szepty „natury, która jak kochanka nie ma dla niego tajemnic"—mamy do czynienia z sercem, „odczuwającém bardzo silnie wszystkie bóle ludzkie od klęsk potężnych spadających jak piorun i jak piorun druzgocących odrazu, aż do niedostrzegalnych prawie odruchów zbolałéj duszy, cierpiącéj gdzieś samotnie, w ciemności"...

Jeżeli pominiemy osobiste na każdy poszczególny wypadek przyczyny podobnych spaczeń i dywagacyi umysłowych, zaznaczyć wypadnie, że źródłem ich ogólném jest nieuctwo. To, co nazywamy „naturą", jest pewném wyobrażeniem naszém o istocie zjawisk wszechbytu — wyobrażeniem tak samo, jak i każde inne, zależném od stopnia naszego wykształcenia i rozwinięcia. Różnicy wszakże zachodzącéj pomiędzy naturą w „malignie" a naturą w odwzorze uświadomionym na trzeźwo nie zdołamy pochwycić zamknąwszy przed sobą książkę. Otwórzmyż ją znowu—tym razem, dla urozmaicenia, na pierwszéj stronicy „Szachrajów".

Jesteśmy w cukierni Weissa—na „czarnéj giełdzie", w pobliżu giełdy urzędowéj przy ulicy Królewskiéj. Autor, swoim zwyczajem, od razu, bez preludyów i przygotowań wprowadza nas w sam środek zakrojonego obszaru przyrody i życia. Tłum ludzi, gwar, wrzawa, nawoływania sprzedających lub kupujących akcye przemysłowe: „Zawiercie"!.. „Wojciechów"!.. „Rudzki"!.. „Wulkan"!.. Pytania, odpowiedzi, propozycye, kłótnie, nalegania, odmowy—skaczą, wirują w zamętnym, chałaśliwym chórze zachrypłych, drżących, niecierpliwych, urwanych, przeciągłych tonów. Promienie chylącego się ku zachodowi majowego słońca oświetlają wyraźnie całą salkę i twarze skupionych przy stolikach lub rozpierzchłych po kątach agentów bankowych, wietrzących zyski na *vor* lub *rueck*, według nieociosanéj i skarłowaciałéj terminologii żydowsko-berlińskiéj. Na szczupłych twarzach maluje się bardzo wyraźnie namiętność, upór, zaciekłość, a przedewszystkiém zmęczenie. Szerokie usta—spieczo-

ne gorączką, drgają niemal mechanicznie, w kątach warg bieli się zaschła ślina. Oddychają wszyscy nerwowo, szybko, rzucając niespokojne, szpiegujące spojrzenia dokoła, podsłuchując sąsiadów, posyłając oczy i uszy na zwiady do bardziéj oddalonych. Na czole perlą się krople potu i widać ogromny wysiłek mózgu, uwagi. Co chwila od zwartych kup odrywa się po dwóch i trzymając się za rękaw, klapę surduta lub za rękę, idą w kąt oddalony i upewniwszy się, że nikt ich nie posłyszy, nachylają się ku sobie, szeptem cichym prowadzą rozmowę.

Z tego ruchliwego i barwnego tła, zdjętego z ołówkiem w ręku, czy téż raczéj z pomocą może aparatu fotograficznego, wydziela się postać główna. Na kanapie wyplatanéj siedzi człowiek lat czterdziestu pięciu, ubrany z widoczną elegancyą. Włosy mocno szpakowate, krótko przycięte, twarz czerstwa, ładne bystre czarne oczy i wąsy starannie utrzymane. Przytrzymując gazetę prawą ręką, zdobną w piękny brylantowy pierścień, czyta niedbale, spoglądając od czasu do czasu na gwarny tłum gości, z których ten lub ów zbliża się do niego, zagada słów kilka, a otrzymawszy odmówne skinienie głową, oddala się w głąb salki. To Gotlieb Strauchfeld,—nie ten znany, późniejszy, sławny dziś na całą Galicyę i w. ks. Poznańskie potentat finansowy Strauchfeld, co to ożeni głupiego, zatopionego w naukach syna, Maurycego, ze zrujnowaną przez siebie Danborszczanką, kupi im dobra ziemskie, stanie się protoplastą świetnego, arystokratycznego rodu Strauchfeldów, a swą pieszczotkę jedyną, swą córeczkę Emmę, wyda za zrujnowanego Runowskiego i także piękny majątek im kupi... To nie tak łatwo i nie zaraz daje się zrobić... Obecnie, pan Gotlieb Strauchfeld, siedzący oto w cukierni Weissa na wyplatanéj kanapce z gazetą w ręku — to jeszcze tylko prosty sobie bankier, obracający kapitalikiem skromnym, nie roszczący żadnéj pretensyi do koligacyi z panami, pilnujący kantoru, i trzech pracujących w nim urzędników, a oszczędzający się nawet na butelce wina, którą reporterowi Mokrzyckiemu zafunduje tak czy inaczéj, ale dopiéro wtedy, gdy już na żaden sposób ostateczności téj uniknąć nie będzie można. Dziś, na czarną giełdę przyszedł on tak sobie—zobaczyć, jak stoją akcye Adalberty, przygotować, jeśli się da, jutrzejszy ich kurs urzędowy na giełdzie głównéj, pogadać, pomyśléć. Jemu nie spieszno; on wie przecie, że z interesem, to jak z kobietą, na któréj upór niema lekarstwa, lub jak z zegarkiem, od którego parobcy tylko chyba żądają, aby wskazywał siódmą, kiedy jest dopiero piąta. On nie taki; on wie, że czego się nie zrobi jutro z Adalbertami, to się zrobi pojutrze z Randalami. On to rozumie,

on nie jest, jak ta jego sąsiadka, niegdyś wielka pani, co da w poniedziałek sto rubli i zaraz we środę pragnie mieć sto pięćdziesiąt. Ale ona będzie miała swoje sto pięćdziesiąt rubli... Ona nawet będzie miała swoje sto sześćdziesiąt,—bo ona ma rozległe stounki w świecie, a z nią tam podobno krucho... Takie już u niego serce, że on dobrze życzy ludziom, z którymi krucho... A przy tém, czas traci, czas płaci; jak na początek, jedno słówko tu posłyszane, jedna sturublówka owdzie rzucona—alboż bilansu nie zaokrąglą sowicie?... Dość na dziś! Pan Strauchfeld, rad z siebie i z ludzi, opuszcza czarną giełdę uśmiéchnięty, wyprostowany... Dwadzieścia minut na siódmą!... To dobrze. On dziś może pozwolić sobie na czterdzieści minut odpoczynku. On nawet sobie pozwoli na więcéj: on pójdzie do swego kantoru na Krakowskie Przedmieście przez ogród Saski, odetchnie świéżém powietrzem, popatrzy na ładne panie — to przecie wolno, na tém dom jego nic nie straci, to na żaden koszt nie naraża. I pan Strauchfeld, wywijając w powietrzu laską hebanową, krokiem wolnym, swobodnie, jak przystoi ludziom idącym na spacer, zmierza w stronę ogrodu. Z bramy tłumnie wychodzą niańki, bony, matki, dążące w towarzystwie małych dzieci do domów przed zachodem słońca. Z pod spódnic i sukni szeleszczących wydobywa się delikatny pył piasku roztartego tysiącem nóg. W powietrzu, zamiast zapachu świéżego pąkowia i roślinności młodéj, unosi się woń rozmaitych perfum. Gwar, pisk, krzyki dzieci mieszają się z półgłośną rozmową starszych; a po wszystkich alejach, na tle szarych drzew i lichéj murawy odbijają jasne suknie, barwne kapelusze i jaskrawe parasolki... Wśród spacerujących przeważają mężatki i matki, które po całodziennem pilnowaniu kuchni, ślęczeniu nad cerowaniem i łataniem, wyszły do ogrodu, by pokazać swe starsze córki. Ubrane skromnie, w ciemnych sukniach, w kapeluszach niezbyt świeżych, zdradzają w swym układzie i ruchach tę codzienną, nieustanną troskę o chléb i życie, która coraz dziś częściéj i chmurniéj osiada na czołach inteligentnych warstw Warszawy. Natomiast córki, bardziéj strojne, w lekkich wiosennych kapelusikach, w krótkich pelerynkach, pozwalających widzieć ręce po łokcie i szczupłą figurę, stąpają krokiem pewnym, patrzą śmiało, wyraźnie zaznaczając sposobem podnoszenia sukni, obcisłym wdziękiem rękawiczek i bucików właściwą wielkim miastom zdolność kobiét wywoływania małemi i skromnemi środkami wrażeń wykwintnego smaku i zamożności. Na skręcie alei w stronę cukierni Loursa pan Strauchfeld spotyka znajomego jakiegoś adwokata, zawiązuje z nim rozmowę i obaj postępują wśród podwójnego szeregu strojów niewieścich,

szczelnie zalegających wszystkie ławki alei; twarze wszędzie poważne, surowe, sędziwe;--nieco weselsze i młodsze przechadzają się tymczasem grupami. Nagle, na zawrocie ku arkadom wychodzącym na plac Saski...

Takich „nagle", przepełniających powieść dawniejszą i w części tegoczesną, Gruszecki nie zna, jest jak się zdaje stanowczym przeciwnikiem wszelkich niespodzianek, wszelkich przejść lub zajść niezwykłych. A wszakże tym razem staje się nadzwyczajność niesłychana prawie w potocznym biegu spraw powszednich, interweniuje traf, podobny do wygrania wielkiego losu na loteryi, któréj bilet wetknął nam ktoś nieznany do kieszeni. Strauchfeld, aż dotąd dystyngowanie obojętny i dyskretny na tyle śmiałych spojrzeń i malowniczo pozujących figur, po raz pierwszy od wejścia do ogrodu ożywia się, skwapliwie chwyta za kapelusz i najuprzejmiéj kłania się niewielkiemu gronu osób, wychodzących z pod arkad od strony placu Saskiego. Wśród rojnéj publiczności ta jedna grupa wydziela się z tłumów, staje na naczelném miejscu, wyłącznie zajmuje uwagę, pomimo że się niczém tak bardzo szczególném nie odznacza. Trzéj panowie ubrani są z elegencyą, co przecież w Warszawie nie jest dziś ósmym cudem świata; z dwóch pań starsza, widocznie matka, ma na sobie „ładnie zrobioną suknię" (to i w Siemiatyczach już możliwe) i na ukłon bankiera odpowiada łaskawém skinięciem głowy; młodsza zaś, „ubrana skromnie, lecz z wielkim smakiem, czyniąca wrażenie czegoś bardzo harmonijnego", spojrzała tylko na bankiera „pięknemi, ciemnemi swemi oczyma i nie oddając ukłonu, zwróciła się do swego towarzysza"... Czyliż więc owa harmonijność i owe piękne ciemne oczy tak zaimponowały panu Strauchfeldowi?—Bynajmniéj. Stało się coś bez porównania donioślejszego. W liczbie trzech panów „elegancko ubranych" znalazł się akurat pan Runowski, za którego pan Strauchfeld, w p r z y s z ł o ś c i, kiedy na giełdzie wygra od sześciu do ośmiu milionów—wyda swą córkę, Emmę; z pań, starsza jest panią Danborską, tą samą panią Danborską, któréj kapitalik skromny ledz ma wkrótce w podwaliny szczęśliwych finansowych kombinacyi bankiera; młodsza, wreszcie, panna Karolina, córka tamtéj, wyjdzie z czasem za syna tegoż bankiera, Maurycego... Jakto?—alboż pan Strauchfeld z góry wié o tém wszystkiém? alboż zawczasu przewiduje i przeczuwa tak olbrzymi rezultat swojego spotkania się pod arkadami ogrodu Saskiego? Byłżeby spirytystą, mediumistą?

Nic z tego. Przewijają się tu tylko, krzyżują się z sobą dwie rzeczywistości: *brutto*-naturalna i *netto*-artystyczna. Pierwsza prze-

suwa się przed nami stopa po stopie, sekunda po sekundzie—przypadkowo, bezładnie, w rozwlekłéj plątaninie wrażeń i postrzeżeń zmysłowych; druga logicznie, rozumnie i zgodne z psychologiczną prawdą naszych wyobrażeń naprawia, porządkuje, utrwala zmienne, zawodne, stłoczone i nieraz psotne, a zawsze zarysowe tylko początkowania tamtéj. Strauchfeld, przechodząc przez ogród Saski, kłaniał się, podrygiwał i sieć połowu zarzucał w swéj głowie po razy kilkanaście, kilkadziesiąt — na lewo i na prawo—na jakichś panów Kukłowskich, Pęczkalskich, Tłustowskich, na jakieś panie Dmuchalskie, Chuchlińskie, Parskańskie — zarówno jak i na panią Danborską; gdyby powieść była kronikarską relacyą danéj godziny lub danego dnia, piętrzyćby się w niéj musiały szeregi odwzorów nikłych, podobnych do błyskawicznych zdjęć fotograficznych z ruchów konia w pędzie lub pociągu w biegu. Ale powieść jest historyą pewnego cyklu, pewnego okresu przygód zaokrąglonych i w sobie zamkniętych. W „Szachrajach" np. okres ten oglądamy z punktu widzenia ostatniéj doby, ostatniego rozdziału akcyi, rozwijającéj się w ciągu dwóch tomów. Przypuśćmy, że sam pan Strauchfeld opisuje nam—już po ślubie swéj córki, już po weselu swego syna—pierwszorozdziałową swą przechadzkę po ogrodzie Saskim; cóż z téj przechadzki w jego pamięci utkwiło, co w niéj ocalało? — To tylko, co nam autor podał: przedewszystkiém trzej panowie elegancko ubrani, w których liczbie był Runowski i dwie panie Danborskie... Dla czego? — Dla tego, że jedynie Runowski wplótł się w dalszym ciągu zdarzeń w jego życie, że jedynie Danborskie odnowiły następnie w jego umyśle pierwszą embryologiczną kréskę luźnego wrażenia, doznanego pod arkadami... Inne postacie, inne kreski, inne wrażenia, na razie może nawet silniejsze, — tacy panowie Kukłowscy, takie panie Chuchlińskie czy Parskańskie rozwiały się i rozchwiały bez śladu, jako niczém już późniéj nie powiązane z główną osnową bankierskiéj i familijnéj działalności p. Strauchfelda.

Gdybyśmy jasno i dokładnie umieli sobie zdać sprawę z przewodu psychologicznego, jaki się w nas odbywa za każdym razem, gdy myśl, posłana w krainę przeszłości, wydobywa z niéj, za pomocą wyobraźni, odbicia zjawisk minionych, niekiedy mglistsze lub ogólniejsze, niekiedy znów szczegółowsze, mocniejsze, wyrazitsze a barwniejsze,—wpadlibyśmy może nareszcie na ślady dróg, które obiera twórczość artystyczna, gdy, przechadzając się wśród nieobjętych i nieskończonych przestworzy postrzeżeń faktycznych i doświadczeń zmysłowych, podnosi z nich jedne, opuszcza drugie, potęguje lub za-

ciera trzecie. Tu i tam działa niewątpliwie to samo prawo wsteczpoglądowości (retrospekcyi), które obowiązywać zdaje się naczelne normy wszelkiego ludzkiego rozwoju (społecznego, naukowego, estetycznego i t. d.), a które zlewając w jedną formułę dotychczasowe pomysły historyozoficzne Vico'a (o spiralnéj linii postępu), Hegla (o syntetyczném równoważeniu się przeciwieństw), Comte'a (o trzechszczeblowéj wędrówce naszego poznania) i Tarde'a (o naśladownictwie), powiada do nas: „Ideały, którémi wszelki ruch odnowczy zastąpić pragnie w przyszłości istniejące całokształty bytu i myślenia, przypominają zawsze, w odblasku bardziéj tylko zharmonizowanym, całokształty mniéj lub więcéj oddalonéj przeszłości" [1]). Dla obecnego wywodu dość będzie podkréślić w owéj retrospekcyi jedno zasadnicze podobieństwo między przypomnieniem i twórczością oraz jedną stanowczą między niemi różnicę. Podobieństwo polega na tém, że zdolność odnówcza, czy to reprodukcyjna (w przypomnieniu) czy kreacyjna (w artyzmie), podgarnia pod siebie i szereguje jednorodne tylko cząstki danego lub zakreślonego przez operacyę materyału. Gdy się przedzieram myślą w czasy mego dzieciństwa w Borysławiu, dom moich rodziców kojarzy się wyłącznie z niebem, powietrzem i ludźmi borysławskimi, a gdy przypominam sobie studya na uniwersytecie lwowskim lwowskie tylko ramy, stosunki i okoliczności pamięć mi podsuwa; tworząc, postępuję w podobnyż sposób: gdy opisuję sen hrabianki Herty o gwiazdach i mieniącym się pod jéj wzrokiem Wosińskim („Rugiwojscy", 189), usypiam ją wśród puchów, aromatów i kotar arystokratycznego buduaru w Wieszarach, nie zaś w kuchni wyrobniczéj, na łóżku Marysi Uraczówny, gdzie „z pod podłogi, z kątów, ze ścian wyłażą na żer roje karaluchów, prusaków, stonóg i z właściwym sobie szmerem mrówią się na stołach, tapczanach i szafach". („Hutnik", 34). Ale różnica dobitniéj jeszcze występuje. W przypomnieniu mojém np. dawnego nauczyciela spotkanego pod jesień 1888 r. w Petersburgu na Fontance, niepodobna mi oderwać od doznanego wrażenia ani okratowanéj bramy domu Tarasowa, ani ukośnie załamających się wtedy promieni wesołego przedpołudniowego słońca, ani radośną niespodzianką zaakcentowanego uśmiechu profesora, ani jego zroszonych ciepłą wilgocią okularów, ani jego szerokoskrzydlatego, niezbyt estetycznie połamanego i pogiętego kapelusza na głowie. Całość portretu, raz utkwiwszy

---

[1]) Porównaj Kazimierza Krauza „Socyologiczne prawo retrospekcyi" (w odbitce z „Ateneum", Warszawa, 1898, str. 9 i nast.

w mózgu, nierozdzielnie trzyma się pamięci wszystkiemi swemi częściami. Gdyby jednakże wypadło postać tę umieścić w jakimś dramacie, w jakiéjś epopei, opiewającéj nieboską komedyę naszego wieku, twórczość nic zgoła nie miałaby do nadmienienia przeciwko transformacyi téj bramy tarasowskiéj na dziedziniec sorboński, tego jasnego nadnewskiego słońca na chmurny wieczór nadsekwański, tego karbonarskiego kapelusza na biret rektorski, tego uprzejmego uśmiechu na cierpki wyraz twarzy, jaki np. widzimy na drzeworycie pierwszego tomu zbiorowego wydania pism ulubionego niegdyś przewodnika młodzieży.

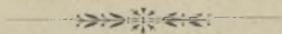
Prawo retrospekcyi obowiązuje przeto sztukę o wiele luźniéj. niż naukę (psychologię np. pamięci); ciąży ono nad artyzmem zaledwie tyle, ile nad teraźniejszością ciąży przyszłość możliwemi, ewentualnemi nie zaś koniecznemi swemi zmianami. Twórczość bez porównania swobodniéj, niż umiejętność, rozrządza nabytkami empirycznego swego doświadczenia. Nie trzeba jednak mniemać, ażeby granice téj swobody względnéj były zbyt rozległe. Sama tylko miernota powieściopisarska dowolnie i swawolnie korzystać może z popuszczenia cugli fantazyi; ona tylko używać i nadużywać zdolna ograniczonéj rekreacyi ducha na rozpaplane bieganiny zmyślenia po wszystkich bywałych i niebywałych, prawdopodobnych i nieprawdopodobnych terytoryach rzeczypospolitéj babińskiéj. Dla rzetelnego artyzmu najprostsze przestawienie postaci z lipca na grudzień, z Paryża do Krakowa, lub naodwrót, powoduje taką masę skrupułów i wymagań, że wobec nich zabawką wydałby się mus zliczenia doraźnie na miejscu, w ciągu rozmowy, wszystkich téj postaci pochyleń głowy, skinień ręki, przymrużeń oczu, skrzywień warg, przytupnięć nogi i t. d. Jak każde posunięcie pionka w szachach grozi alternatywą wygranéj lub przegranéj, tak samo każdy krok nasz w krainie pięknotwórstwa—w tym przedsionku przyszłości—otwiéra przed nami setki zwrotów i wyjść, z których każde ma swoje widoki dodatnie i ujemne. A wybór od czego zależy?—Po odpowiedź odwołajmy się raz jeszcze do przykładu. W „Szarańczy" walka Szlązaków z Niemcami zmierza ku końcowi. Krempa—czyli teraz właściwie Krępa, nieodwołalnie opuszcza dziennik „Ostmark" i łącząc się z rodakami, dzielnie przyczynia się do pomyślnego rozwiązania ich sprawy. Energiczna, wyćwiczona w nieprzyjacielskim obozie czynność jego przy zakładaniu banku i przygotowaniu wyborów do sejmu zbiega się z nieszczęściem domowém, ze śmiertelną chorobą jego żony Maryi, która najwięcéj wpłynęła na otwarte przyznanie się „Krępów" do pochodzenia szlązkiego. Ta niemoc

Maryi, wymotywowana jedynie trafem nieszczęśliwym (wypadnięciem z tramwaju), wygląda na złą wróżbę i zapowiedź czegoś, co się następnie w powieści nie sprawdza. Choroba przypuszcza dwa realne, dla rzeczywistości objektywnéj najzupełniéj obojętne rozstrzygnięcie: śmierć i wyzdrowienie. Czy w umyśle autora nie ważyły się i nie walczyły z sobą dwa te rozstrzygnięcia? czy w pierwotném założeniu autora nie tkwił zamiar pójścia za rozstrzygnięciem pierwszém? Przecież rodzinna klęska Krępy (przypuszczalna strata żony), jako uwydatnienie tezy subjektywnéj, że „dobro publiczne stoi poświęceniem prywatném" nie byłaby wcale dotkliwszą, w naturalnym porządku rzeczy, od klęski poniesionéj przez Sobolskiego, który w stanowczéj chwili ofiarnie zrzekł się Eweliny na zawsze. Gruszecki wolał rozwiązanie drugie: pozostawił przy życiu Maryę. I kiedy do redakcyi „Pochodni", gdzie teraz wraz z Sobolskim pracował Krępa, nadeszła nareszcie decydująca wiadomość, że kandydat szlązki otrzymał w wyborach 14,600 głosów, gdy kandydat niemiecki tylko 4,500,—Krępa wypadł jak strzała na ulicę, wsiadł do dorożki i kazał się wieźć do domu. W bramie kamienicy zabiegł mu drogę syn jego, Wojtuś, pytając:—„Tatusiu, pobiliśmy Niemców?"—„Pobiliśmy"—odpowiedział Krępa i wbiegł do pokoju, wołając z progu do drżącéj z oczekiwania żony:—„Zwycięztwo!" — Należało się ono kobiecie, któréj świadomość i poczucie solidarności rodowéj rosły i wzbierały równolegle niemal do wzbierania i wzrostu samowiedzy i samopomocy narodowéj na Szlązku,—należało się to jéj według wszelkich reguł boskiéj i ludzkiéj sprawiedliwości. A więc poszanowanie tych reguł zniewoliło autora do kasaty zawieszonego już nad głową Maryi wyroku zgonu i do wyjęcia w ostatniéj chwili śmiertelnéj kuli z naboju, którego część wybuchowa (natężona choroba) pozostała w powieści jako szczątek niezużyty,—nikomu wprawdzie nie zawadzający, lecz nadmierny, w porę nieuprzątnięty?— Bardzo to być może,—ale wewnętrznych pobudek autora nie znamy. Wiemy i widzimy to jedno, że w przyrodzonéj (naturalnéj) możliwości zgonu Maryi nie tkwiła żadna konieczność, logiczna lub artystyczna. Artystycznie, nuta żalu i żałoby, wtrącona do epilogu (jakikolwiek zresztą byłby jéj efekt częściowy), rozbiłaby pełnię ogólnego, górującego tonu radości („Zwycięztwo!"). Logicznie, zniknięcie z widowni Maryi stanęłoby w jaskrawéj sprzeczności ze zniknięciem Eweliny. Sobolski, otrzymawszy od ubóstwionéj dziewczyny telegram: „Mama pozwoliła, przyjeżdżaj, dyspensę mam, za trzy dni ślub",—odpowiada na nią: „nie przyjadę, bądź zdrowa, żegnam na zawsze", pod parciem nieodbitéj potrzeby społecznéj,

kiedy współrodacy, wzywając go do przewodnictwa, oświadczają mu wręcz, z wiarą niezłomną: „na każdym coś ciąży: to jadł chléb niemiecki, to kumał się z nimi, to z Niemką ma amory, to krew nieczysta;—ty jeden cały nasz”. Niemka Ewelina, w takich warunkach, nieodzownie ustąpić musi przed nawałnicą pożytku powszechnego; śmierć Maryi nikomu na zdrowie by nie poszła i nikt jéj—okrom robactwa krzyżackiego—nie pożądał.

Oczywiście, byłby to tartak nieustających męczarni zmysłów i ducha, gdyby powieściopisarz, lub w ogólności artysta, potrzebował ciągle, za każdym kłębkiem swéj myśli, za każdém poruszeniem swego pióra, pędzla lub dłuta, oglądać się, badać, rozważać, rozmierzać: a czy jest ten ustęp zgodny z naturą rzeczy, a czy zmierza ten rys w kierunku odpowiednim do celu, lub założenia utworu, a czy przedmiotowość nie kłóci się tu z podmiotowością utworu, a czy siła uderzenia jest lub nie jest proporcyonalną do siły rzutu?... Deptanie takiéj w kółko nigdy by końca nie było. Nie znają téż jéj wcale autorowie o mocniéj wyrobionéj lub pierworodnie krzepkiéj indywidualności artystycznéj. Robota pali się im w mózgu, w sercu, w wyobraźni, w ręku—i ani patrzą, ani dbają o to, do jakiéj estetycznéj szufladki krytyk włoży późniéj legendę szlązką o Skarbniku („Krety”, 54), rodowód chłopa w drugiém lub trzeciém od pańszczyzny pokoleniu („W Starym dworze”, 138,144), lub spotkanie się Zuzi z pomocnikiem dozorcy w kościele, późniéj na polance leśnéj— i ponury, pełen smutku i tragicznéj grozy zgon sponiewieranéj dziewczyny („Hutnik”, 121, 131, 163). Ale właśnie—trzeba mieć tę indywidualność, trzeba w sobie posiadać przedziwny ten aparat twórczy, czulszy od najmisterniéj zbudowanego barometru na każde mikroskopijne zawahanie się ciśnienia psychologicznéj lub społecznéj atmosfery utworu, a tkliwszy od najbardziéj wiotkiéj i powiewnéj igły magnesowéj na każdy odskok, na każde zboczenie kompozycyi od złożonych w jéj wnętrzu zasad i przeznaczeń...

J. T. H.



Historya otrzymywania nizkich temperatur.

Sztuczne otrzymywanie zimna odgrywa bardzo ważną rolę przy doświadczeniach chemicznych i fizycznych. Badanie tych zjawisk zaciekawiało od dawnych czasów szerokie grono uczonych, to też szkicowy rys historyczny, odtwarzający rozwój metod i sposobów, używanych do otrzymywania nizkich temperatur, nie jest pozbawiony głębszego znaczenia [1]).

Oddawna wiadomém było, że rozpuszczenie w wodzie rozmaitych ciał stałych sprowadza znaczne nieraz obniżenie temperatury. Najdawniejszą wzmiankę o tém zjawisku znajdujemy w 1550 roku w pismach hiszpańskiego lekarza, zamieszkałego w Rzymie, Blasiusa Villafranca, który zwraca uwagę na obniżenie temperatury wody, przy rozpuszczaniu w niéj saletry. Podobne wzmianki spotykamy i u innych pisarzy tego stulecia, a Latinus Trancredus w 1607 r. posługuje się w tém doświadczeniu śniegiem zamiast wody i dochodzi do otrzymania znaczniejszego jeszcze zimna.

Zasługa zastosowania mięszanin oziębiających do celów naukowych przypada w udziale fizykom florenckim z akademii del Cimento, którzy pierwsi 1657 r. posługiwali się niemi przy badaniu wpływu, jaki ciepło i zimno wywierają na naczynia. Znane były w owym czasie przeróżne mięszaniny, wytwarzające sztuczne zimno, jak naprzykład mięszanina śniegu i soli morskiéj, lub inne, w skład

---

[1]) *Dr. von Wirkner: Geschichte und Theorie der Kälteerzeugung, Hamburg 1897.*

których wchodził spirytus, saletra i salmiak, dostarczające przez zmięszanie największego zimna, na jakie zdobyć się mogła ówczesna nauka.

W tym samym mniéj więcéj czasie znakomity uczony angielski Boyle zajmował się podobnemi badaniami, jak to widać z jego pracy: „*Historia experimentalis de frigore*" — możliwém jest nawet, że wspomniane wyżéj sposoby otrzymywania chłodu zostały przez niego wynalezione: jego dzieło przypada na rok 1665. Boyle doszedł do nadzwyczaj ważnego przekonania, że wszystkie sole stałe mogą powodować topienie się śniegu, a nawet lodu, i sprowadzają tém znaczne oziębienie. Przedstawia on przytém cały szereg mięszanin oziębiających, między któremi wymienimy mięszaninę śniegu lub lodu z kwasami, naprzykład z kwasem siarczanym.

Ciekawym jest fakt, że niektórzy ówcześni uczeni, chcąc wytłómaczyć działanie tych mięszanin oziębiających, a nawet samo powstawanie zimna przy rozpuszczeniu saletry w wodzie, wpadli na mylne zapatrywania, dotyczące istoty zimna; między innymi Gassendi (1592—1655) twierdził, że zimno nie jest ciepłem negotywném, albo brakiem ciepła, gdyż istnieje materya tworząca zimno, wślizgująca się w najdrobniejsze przestrzenie, w najdelikatniejsze pory i szparki, zamieniając ciała płynne na stałe, zakrzepłe. Gassendi uznawał saletrę za ową materyę tworzącą zimno, sądził, że części téj soli mają kształt tetraedryczny, a uderzając o naszą dłoń swemi trójkątowemi szczytami, sprowadzają uczucie zimna. Przy zamarzaniu wody, kryształki te mięszają się z nią, otaczają ją zewsząd, sprowadzając chłód.

Boyle protestował przeciw takiemu pojmowaniu zimna i przeciw twierdzeniu, że moc wytwarzania chłodu jest udziałem kilku ciał specyalnych: „dlaczego uważać saletrę za materyę tworzącą zimno, gdy inne sole, a nawet samo powietrze zdolne są doprowadzić wodę do zmarznięcia?". Uczony ten uważał, że zimno jest poprostu brakiem ciepła.

Po Boylem kwestyą nizkich temperatur zajmowali się St. Geoffroy (1700), Homberg (1701), a wreszcie Réaumur, który w 1734 roku śmieléj wziął się do rzeczy, gdyż przy pomocy swego termometru ściślejsze mógł zbierać dane o obniżeniu się temperatury. Fahrenheit poświęcał również dużo czasu podobnym studyom, a nawet, jak wiadomo, obrał temperaturę wytworzoną zmięszaniem salmiaku ze śniegiem, jako zero swego termometru.

Po spostrzeżeniu dokonaném przez de l'Islea w 1736 r. w Irkucku nad zamarznięciem rtęci przy temperaturze dostarczonéj przez

przyrodę, uczeni ówcześni znaleźli zadanie ciekawe dla nich niezmiernie, polegające na sztuczném odtworzeniu tego zjawiska. Zadanie to rozwiązał Brau w 1759 r., zastosowawszy mięszaninę oziębiającą, złożoną ze śniegu i rozcieńczonego kwasu azotnego. Innym badaczom udawało się téż nieraz dokonać trudnego doświadczenia, Nab między innymi użył w tym celu mięszaniny śniegu i kwasu siarczanego, czém otrzymał temperaturę niższą niż poprzednik.

Ryszard Walker, aptekarz w Oksfordzie, oddawał się w 1787 r. tym studyom, zarówno jak w kilka lat późniéj Lowicz z Peterburga; ten ostatni otrzymał zimno sięgające 40^0, za pomocą zmięszania w odpowiednich proporcyach chlorku wapnia ze śniegiem, a mięszanina ta służyła potém nieraz przy doświadczeniach naukowych do otrzymywania znacznego oziębienia.

Prócz wyżéj wymienionych, pracowało jeszcze kilku badaczów na polu dochodzenia do coraz to większego zimna. Zawsze jednak posługiwano się w tym celu mięszaniem substancyi płynnych ze stałemi: ciało stałe dąży do stopienia się i pochłania w tym celu dużo ciepła od płynu, w skutek czego następuje oziębienie; pod wpływem zaś tego zimna utworzony płyn może zaskrzepnąć, wytwarzając najniższą temperaturę, którą można osiągnąć w podobnych doświadczeniach. Metoda ta wielkie oddała zasługi nauce, i jeszcze często do niéj się uciekamy, istnieje jednakże inna, która doprowadziła do rezultatów o wiele świetniejszych.

Mairau w 1725 r. pierwszy odkrył, że parowanie płynów wytwarza znaczne oziębienie; przekonał się o tém, spostrzegłszy, że termometr, wyjęty z jakiegoniebądź płynu, okazywał zawsze mały spadek rtęci, choćby nawet powietrze cieplejszém było od płynu, w którym był zanurzany. Mairau nie umiał dokładnie wytłómaczyć tego zjawiska, i dopiero Culleu w 1755 r. zawyrokował, że cząstki płynu, przylegające do termometru, pochłaniają, parując, dużo ciepła, wskutek czego następuje oziębienie.

Baumé spostrzegł wkrótce potém, że największy spadek rtęci odpowiada zanurzeniu termometru w eter siarczany, a Braun doszedł w 1766 r. do przekonania, że oziębienie jest tém znaczniejsze, im szybszém jest parowanie płynu.

Tenże sam uczony angielski Culleu zauważył już 1755 r., że pod dzwonem maszyny pneumatycznéj termometr spada o 2^0 — 3^0, po wpuszczeniu zaś powietrza natychmiast się podnosi; szwedzki zaś uczony Wilcke przekonał się, że wogóle rozrzedzenie powietrza sprzyja parowaniu, i doszedł do temperatury —12^0 za pomocą odparowania alkoholu w próżni, a do —18^0, odparowując w tych samych

warunkach eter siarczany. Wilcke pierwszy przemienił w zwyczajnéj temperaturze pokojowéj wodę na lód, pod kloszem naturalnie maszyny pneumatycznéj. Pradziad Karola Darwina, Erazm, wspomina również w swych pismach z 1788 r., że parowanie jest środkiem sprowadzającym łatwo ochłodzenie.

W końcu zatém zeszłego stulecia dość dużo rozprawiano o parowaniu, miano o niém dokładne pojęcie, lecz nikomu nie przyszło na myśl zastosować je przy otrzymywaniu nizkich temperatur na większą skalę. Zanim jednak w 1823 r. Faraday skroplił chlor i inne gazy, uczynione zostały znaczne postępy w metodach otrzymywania zimna, i zobaczymy jak ściśle te ostatnie związane są z postępami dokonanemi nad skropleniem gazów.

Musimy więc zwrócić się do głównych danych historycznych dotyczących skroplenia gazów.

Początek tych badań leży w przekonaniu alchemików, że powietrze można przemienić na wodę. Przekonanie to sięga nawet starożytności, gdyż już za czasów Arystotelesa zadawano sobie pytanie, czy wogóle jest to możebném. Pliniusz uważał, że w saméj przyrodzie powietrze zamienia się w wodę, poczytywał bowiem chmury za zgęszczone powietrze. Przez długi czas zadawalniano się najzupełniéj takiém wytłómaczeniem zjawiska, aż van Helmont (1577—1644) stanowczo przeciw takiemu pojmowaniu wystąpił, dowodząc że przy najsilniejszém ciśnieniu powietrze nie daje się zamienić na wodę. Boyle również protestował przeciw takiemu zapatrywaniu, mimo to jednak przetrwało ono aż do czasów Lavoisiera, to jest aż do wyświetlenia prawdziwego składu powietrza i wody.

Nasze wiadomości o gazach datują się od badań van Helmonta; on pierwszy poznał ich własności, pierwszy téż rozklasyfikował je na gazy i pary, nazywając gazami te ciała lotne, które nie dają się skroplić przez oziębienie, gdy pary łatwo tym sposobem możemy doprowadzić do postaci płynnéj. Przekonanie to długi czas tkwiło w nauce, aż Faraday skropleniem chloru obalił sztuczny rozdział, ustanowiony przez van Helmonta, między parami i gazami.

Dwaj francuscy uczeni, Fourcroy i Vauquelin, zajęli się w 1799 roku badaniem wpływu, jaki wielkie zimno wywiera na gazy; posługiwali się w tym celu mięszaniną oziębiającą, złożoną z chlorku wapnia i śniegu, która dała im możność otrzymania temperatury—40°. Za pomocą téj metody udało się im skroplić amoniak gazowy, a nawet doprowadzić go w ich mniemaniu do stanu krystalicznego. Świetny rezultat zachęcił tych uczonych do dalszych poszukiwań

na tém polu: nie zdołali jednak, pomimo usilnych starań, skroplić innych gazów.

Dalsze poszukiwania w tym zakresie nie przedstawiają, aż do czasów Faradaya, głębszego znaczenia. Faraday na wiosnę 1823 r. rozpoczął doświadczenia z wodanem chloru, będąc sam jeszcze bardzo młodym asystentem Davyego. Ogrzewał on to ciało w zatopionéj rurce, do wysokiéj temperatury, pod silném zatém ciśnieniem; wkrótce spostrzegł, że rurka wypełniła się żółtemi parami, a te, nie mając ujścia, pod wpływem własnego ciśnienia skropliły się, wytwarzając dwa płyny różne: oleisty był skroplonym chlorem. W téj chwili właśnie wszedł do pracowni znajomy Faradaya, doktór Paris, i spostrzegłszy rurkę usłaną wewnątrz kroplami jakby tłustemi, żartował z młodego chemika, że używa do doświadczeń szkła nie dość czystego. Nazajutrz z rana otrzymał liścik zawierający następujące słowa: „Szanowny panie, oléj, któryś zauważył wczoraj, był niczém innym tylko ciekłym chlorem".

Faraday nie poprzestał naturalnie na tém jedném odkryciu, gdyż udoskonaliwszy swą metodę, doszedł do otrzymania w postaci ciekłéj kilku gazów, poczytywanych za jego czasów, jako trwałe: skroplił zatém siarkowodór, dwutlenek węgla, kwas pruski, dwutlenek siarki i t. p.

Rezultaty osiągnięte przez Faradaya zachęciły wielu badaczów do współpracowania w przedmiocie tak bardzo ciekawym. Perkins dowodził nawet, że powietrze, poddane bardzo silnemu ciśnieniu, zmienia zapewne swój stan skupienia.

Bussy w 1824 r., skrapla dwutlenek siarki, posługując się tylko silném oziębieniem gazu, i zwraca pierwszy uwagę na to, że ciecz w ten sposób otrzymana sprowadzić może przez parowanie bardzo wielkie obniżenie temperatury, mianowicie—57°, a w próżni nawet—68°. Bussy pierwszy zastosował skroplone gazy do otrzymania wielkiego zimna, a to, służyło mu powtórnie do skroplenia gazów odporniejszych. Użył między innemi owego ciekłego dwutlenka siarki, jako środka oziębiającego przy skropleniu chloru, amoniaku i kwasu pruskiego,—ten ostatni otrzymał nawet w formie stałéj; poczém owe skroplone gazy pragnął użyć, z powodu wielkiego zimna, którego dostarczały parując, do otrzymania innych gazów w postaci ciekłéj, takich mianowicie, na które nie działało zimno, wynikające z ulotnienia się ciekłego dwutlenku siarki. I choć nie wydołał téj pracy, niemniéj jednak wskazał drogę, którą należy podążać, drogę w pięćdziesiąt lat potém obraną z wielkiem powodzeniem przez Picteta i innych badaczów.

Uczony francuski Tilorier zastosował na wielką skalę metodę Faradaya, zbudował przyrząd, za pomocą którego w przeciągu kilku minut otrzymywał nie mniéj jak litr płynnego dwutlenku węgla; w przyrządzie tym zamiast zatopionych rurek szklanych, używanych przez Faradaya, wprowadził wielki cylinder żelazny, nic więc dziwnego, że mógł skraplać większe masy gazów. Przyrząd ten był jednak bardzo niebezpieczny, a Liebig opisuje, że w pracowni szkoły farmaceutycznéj w Paryżu podobny cylinder został rozerwany z powodu wielkiego parcia gazów, a asystent obecny przy tym wypadku postradał życie. Tilorier opisuje własności ciekłego kwasu węglanego, otrzymanego pod ciśnieniem 36 atmosfer, a temperaturze 0^0, i zamarznięcie téj cieczy na ciało białe jak śnieg. Uczony francuski nie zdawał sobie właściwie sprawy, że wskutek parowania ciekłego kwasu węglanego powstaje takie zimno, że ciecz ta się ścina, i nie wiedział przez długi czas, czém jest właściwie białe śnieżyste ciało, tworzące się przy doświadczeniu i przypuszczał, że jest to poprostu śnieg, spadły wskutek ochłodzenia wilgotnego powietrza, i dopiéro gdy zdał sprawę ze swego doświadczenia przed komisyą akademii paryskiéj, złożoną z takich uczonych, jak Arago, Dulong i Thenard, wówczas ci zadecydowali, że białe ciało podobne do śniegu jest zamrożonym kwasem węglanym. Temperaturę krzepnięcia tego związku oznaczono na -100^0.

Faraday otrzymywał nawet w doświadczeniu tém temperaturę -110^0, gdyż przeprowadzał parowanie ciekłego dwutlenku węgla w próżni, zimna zaś tym sposobem otrzymanego używał do skroplenia rozmaitych innych gazów. Prócz ochłodzenia stosował on w swych doświadczeniach znaczne nieraz ciśnienie i za pomocą czynników tak potężnych zdołał wiele bardzo gazów doprowadzić do postaci płynnéj. Nie udało mu się jednak skroplić tlenu, wodoru, azotu i tlenku węgla, z powodu, jak sam mniemał, niedostatecznie nizkiéj temperatury, którą umiał wytworzyć.

W tym samym roku 1844 student uniwersytetu wiedeńskiego, Natterer, obmyślił przyrząd, pozwalający otrzymywać tanim kosztem kwas węglany ciekły na wielką skalę. Przyrząd ten składał się z dwóch części: w jednéj wytwarzano kwas węglany, w drugiej gaz gromadził się i zostawał poddawany silnemu ciśnieniu w mocném naczyniu żelazném. Zadowolony powodzeniem, próbował zastosować przyrząd swój i do innych gazów; próby czynione z tlenkiem azotu wypadły bardzo pomyślnie. Faraday skroplił wprawdzie przed nim ów gaz, ale w ilości bardzo drobnéj, Natterer zaś otrzymał go nietylko w postaci płynnéj, ale nawet w stałéj: otrzymał bowiem

ciecz koloru mlecznego, nadanego jéj przez drobne cząstki zakrzepłe, która wylana na filtr zamarzała na masę białą i twardą. Temperatura osiągnięta w tém doświadczeniu spadła do—105°. Było to największe zimno, które w czasie owym zdołano otrzymać.

Natterer rozpoczął wkrótce doświadczania z tlenkiem węgla, te jednak nie udały się mimo ciśnienia 150 atmosfer, którego używał. Sądząc, że ciśnienie było jeszcze za słabe, ulepszył swój przyrząd, wzmocnił go w ten sposób, żeby mógł wytrzymać 1,000 atmosfer: najwytrzymalsze cylindry żelazne pękały jednak pod tém parciem, i musiał zastąpić je stalowemi. Natterer mniemał, że wszystkie gazy, poczytywane do owych czasów za trwałe, a zatém tlen, azot, wodór—dadzą się skroplić pod wpływem ciśnień niezmiernie silnych, uskutecznienie zaś tego doświadczenia uważał jako niezmiernie cenne z powodu bardzo nizkiéj temperatury, powstającéj zapewne przy skropleniu tych ciał lotnych; zimna zaś tym sposobem wytworzonego użyć można do dalszych poszukiwań, posłużyć może ono do rozpoznania natury pierwiastków, do odróżnienia metali od niemetali, a wreszcie niezmiernie ciekawém jest badanie powolnego zanikania energii chemicznéj przy rozwijaniu się coraz to większego zimna: przy wielkiém zimnie wszelka akcya chemiczna powinna ustać. Uchwycić tę chwilę! co za zdobycz dla nauki.

To téż mimo ujemnych rezultatów, nie zniechęcał się bynajmniéj w swych studyach i w dalszym ciągu stosował olbrzymie ciśnienie 1000 atmosfer do skroplenia powietrza i gazu oświetlającego, które jednak odmawiały posłuszeństwa i nie zmieniły w tych warunkach swéj postaci lotnéj. Wówczas obmyślił on przyrząd dostarczający ciśnienia 3000 atmosfer,—próby jednak dokonane nad azotem, tlenem i wodorem wypadły ujemnie, i Natterer doszedł do przekonania, że samo ciśnienie, choćby kolosalne, nie jest w stanie doprowadzić tych gazów do postaci płynnéj, że użyciem saméj siły mechanicznéj nie dojdzie do celu: należy wprowadzić w grę drugi czynnik potężny, aby cząstki gazowe zbliżyć i spoić, mianowicie oziębienie.

Natterer wziął się zaraz do rzeczy, chcąc sprawdzić o ile teoryę jego poprze doświadczenie: poddawał gaz oświetlający silnemu ciśnieniu, a jednocześnie oziębiał go parowaniem zakrzepłego dwutlenku węgla oblanego eterem,—doświadczenie nie udało się jednak z powodu trudności technicznych.

W tym samym mniéj więcéj czasie, gdy Faraday i Natterer twierdzili, że wszystkie gazy poczytywane za trwałe, t. j. nie dające zmienić swego stanu skupienia, można skroplić za pomocą tempera-

tury niezmiernie nizkiéj, lub ciśnienia bardzo silnego, w tym samym czasie (1869) Andrews wystąpił z teoryą stwierdzającą te przypuszczenia. Uczony angielski, po długich badaniach i doświadczeniach nad naturą gazów i wpływem, jaki zimno na nie wywiera, doszedł do przekonania, że dla gazów istnieje pewna temperatura zwana przez niego krytyczną, powyżéj któréj największém nawet ciśnieniem nie potrafimy ich zamieniać na płyny. Każdy gaz ma odmienną krytyczną temperaturę, chcąc go zatém skroplić, należy przedewszystkiém dostatecznie go oziębić. Jeżeli teorya Andrewsa jest słuszną, to i dla płynów musi istnieć pewna temperatura krytyczna, powyżéj któréj płyny pod największém nawet ciśnieniem przechodzą w stan gazowy.

Cagniard de la Tour w 1822 r. zrobił już podobną uwagę o eterze, a badania w tym kierunku prowadzili: Wolf w 1858 r., Drion w 1859 i Mendelejew w 1860 r. Ten ostatni wprowadził do nauki pojęcie o absolutnéj temperaturze wrzenia, będącéj w gruncie rzeczy jednoznaczną z temperaturą krytyczną Andrewsa; wszystkie płyny w jego mniemaniu można doprowadzić do pewnéj temperatury, powyżéj któréj nie mogą istniéć jako ciecze, gdyż temperatura owa zmusza je niejako do przybrania stanu gazowego, a ciśnienie nie zdoła w tych warunkach gazów owych skroplić. Wodór zaś i podobne mu gazy, zwane trwałemi, odznaczają się niezmiernie nizką absolutną temperaturą wrzenia, i z tego względu doprowadzenie ich do postaci ciekłéj może się jedynie udać przy bardzo znaczném oziębieniu i silném ciśnieniu.

Do czasów Natterera kwestya wielkiego zimna była do pewnego stopnia tylko kwestyą teoretyczną, od roku zaś 1860 rozwija się z niezmierną szybkością praktyczna strona przedmiotu. Pomyślano przedewszystkiém, czy zimno, otrzymane rozpuszczeniem niektórych soli, nie da się zastosować do technicznego otrzymania lodu na wielką skalę. Próbowano wielokrotnie, lecz nadaremnie; zwrócono się tedy do mięszanin oziębiających.

Mięszaniny podobne duże mają znaczenie do dziś dnia w pracowniach naukowych, gdy chodzi o zimno niewiele przekraczające 0^0, w domowém życiu posługujemy się niemi chętnie, a w niektórych gałęziach przemysłu, choćby w cukrownictwie, ciągle mamy z niemi do czynienia. Ile razy chodzi o to, aby szybko wywołać oziębienie, wówczas zwracamy się do mięszanin oziębiających, które pod tym względem są nieocenione. Mnóstwo zbudowano przyrządów do tych celów praktycznych, nie są one jednak odpowiednim środkiem do otrzymywania lodu na wielką skalę.

Podstawą wielkich maszyn oziębiających jest zasada wytwarzania zimna przez parowanie płynu, albo przez prędkie rozlanie się (*expansion*) ciał gazowych. Obniżenie temperatury jest tém znaczniejsze, im szybszém jest parowanie, te téż stosowane są tu takie związki, które odznaczają się nizkim stosunkowo punktem wrzenia, jak kwas węglany, eter, amoniak i t. p.

Maszyny oziębiające są zazwyczaj skomplikowanéj budowy, szczególnie zaś te, które zastosowane są do zmiany ciśnienia. Ciśnienie odgrywa w tych zabiegach dużą rolę, gdyż punkt wrzenia substancyi zależy, jak wiadomo, od ciśnienia: gdy ciśnienie się zwiększa, punkt wrzenia się wznosi, a razem ze zmniejszającém się ciśnieniem punkt wrzenia opada; stąd wnosić możemy, że temperatura otrzymana będzie tém niższą, im mniejszém jest ciśnienie użyte, a niższym punkt wrzenia płynu.

W pierwszych maszynach oziębiających otrzymywano zimno przez parowanie eteru, potém zwrócono się do kwasu węglanego, lecz przyrządy te okazały się niepraktyczne z powodu wielkich ciśnień (16—46 atmosfer), które musiano stosować przy skropleniu tego gazu. To téż zarzucono te sposoby, gdy Carré wynalazł swą maszynę oziębiającą, albowiem ta odpowiadała wymaganiom przemysłu, okazała się praktyczną i niekosztowną. Przyrząd ten, w którym główną rolę odgrywa ciągła zmiana stanu skupienia amoniaku, przechodzącego z postaci gazowéj do ciekłéj, z ciekłéj do gazowéj,—przyrząd ten jest o tyle wygodny, że wszędzie na zawołanie może wytwarzać duże ilości lodu, to téż podniósł wiele gałęzi przemysłu, a nawet dał bodziec do powstania i rozwinięcia się nowego przemysłu przetworów zamrożonych lub oziębionych.

Linde i Pictet duże położyli zasługi na polu wynalazków w téj dziedzinie, szczególnie ten ostatni, obmyśliwszy płyn złożony z dwutlenku siarki i kwasu węglanego, wrący przy—19^0, doskonale się nadający do oziębienia.

Wreszcie Kirk opatentował maszynę oziębiającą o zgęszczoném powietrzu. Powietrze przy zgęszczeniu wydziela wprawdzie ciepło, skoro jednak pozwolimy mu się rozlać swobodnie, wówczas pochłania je, wywołując dokoła oziębienie. Oziębienie podobne może być bardzo znaczne, jeśli naturalnie gaz poddany był uprzednio silnemu ciśnieniu; powietrze naprzykład, oswobodzone raptownie z pod ciśnienia 4-ch atmosfer, wytwarzało przy rozlaniu się obniżenie temperatury sięgające do—70^0. Przyrządy te nadają się jednak bardziéj do oziębienia powietrza, niż do fabrykacyi lodu, to też posługują się niemi do ochłodzenia lochów i piwnic, a nawet duże znalazły zastosowanie w piwowarstwie.

Rok 1877 wielkie ma znaczenie w historyi, którą podajemy, w tym czasie bowiem Cailletet z Paryża i Raul Pictet z Genewy skroplili gazy poczytywane za trwałe, które opierały się wszystkim dotychczasowym metodom, i doszli do celu, o którym marzył Faraday, nad osiągnięciem którego tylu badaczów daremnie wysilało swój umysł wynalazczy.

Cailletet poddawał gazy w grubéj rurce szklanéj ciśnieniu prasy hydraulicznéj, ciśnieniu wynoszącemu kilkaset atmosfer, przyczém oziębiał je silnie, oblewając płynnym dwutlenkiem siarki; po niejakim czasie usuwał raptownie ciśnienie, pozwalając gazom rozlać się swobodnie; wskutek téj gwałtownéj ekspansyi gazy, oziębiały się niezmiernie silnie, a to dla tego że cząstki gazu, nie mogąc w okamgnieniu zrównać swéj temperatury z wyższą temperaturą rury, w któréj pozwolono im swobodnie się rozprzestrzenić, czerpały w sobie ciepło potrzebne do téj reakcyi. Następstwem tego raptownego i silnego oziębienia było skroplenie się gazu w postaci mgły, lub nawet drobnych kropel. Tym sposobem Cailletet skroplił gazy trwałe, nie zdołał ich jednak odosobnić, ani zbadać ich własności w tym nowym stanie skupienia.

Pictet doszedł do tych samych rezultatów: używał jednak przyrządów i sposobów cokolwiek odmiennych. Uczony ten posługiwał się przyrządem podobnym do słynnych rurek zatopionych Faradaya: w jednéj części przyrządu, hermetycznie zamkniętéj, gazy wydzielały się i pod wpływem własnego ciśnienia skraplały w mocnéj rurze miedzianéj, stanowiącéj drugą część aparatu; rura ta była silnie oziębianą na zewnątrz przez parowanie zakrzepłego dwutlenku węgla, uprzednio oziębionego oblaniem płynnym dwutlenkiem siarki: temperatura sięgała—140°. W tych warunkach Pictet mógł śmiało wziąć się do dzieła, dzierżył bowiem dwa główne czynniki niezbędne do osiągnięcia celu: wielkie zimno i potężne ciśnienie. Udoskonalił jeszcze w znacznym stopniu swój aparat, używając do oziębienia płynnego dwutlenku siarki. Dwutlenek ten jest w zwykłych warunkach gazem łatwo dającym się skroplić, do czego posłużyć może ciśnienie kilku tylko atmosfer, lub oziębienie do—10°; płyn ten wre pod zmniejszoném ciśnieniem, a jeśli powstający gaz będziemy stopniowo usuwać za pomocą odpowiedniéj pompy, wówczas temperatura zejść może do—75°. W naczyniu zewnętrzném, większém, umieszcza Pictet ów ciekły dwutlenek siarki, za pomocą przystosowanéj pompy usuwa wydzielający się gaz, powstały wskutek wrzenia cieczy, a osiągniętego tym sposobem zimna używa do

zamrożenia dwutlenku węgla, czyli kwasu węglanego, zawartego w naczyniu wewnętrzném. Istotnie, kwas węglany potrzebuje większego zimna do zmiany stanu skupienia, niż dwutlenek siarki. Kwas węglany zamrożony dostarcza jednak przez parowanie bardzo znacznego obniżenia temperatury, które można doprowadzić do —140° przy zastosowaniu silnéj pompy, wciąż usuwającéj gazowy dwutlenek węgla, powstający wskutek parowania. Gazy usuwane w tém doświadczeniu, zostają doprowadzone do specyalnych rur metalowych silnie oziębionych, gdzie pod ciśnieniem doprowadzone zostają powtórnie do postaci płynnéj lub stałéj i w dalszym ciągu służyć mogą do wywołania wielkiego zimna przez wrzenie. W naczyniu wewnętrzném, w którém zamrożony kwas węglany, parując, wytwarza—140°, ustawia Pictet niewielką rurkę zawierającą gaz przeznaczony do skroplenia: rurka, zarówno jak cały przyrząd, wyrobioną być musi z doskonałéj miedzi, aby mogła wytrzymać wielkie bardzo ciśnienie, a zamykać się powinna ściśle, hermetycznie, aby tworzące się gazy nie znalazły żadnego ujścia. Manometr, przystosowany do rurki miedzianéj, wskazuje ciśnienie; rurka zaś ta u góry zamkniętą jest kranem: przy otwarciu kranu gaz skroplony powinien wytrysnąć płynnym strumieniem.

Pictet i Cailletet otrzymali za pomocą tych metod tlen, azot, tlenek węgla, powietrze atmosferyczne i wodór w postaci mgły lub przemijającego prądu i to w ilościach niewielkich; wodór przedstawił się im, jako mgła szybko parująca i krzepnąca wskutek wielkiego chłodu wynikającego z tego ulotnienia.

Metody przez nich używane zostały udoskonalone przez dwóch znakomitych polskich badaczów, Olszewskiego i Wróblewskiego z Krakowa, którzy otrzymali tlen, azot i tlenek węgla, jako ciecze istotne, które można było badać i poznać bliżéj ich własności. Posługiwali się oni do oziębienia ciekłym etylenem, gdyż wrzenie téj cieczy pod zmniejszoném ciśnieniem dostarcza znacznego bardzo zimna. Mając do rozporządzenia większe ilości gazów trwałych, w postaci cieczy zawartych w zbiornikach, uczeni nasi oznaczyli temperaturę wrzenia tych ciał i doszli do zimna sięgającego w próżni do—200°. Olszewski po śmierci Wróblewskiego, który padł ofiarą niebezpiecznych tych poszukiwań, oznaczył własności fizyczne otrzymanych cieczy i udoskonalił techniczną stronę przyrządów do tego stopnia, że udało mu się zbudować maszynę do skraplania tlenu na wielką skalę, podobnie jak to przed nim uczyniono z dwutlenkiem węgla.

Pictet podążył w swych poszukiwaniach za naszymi rodakami

i w laboratoryum, które z wielkim kosztem urządził sobie w Berlinie, prowadzi w dalszym ciągu badania przy temperaturze—200.

Uczony angielski, Dewar, na mocy zimna otrzymanego przez ulotnienie skroplonego tlenu, otrzymał pod zwykłém ciśnieniem powietrze w stanie cieczy. Tripler, na jednym z ostatnich posiedzeń towarzystwa chemicznego w Nowym Yorku, przedstawił dwa litry skroplonego powietrza; przy przelewaniu do naczynia szklanego, płyn zaczynał wrzeć; krople powietrza ciekłego, padając na stół, przybiérały natychmiast kształt kulisty, a kulki te poruszały się szybko, jak krople wody, padające na rozpaloną blachę; płyn nalany do szklanki zaczynał natychmiast wrzéć, poczém stawał się mętnawy, wskutek osadzania się drobnych kryształków kwasu węglanego. Skroplone powietrze posiada barwę niebieskawą, a pozostawione w spoczynku paruje dopiéro po godzinie.

Dewar, kilka miesięcy zaledwo temu, zbudował przyrząd dający możność otrzymania większéj ilości powietrza ciekłego i użycia niezmiernie nizkiéj temperatury towarzyszącéj doświadczeniu do skroplenia wodoru.

Doświadczenie powiodło się znakomicie, a skroplony wodór przedstawił się w postaci cieczy przezroczystéj i bezbarwnéj, wrzącéj pod zwykłém ciśnieniem przy temperaturze — 238⁰, a w próżni przy—250⁰. Jest to najniższa temperatura, która dotychczas została otrzymaną, jest ona tylko o 23⁰ wyższą od zera absolutnego (—273⁰), tym sposobem całkiem nowe pole zostało otwarte dla badań naukowych, istnieje możność dokonania doświadczeń nad teoryą ciepła, która dotychczas opierała się przeważnie na wyliczeniach. Nie mniéj ciekawemi są studya prowadzone nad wpływem, jakie wielkie zimno wywiera na materyę pod względem fizycznym, chemicznym i biologicznym, studya, któremi odznaczył się głównie Pictet; rozpatrywawania te wychodzą jednak po za obręb niniejszego szkicu.

Dr. Zofia Jotejko Rudnicka.



Wędrówki Iberyjskie.[1]

IV.

Madryt.

Po drodze do Madrytu zatrzymałem się w Sewilli, któréj opisywać nie będę, bo piękności katedry i alkazaru są powszechnie znane z opisów i ilustracyi. Natomiast warto wspomnieć doświadczenie ciekawe i charakterystyczne, jakie mi się nastręczyło w uniwersytecie andaluzkim. Wiedziony ciekawością co do stanu oświaty na południu Hiszpanii, udałem się do uniwersytetu, gdzie się właśnie odbywały egzamina publiczne. Przedstawiłem się jako cudzoziemiec zainteresowany nauką hiszpańską i zostałem zdumiony, gdy egzaminator zwrócił się do mnie z zapytaniem, czy nie zechcę go zastąpić, aby lepiéj poznać studentów składających egzamin. Była to propozycya tego samego rodzaju, co wszystkie formy grzeczności hiszpańskiéj, polegające na tém, że formalnie wszystko bywa oddawane gościowi, który ze swéj strony powinien przez grzeczność odmawiać przyjęcia ofiarowanych mu przywilejów. To téż gdy odmówiłem przyjęcia osobistego udziału w téj rewizyi myśli i pamięci podwójnie dokuczliwéj przy andaluzkich upałach, nie nalegano.

---

[1]) Patrz „Ateneum“, zeszyt grudniowy 1898 r.

Droga z Sewilli do Madrytu przerzyna pasmo gór i wije się nad przepaściami i strumieniami, wznosząc się na monotonne płaskowzgórze Kastylii. Zatrzymawszy się w Toledo, przyglądałem się wodom Tagu, które tu nie są jeszcze tak żółte, jak pod Lisboną. Oglądałem także słynną tutejszą katedrę. Trudno jest opisywać te kolumny, arkady, rzeźby, mozaiki—cała ta praca włożona w martwe przedmioty kultu zamiast podziwu pewien żal we mnie wzbudza, bo świadczy o materyalizmie tych wiernych chrześcian, którzy tutaj stroją Matkę Boską w zbytkowne suknie i klejnoty, zapominając całkiem o rzeczywistéj tradycyi Jéj skromnego życia. Dowiedziałem się, że cyganie byli zajęci jakąś reparacyą dzwonów na wieży, i udałem się do nich, by się czegoś o ich życiu dowiedzieć. Zastałem kilku wielkich drabów o wyglądzie rozbójniczym, którzy z początku niechętnie odpowiadali na pytania, lecz po próbie przez jednego z nich ironicznie zaproponowanéj podniesienia ciężkiego serca dzwonu, leżącego na podłodze, zaczęli mnie pytać z ciekawością, z jakiego jestem kraju, bo dla Hiszpana ten dowód siły muskularnéj uważali za niemożliwy. Dowiedziałem się wtedy, że Polska była im znaną lepiéj, niż niektórym profesorom uniwersytetów andaluzkich, a jeden z nich nawet pamiętał niektóre fakta historyczne. Opowiadali mi o swém wędrowném życiu i słuchałem z zajęciem ich przygód, nie wiedząc wówczas, że i mnie wypadnie kilkanaście lat z rzędu być takim cyganem bez stałego siedliska. Nie umieli mi podać przyczyny swéj chęci do wędrówek—ten duch niespokojny i szukający wciąż czegoś nowego stanowi zupełny kontrast z usposobieniem Arabów, którzy na długie wieki budowali sobie pałace wszędzie, gdzie osiedli.

Przenocowawszy w Toledo, wybrałem się do Madrytu, dokąd po raz pierwszy przybyłem 5-go czerwca 1886-go roku. Od tego czasu Madryt odwiedzałem cztery razy, najdłużéj bawiąc w nim pół roku w ciągu zimy z 1895-go na 1896-ty rok.

Za każdym razem doznawałem tego samego wrażenia: jest to miasto mające wspaniałe warunki rozwoju, dziwnie mało wyzyskane dotąd. W samym środku bogatego kraju, stolica Hiszpanii mogłaby obfitować we wszystko, co do życia potrzebne, poczynając od hygieny, a kończąc na sztuce. Dotąd tylko ten koniec jest uwzględniony: galerya narodowa obrazów, nazwana *museo del Prado*, należy do najpiękniejszych w Europie. Ale materyalne warunki życia pozostają o wiele w tyle za wymaganiami, jakie moglibyśmy stawiać względem miasta, od natury tak wspaniale wyposażonego. Co natura hojnie dała, to ludzie psują. Gdy Filip II-gi trzysta lat temu wybrał to miejsce na stolicę państwa, gęste lasy iglaste robiły zeń

pierwszorzędne miejsce kuracyjne na choroby piersiowe. Dziś lasy wycięte, a ostry wiatr północny z Sierra de Guadarrama działa zabójczo na płuca, szerząc szczególniéj ogromną śmiertelność wśród dzieci. Złemu dałoby się zaradzić, a gdyby znowu pokryto lasami nieurodzajną płaszczyznę okalającą stolicę, wiatry by złagodniały, Manzanares by nie wysychał i upały letnie już nie mogłyby dochodzić do piekielnéj temperatury czterdziestu stopni w cieniu.

Wysychanie strumieni i rzek pozbawia często na czas jakiś Madryt wody bieżącéj i utrudnia usuwanie wszelkich nieczystości; działa to wielce szkodliwie na zdrowie mieszkańców, tak że tyfus współzawodniczy z zapaleniem płuc, by doprowadzić śmiertelność do czterdziestu kilku zgonów rocznie na tysiąc mieszkańców i uczynić Madryt najniezdrowszą ze wszystkich stolic europejskich.

A jednak są tu doskonałe dla zdrowia warunki natu alne, i Madryt mógłby stać się stacyą klimatyczną tak dobrą, jak Zakopane, gdyby ludzie chcieli z tych warunków korzystać. Powietrze w całéj okolicy jest czyste i lekkie, jak go nie posiada żadna inna stolica Europy, bo Madryt leży wśród większych miast europejskich najwyżéj, o całe dwa tysiące trzysta stóp (635 metrów) nad poziomem morza. Przytém ruch powietrza na wysokiém płaskowzgórzu jest ciągły, tak że jeśliby ludzie tego powietrza nie zanieczyszczali, to byłoby ono prawdziwém lekarstwem na wiele cierpień.

Prócz doskonałego powietrza górskiego posiada Madryt równie doskonałą wodę górską z Lozoya i tak samo ją zanieczyszcza. Woda ta z północnych gór Guadarramy płynie kanałem odkrytym, w którym nieraz okoliczni mieszkańcy się kąpią, a rezerwuary górne są tak źle urządzone, że lada większy deszcz mąci w nich zupełnie wodę; męty te pozostawiają osady we wszystkich rurach wodociągowych tak dalece, że czasem zupełnie trzeba przerwać dostawę wody i przez kilka dni posługiwać się staremi studniami, aż zbiorniki zostaną oczyszczone. A jednak woda pochodzi ze strumienia górskiego przedziwnéj czystości, tryskającego w skałach granitowych i ujętego w kanał o 70 kilometrów na północ od Madrytu. Oprócz tego, w obrębie kilku mil od stolicy jest kilka źródeł mineralnych, jak Loeches, Molar etc., bardzo cenionych przez lekarzy.

Do powietrza i wody w doskonałym gatunku dołąca się trzeci naturalny czynnik, rokujący wielką przyszłość dla stolicy Hiszpanii i odróżniający ją również korzystnie od wszystkich innych stolic Europy: niebo bez chmur przez rok okrągły i słońce południowe. Deszcze wystarczają, aby uchronić wegetacyę od suszy, ale nigdy

nie trwają długo, i nie ma prawie dnia zimą ani latem, żeby nie można suchą nogą przejść Madrytu z jednego końca do drugiego.

Wśród stolic europejskich Madryt jest jedną z najnowszych, co bardzo znać na rozkładzie ulic i pięknych bulwarów. Rzadko w jakiém mieście, liczącém pół miljona mieszkańców, tak łatwo wydostać się na świeże powietrze, jak w Madrycie. W środku jest plac nazwany Puerta del Sol, gdzie się wiele tramwai krzyżuje i skąd, jak promienie, rozchodzą się ulice, z których trzy idzie na południe, a siedm w różnych innych kierunkach. Idąc na wschód przez pełną bogatych sklepów Càlle de Alcala lub przez Carrera San Ieronimo, w pięć minut można dojść do bulwaru, zwanego Salon del Prado, po za którym rozciągają się różne ogrody i parki: Buen Retiro, ogród botaniczny i inne. Jeśli znowu zwrócić się na zachód od Puerta del Sol, także w pięć minut dochodzi się do Plasza de Oriente, pięknego placu wysadzonego drzewami, po za którym jest tylko pałac królewski i znowu wielki park nazwany Campo del Moro. W ten sposób, jak w gorsecie, Madryt ściśniony jest między pałacem królewskim na zachodzie, a Bankiem Hiszpańskim na wschodzie; gmach banku, wspaniały, został wybudowany za dwadzieścia pięć miljonów pezet i daleko wygląda okazaléj, niż bank angielski w Londynie lub Banque de France w Paryżu, choć nie zawiera wewnątrz tyle złota, ani nie posiada na zewnątrz tyle kredytu.

Miasto, powstrzymane przez parki na zachodzie i na wschodzie, rozrosło się głównie w kierunku północnym i południowym; szczególniéj na północy powstało wiele bulwarów, pałaców i spacerów. W nowszych czasach poczęto budować także nowe ulice na wschód od parku del Retiro. Jeśli kiedykolwiek ta nowa dzielnica park otoczy i przeniesie środek miasta na wschód, to Madryt będzie posiadać potężne płuca wewnątrz miasta, bo park del Retiro z przyległemi ogrodami jest przeszło dwadzieścia razy większy, niż ogród Saski, a przewyższa powierzchnią swą nawet Hyde Park londyński, bo zajmuje więcéj niż dziesięć włók gruntu. Jakkolwiek w tym wielkim parku jest dużo drzew, nigdzie niema gęstego lasu, a wiele miejsca zajmują trawniki. Prócz wielkich parków na zachodzie i na wschodzie miasta także na północozachodzie, posiada Madryt większy jeszcze spacer i park de la Moncloa, w którym się mieści nowy instytut rolniczy. Park otaczający ten instytut ciągnie się kilka wiorst wzdłuż lewego brzegu rzeki Manzanares, ale i tu nigdzie lasu niema, tylko drzewami wysadzane aleje i pola zarosłe krzakami, w których się utrzymuje zwierzyna.

Spacery w tych parkach górzystych i dobrze utrzymanych są nadzwyczaj przyjemne. Zewsząd otwierają się rozległe widoki na dolinę Manzanaresu i przeciwległe wzgórza, a na północ widać Sierra de Guadarrama ze szczytami, na których zimą często śnieg leży. Ale za to z trzech stron, od północy, wschodu i południa, Madryt jest otoczony istną pustynią, polami mało uprawnemi, bez drzew ani wody. Z czasem to się pewnie zmieni, bo rozpoczęła się już agitacya w celu sadzenia drzew w okolicach stolicy. Gdy lasy iglaste na nowo Madryt otoczą, a czystość większa zapanuje w mieście, to stanie się ono jedném z najzdrowszych miejsc na świecie, bo ma wszelkie po temu warunki naturalne.

Gdym przyjechał do Madrytu, miałem z Lisbony rekomendacyę do jednego literata, którego nazwiska już nie pamiętam, bo umarł wkrótce po pierwszéj mojéj bytności, więc nie spotkałem go późniéj. A jednak otworzył on mi drogę do wielu stosunków utrzymywanych dotąd, dając mi kartkę polecającą do znakomitego poety, Gaspara Nunez de Arce, autora wielu utworów lirycznych i kilku dramatów, nacechowanych gorącą miłością Hiszpanii i ideałów postępu społecznego. Pisał on już w 1866-ym roku, krótki wiersz, zatytułowany „do Hiszpanii", w którym przemawia do sumienia swoich współobywateli: „znikł szacunek, złamane zostało posłuszeństwo, prawa ludzkie i boskie zdeptane, a ty mój narodzie idziesz wśród łez, wśród burzy wiejącéj ci w oczy. Nie szukaj ukrytych przyczyn, ani powodów nieznanych choroby, która niszczy twą krew; twa bezecność *(iniquitad)*, jak ukryta trucizna, wycieńcza wszystkie twe siły. Nie spodziewaj się gwałtownym ruchem osięgnąć lekarstwo ci potrzebne, narodzie krnąbrny i zepsuty! Będziesz szukać wolności napróżno, bo gdy lud zapomina o cnocie, ulegać musi tyranii własnych wad" (tłómaczenie to oddaje wiernie treść, nie posługując się metaforami autora, zbyt trudnemi do przełożenia i mniéj odpowiadającemi naszym wyobrażeniom, jak np. muskuły narodu i t. p.).

Tak dziwnie, trafnie przewidział ten wiersz klęski, które czekały Hiszpanię! Wydając swe „okrzyki walki" dziesięć lat późniéj, pomieścił w nich sonet do wolności: „Gdy świadkiem jestem twoich nieporządków i spostrzegam cię w objęciach gwałtu, ukrywam ze wstydem twarz i łkając przeklinam cię. W wewnętrznéj a nierównéj walce ze mną ból wydziera mi obelgi; chcę zapomnieć ciebie, opuścić twe ołtarze, a jednak ślepo pomimo żalu mego dążę do ciebie, wbrew mojéj woli. Choćbyś była marzeniem lub ułudą, rządzisz moją wolą, zapełniasz mi życie i nie przestanę ciebie kochać aż do śmierci. Je-

steś jak piękna niewierna kochanka, która natchnie duszę pierwszą miłością i tém więcéj jest kochaną im mniéj na to zasługuje".

To udręczenie wewnętrzne i walka cechują wszystkie poezye nieszczęśliwego poety. Osiągnął w ojczyźnie swéj najwyższe uznanie, brał udział w historyi swego kraju, pełniąc przez czas jakiś obowiązki ministra kolonii, doczekał się licznych wydań swej poezyi, imię jego jest znane, gdziekolwiek brzmi mowa kastylska, a jednak własne powodzenie wcale nie uwolniło go od zwątpienia o powodzeniu Hiszpanii a nawet ludzkości całéj. W wierszu „Cień i światło", mówiąc o walce dobrego ze złem kończy słowami: „gdy cała nieskończoność stanie się pustynią cichą i nieprzeniknioną, w czasie i przestrzeni bez planet i bez słońc, trwać będzie jeszcze daléj straszna walka między szatanem a Bogiem".

Ten zrozpaczony pesymista jest jednak pełnym dobroci i miłości przyjacielem dla swoich przyjaciół, w ciągu kilkunastu lat naszéj znajomości oddał mi wiele cennych usług osobistych, nie żałując czasu ani pracy.

Od pierwszego spotkania przyjął mnie z nadwyczajną uprzejmością i mówił z wielką szczerością o tém, co go najgłębiéj poruszało: skarżył się na ciężkie położenie swego kraju, wynikające z ciągłéj walki osobistéj między tymi, co zgodnie powinniby przewodzić narodowi; ubolewał nad ciemnotą ludu, nieuczciwością polityków, nieprawidłowością wyborów do parlamentu; przytaczał liczne nadużycia urzędników posiadających władzę; potępiał powszechną chęć użycia i pogoń za rozkoszą u swych ziomków. Rozmowa nasza pierwsza trwała kilka godzin i odsłoniła mi duszę poety udręczoną wiecznym kontrastem między upragnionym ideałem a rzeczywistością wstrętną. Kontrast ten trapi go tém więcéj, że utracił religijną wiarę, a nie zdołał jéj zastąpić wiedzą metafizyczną. Wskutek tego sądzi o całości istnienia według doczesnego swego doświadczenia i uważa wysiłki wszelkie ku ideałom etycznym skierowane za bezskuteczne, choć nie chce i nie może wyrzekać się tych wysiłków. Żywo go zajmowały wiadomości o obecnym stanie naszego społeczeństwa i z wielkiém zajęciem pytał mnie o różne szczegóły, upatrując w moich odpowiedziach potwierdzenia własnego poglądu na świat. Rodzaj poezyi Nunez de Arce przypominał mi Asnyka z tą wielką różnicą, że Asnyk nie rozpaczał o przyszłości. Obaj za to przejmowali się w równéj mierze teraźniejszością i przeszłością swoich narodów; obaj szukali lekarstw na społeczne choroby; obaj poruszali tematy filozoficzne w związku z kwestyami bieżącemi; obaj wzięli czynny udział w praktycznéj walce politycznéj w imię wysokich ideałów. Asnyk posiadał większe wykształcenie filozoficzne i dla tego uchronił

się od przesadnego uogólniania osobistych rozczarowań. Nunez de Arce od dzieciństwa cierpiał fizycznie, będąc jedną z ofiar dawnego obyczaju, każącego niemowlętom sypiać razem z mamkami. Mamka przygniotła go podczas snu tak silnie, że życie jego było zagrożone i mogło być utrzymane tylko dzięki wielkim staraniom. A jednak ten słaby organizm, ciągle zagrożony zupełném wycieńczeniem sił, nie przeszkodził najwyższemu rozwojowi umysłowemu i ciągłéj pracy na dwóch polach tak różnych, jak poezya i polityka.

Często późniéj odwiedzałem Nunez de Arce, a nieraz i on, pomimo utrudzenia, jakie mu to pewno sprawiać musiało, wchodził na czwarte piętro po wązkich i niewygodnych wschodach, aby godzinami całemi rozmawiać o losach Hiszpanii i ludzkości, o mieszkańcach gwiazd, o przyszłości świata i tym podobnych przedmiotach. Nie zdołałem go przekonać, że każdy z nas ma nieskończoną przyszłość przed sobą, choć słuchał dowodzenia uważnie i z zajęciem. Robiło mu widoczną przyjemność, że ktoś może patrzéć mniéj czarno na życie, pojmując całą niedoskonałość teraźniejszości. Ten nizki, chudy, słaby staruszek przejmował mnie wielką czcią i współczuciem, a zarazem był zawsze dla mnie żywém świadectwem wyższości duszy nad ciałem, choć sam nie był pewny istnienia swéj duszy.

Życie jego zawsze było smutne, najprzód dlatego, że tak gorąco się przejmował cierpieniami innych, a powtóre także dlatego, że nie doczekał się potomstwa, którego bardzo pragnął. Aby ten brak w części zapełnić, usynowił swego bratanka i wychował go.

Od Nunez de Arce dostałem rekomendacyę do drugiego znakomitego poety hiszpańskiego, stanowiącego dziwny kontrast z pesymistą Don Gasparem. Don Ramon de Campoamor nie nosi czarnych okularów. Żył wesoło, pisał najwięcéj o swoich własnych doświadczeniach życiowych, bez krańcowych uniesień, lecz zawsze z humorem. Jest to Goethe hiszpański. Urodził się w 1817-ym roku, miał więc siedmdziesiąty rok, kiedy go poznałem, a jednak młodzieńcza żywość cechowała wtedy tego starca. W pierwszéj z nim rozmowie przekonałem się, że i on, podobnie jak Nunez de Arce, nie posiada żadnych metafizycznych przekonań—z tą różnicą, że na tém wcale nie cierpi. Często się powołuje na panującą wiarę, ale nie bierze jéj na seryo, tylko patrzy na praktyki religijne, jakby na los trzymany na loteryi. Jeśli księża mają racyę, to wiele wygramy po śmierci stosując się do ich wymagań za życia. Ponieważ łatwo nam dają rozgrzeszenie, więc warto na wszelki przypadek tym wymaganiom zadosyć uczynić raczéj, niż narazić się na najmniejszą możliwość wiecznego potępienia. Takie wrażenie robiły na mnie wszystkie orzecze-

nia Campoamora o religii. Chodzi on do spowiedzi, a nawet ma kaplicę prywatną w swojém mieszkaniu i codzień słucha w niéj mszy odprawianéj przez specyalnego kapelana. To mu nie przeszkadzało jednak w ciągu długiego swego życia grzeszyć w różnych kierunkach, szczególniéj w stosunku do płci pięknéj, któréj zawsze był wielbicielem i bożyszczem. Nie czuł on nigdy téj palącéj tęsknoty do ideału, co Don Gaspar. Patrzył na życie jako na ciekawe widowisko, które go szczerze zajmowało i w którém własna rola mu się szczególniéj podobała. Zdolny, zdrowy, bogaty, sławny, nie czuł powołania do walki o odległe cele i w polityce należał do stronnictwa konserwatywnego, uważając, że ludzkość w ogóle i każdy naród w szczególności ma to, na co zasługuje, i że wszystkie ludzkie sprawy są małéj wagi, choć wystarczają, by nas dobrze ubawić, gdy pozyskamy odpowiednie miejsce w teatrze życia. Takich odpowiednich miejsc mu nie zabrakło. Był przez długi czas gubernatorem kilku prowincyi, potém dyrektorem wydziału dobroczynności; po upadku rzeczypospolitéj hiszpańskiéj, prowadził z jéj byłym prezydentem, Castelarem, świetną polemikę, zwalczając dążenia postępowe. Podobnie jak Goethe, Campoamor z upodobaniem wielkiém oddawał się badaniom przyrodniczym, a nawet w młodości rozpoczynał studya medyczne.

W literaturze uprawiał wiele różnych rodzai — szczególniéj poezyę liryczną i dramatyczną. Wśród dzieł jego największém powodzeniem cieszyły się drobne utwory, nazwane przez niego *Doloras* (wyraz przezeń utworzony od *dolor* = ból), które sam określa jako „utwory poetyczne, nacechowane lekkością, uczuciem, treściwością i myślą filozoficzną".

Oto kilka przykładów takich *Doloras* w wolném tłómaczeniu prozą:

I. Do ognia rzucam te listy istot uwielbianych, dla których krew moją przez całe życie przelewałem. Palcie się w tym ogniu, i niech z nim zgaśnie moja nieszczęśliwa namiętność. Patrzcie, jak całą rozkosz tych słodkich słówek unosi wiatr w marnych szczątkach! Oczy moje, nie żałujcie tych strat, bo jak dym mijają rozkosze tego życia!

Palcie się, wyrazy bez wiary pisane przez fałszywe kobiety, które, jak ślepy, uwielbiałem! Victoria, Octavia, Ines... do ognia! niech będzie przeklęta moja fatalna miłość. „Nikt na świecie tak ciebie nie kocha, jak ja". Niech się pali ta, co tak dobrze kłamała! Niestety, któż posiadając także szczęście powiedziałby, że rozkosze życia są próżnym dymem! Do ognia, zagadki o piekielném rozwiązaniu!

Godny grób wam daje moje rozczarowanie! Jakże słusznie moja matka ostrzegała mnie od śmiesznego błędu mojéj fatalnéj miłości. „Strzeż się miłości—pisała—bo szczęście, jakie ona daje, jest nędzném złudzeniem jednodniowém, i w końcu zobaczysz, duszo mojéj duszy, że dymem jest szczęście tego świata”.

II. (Rozmowa dziewczyny z proboszczem) — Napiszcie mi list, księże proboszczu.—Już wiem do kogo.—Wiecie do kogo, bo jednéj ciemnéj nocy widzieliście nas razem?—Naturalnie.—Wybaczcie, ale... —Nie dziwi mnie ten upadek: noc... okazya... daj mi pióro i papiér. Dziękuję. Zaczynam: „Mój kochany Ramon”...—Kochany?... Kiedyście już tak napisali...—Jeśli nie chcesz?..—Owszem, owszem.—„jak jestem smutna bez ciebie! Łkać mi się chce zaczynając”...—Zkąd wiecie moją troskę?—Dla starego serce dziewczyny jest przejrzyste. Piszę daléj: „czemże jest świat bez ciebie? Doliną łez. A z tobą?... Rajem”, — Piszcie wyraźnie, księże proboszczu, niech on to dobrze zrozumie!—„ów pocałunek, który ci dałam, kiedy wyjeżdżałeś”..— Zkąd wiecie?—Jak się rozstajecie i spotykacie lub jesteście razem, zawsze... nie wstydź się... „jeśli twojéj miłości mi nie powrócisz, tyle będę cierpiéć”...—Jakto, cierpiéć i nic więcéj? Nie, księże proboszczu, ja umrę!—Umrzesz? Nie obrażaj Nieba.—Ale tak, napewno umrę.— Ja nie napiszę, że umrzesz. — Jacy wy lodowaci! Żebym ja umiała pisać! księże, księże, napróżno chcesz mi usłużyć, jeśli znaki waszego pisma nie wyrażają całéj mojéj istoty. Napiszcie mu na Boga, że dusza moja nie może już we mnie wytrzymać, że ból mnie dusi codzień, bo nawet płakać nie mogę. Że usta moje już nie umieją się otwierać, że zapominają o ruchach śmiéchu od nawału uczuć. Że moje oczy, które mu się wydają tak piękne, pełne mojéj miłości, nie mając nikogo, co by się w nich widział, zawsze są zamknięte. Że ze wszystkich bólów, jakie wycierpiałam, rozłąka jest najstraszniejszym, że w uszach ciągle słyszę echo jego głosu. Że dla niego moja dusza tak się rozkoszuje we własnym bólu. Boże, ile rzeczy powiedziałabym mu, gdybym umiała pisać.—A to mi dopiéro miłość! Przepisuję i adresuję: Don Ramon. Do tego nie potrzeba umiéć po grecku ani po łacinie.

W innéj „*Dolora*” daje Campoamor takie cyniczne rady młodéj dziewczynie: „jeśli do końca życia chcesz być najszczęśliwszą, to kochaj mało i pospiesznie, jak motyle; bo nie potrzebujesz kochać nieskończenie, gdy kochasz nieskończoną ilość rzeczy”, a w sposób następujący opisuje „dwie obawy”: „na początku owéj nocy ona, daleko odemnie, mówiła mi: dlaczego tak się do mnie zbliżasz, boję się ciebie. A gdy noc minęła, ona, bardzo blizko bę-

dąc, zapytała: dla czego tak się oddalasz od mego boku, boję się bez ciebie!"

Z powyższych przykładów widać, że owo filozoficzne znaczenie, które Campoamor przypisuje swoim *Doloras*, polega jedynie na powtarzaniu w najrozmaitszych formach twierdzenia, że zmysłowe rozkosze zadowolenia trwałego nie dają. Takich kochanków, jak Gustaw z „Dziadów", Campoamor nie zna, ani się domyśla, że istnieć mogą. U niego kobiety są prawie zawsze ofiarami uwodzicieli, a mężczyźni ofiarami kokietek, jakby tego rodzaju miłość zmysłowa stanowiła główną treść życia, lub jakby zwodziciele i kokietki najwięcéj zwracały uwagę poety. Wobec tego próżno szukać w wierszach Campoamora tego idealnego ognia, jakim pała Nunez de Arce. Zabawny kontrast stanowi okoliczność, że Campoamor, pisząc wiersze pełne zgryźliwego pesymizmu, w życiu wcale nie był pesymistą — zaś Nunez de Arce, trawiony najgłębszym pesymizmem, w wierszach swych często pała nadzieją ziszczenia swoich ideałów. Campoamor z zupełnym spokojem i bez oburzenia przeczy istnieniu prawdziwéj miłości, przyjaźni, a nawet prawdziwéj wiedzy. Jego filozofia składa się z takich aforyzmów, jak: „żyć to jest zapominać", „wszystko ginie", „niema czci ani cnoty prócz na języku", „rozkosz jest źródłem przesytu" „wszystko w tym świecie zależy od barwy naszych okularów" i t. p. Ogromne swe powodzenie zawdzięcza Campoamor wielkiéj jasności i muzykalności swoich wierszy, które narzucały się uszom słuchaczy i przez słuch dostawały się do serca, by zeń wymiatać najlepsze uczucia.

Dla tego, że poeta, wielki pan, szukając szczęścia tam, gdzie go naturalnie być nie może, rozczarował się, bez litości prześladował cały naród swém rozczarowaniem i używał swéj władzy nad formą pięknego języka, by rozpowszechnić własne rozczarowanie, własną niemoc, prowadząc naród do tego upadku, nad którym Nunez de Arce rozpaczał i przeciwko któremu walczył bez powodzenia.

Téj potworności filozofii Campoamora nie znałem wtedy, kiedym go poznał osobiście; oczarował mnie swą uprzejmością, dowcipem, szerokiém doświadczeniem życiowém i rozległemi wiadomościami z zakresu historyi bieżącéj epoki w Hiszpanii. I on mówił o nadużyciach, przekupstwach, szaleństwach swoich ziomków—ale bez téj goryczy co Nunez de Arce, tylko z wytworną łagodnością, z wyrozumiałością cechującą człowieka, który się często spowiada, i z jakiémś dziwném przekonaniem, że wszędzie jest tak samo, więc tylko naiwni się dziwią lub przeklinają, podczas gdy ludzie światowi umieją strzedz się strat, lub znosić je, nie psując sobie trawienia.

Wielkie rzeczy i małe sądził z powagą światowca, dał mi smaczne śniadanie, szklankę starego wina, a gdy moje pytania mu się uprzykrzyły, zapewnił mnie, że daleko lepiéj zaspokoi moją etnograficzną ciekawość jego uczony kolega z akademii hiszpańskiéj, marques de Valmar, do którego dał mi rekomendacyę napisaną ołówkiem na kartce, opiewającéj: „ten cudzoziemiec chce się dowiedziéć dużo o Hiszpanii, niech go pan nauczy".

Udałem się zatém do pięknego domu pana markiza de Valmar, byłego ambasadora Hiszpanii w Waszyngtonie, Kopenhadze i Wiedniu, a znanego w całym świecie naukowym z badań historycznych na polu dawniejszéj literatury hiszpańskiéj. Poznałem człowieka godnego czci i sympatyi, odznaczającego się ścisłością w każdym sądzie, a jednak w równéj mierze pozbawionego przekonań filozoficznych, jak Campoamor i Nunez de Arce. Przyjął mnie z nadzwyczajną uprzejmością i umiał zarazem, jako wytrawny dyplomata, dać poznać, że uprzejmość ta z jego strony była wynikiem uznania międzynarodowéj gościnności, jako ważnéj funkcyi społecznéj.

Valmar, czynny pomimo sędziwego wieku i w senacie i w akademii hiszpańskiéj — i wciąż pracujący naukowo na polu ojczystéj historyi—jest szczególniéj pociągający przez to zainteresowanie osobiste, jakie okazuje ciągle tym, co się z nim stykają. Patrzy on na życie inaczéj, niż Nunez de Arce, lub Campoamor. W praktycznym zakresie zadawalnia się spełnieniem swoich obowiązków i niewątpliwie godnie reprezentował Hiszpanię w Danii, Ameryce i Austryi. Ale nie bierze zbyt głęboko do serca bieżącéj polityki, bo żyje przeważnie w świecie piękna i prawdy, jako wielbiciel sztuki i nauki. W salonie swym gromadził zawsze poetów, artystów i uczonych— z każdym umiejąc rozmawiać tak, aby go najwięcéj zająć.

Na zebraniach tych recytowano nowe wiersze, mówiono o nowych badaniach, przeglądano nowe ilustracye i poznawano różne cenne pamiątki, przez gospodarza domu w ciągu licznych podróży zebrane. Zarówno dom jego w Madrycie, jak i pałac nad Atlantykiem w Deva, są to prawdziwe muzea, w których mnóstwo przedmiotów ciekawych i rzadkich przykuwa uwagę odwiedzających. Gospodarz każdemu tłómaczy chętnie pochodzenie tych pamiątek i uwydatnia ich wartość bez próżności i samochwalstwa. Zaś gospodyni wprawdzie mówi mało, ale z taką rozczulającą uwagą słucha słów męża, że widać w niéj wielkie przywiązanie i uwielbienie dla niego. Jest ona Francuzką i o kilka lat starszą od niego, o czém on często przypomina. Para to dziwnie dobrze dobrana i szczęśliwa. Ale za to pani Valmar tak głęboko jest przekonana o nieprzezwy-

ciężonych wdziękach ośmdziesięcioletniego męża, że gdy wzrok jéj osłabł, odmówiła sobie przyjęcia lektorki, by nie narażać na pokuszenie wiernego małżonka.

Valmar jest przedewszystkiém estetykiem, a przy jego wysokiém wykształceniu i szerokiém w świecie obyciu jest zdumiewające, jak go przenika etykieta dworska. Przyjmował nieraz króla w swoim nadmorskim pałacu i wspomina o tém, jako o szczególném szczęściu. Ceni ordery, jakie otrzymał w ciągu długiéj swéj karyery dyplomatycznéj, cieszy się każdym nowym zaszczytem, jaki nań spada, i z przejęciem mówił mi o odznaczeniu, jakie go spotkało, gdy królowa rejentka prosiła go o opracowanie przepisów etykiety w pewnym nieprzewidzianym wypadku. Rzecz dziwna, ta próżność u niego jest tak niewinna i tak dobroduszna, że nikogo razić nie może. Widać, że go cieszą drobnostki, ale zarazem daje poznać, że zdaje sobie sprawę z tego, że to są drobnostki. Bogata treść i rozmaitość życia umysłowego i artystycznego zadawalnia go o tyle, że nie czuje potrzeby daléj pytać o ostateczne cele, a gdy po długoletniéj znajomości raz go prosiłem, by zechciał dać mi piśmienne zobowiązanie, że dołoży wszelkich starań, aby zjawić mi się po śmierci odrzekł, że nie uważa przyszłego istnienia za pewne i nie chce przez takie zobowiązanie być narażonym na podejrzenie, że łudzi się podobną nadzieją. Jego żona miała mi bardzo za złe, żem wogóle śmiał wspomnieć możliwość śmierci jéj wiecznie młodego małżonka, i zaraz zapytała się, czym zauważył jakie pogorszenie w jego wewnętrznym wyglądzie.

U Valmarów co niedziela wieczorem od dziewiątéj do dwunastéj bywały zebrania, na których można było dużo się dowiedzieć z zakresu bieżącéj literatury i polityki. Poznałem tam wiele osób wybitnych i przekonałem się, że gospodarz wszystkich przyjmował z tą samą wykwintną, a jednak pełną swobody grzecznością, która nigdy nie dochodziła do poufałości, a jednak nigdy nie zdradzała obojętności. Jest to dziwna sztuka, polegająca na doskonałém pamiętaniu, co się komu należy i co kogo może zająć, zupełnie ta sama w Hiszpanii na pozór, jak i u nas, z tą różnicą jednak, że u nas więcéj serdeczności wypełnia formy gościnności. W domu Walmarów córki, wnukowie i prawnukowie gospodarzy często się zbierali, tworząc obraz patryarchalnéj jedności rodu, utrzymywanéj przez obojga staruszków.

Po pierwszéj kilkogodzinnéj rozmowie z Valmarem wracałem do hotelu z poczuciem doskonale wyzyskanego czasu, bo w ciągu jednéj doby poznałem trzech sławnych i zasłużonych ludzi, trzy różne gatunki, godne psychologicznych nad nimi badań. Aby w dalszym

ciągu czasu nie marnować, postanowiłem zwykły mój w owych czasach obiad, kawał chleba z sérem i owocami, spożyć na jednym z placów madryckich, chcąc się przyjrzyć spacerującéj publiczności, któréj były tłumy, bo trafiłem na niedzielę. Spojrzawszy na plan, skierowałem się na rynek, by kupić sera i owoców—potém znalazłem piekarza, u którego zaopatrzyłem się w chléb, i zasiadłem z temi zapasami na ławce na Plaza de Oriente, między pałacem królewskim a gmachem opery. Mnóstwo gapiów zaczęło oglądać mnie, jak raroga, bo Hiszpanie, jak zresztą wiele innych narodów, uważają jedzenie publiczne za nieprzyzwoitość, zadosyć czyniąc téj potrzebie w skrytości mieszkań, podczas kiedy nie brak na ulicach śladów publicznego załatwiania przeciwległéj konieczności.

Gdy ulicznicy zaczęli mi pokazywać języki w dowód uznania, spojrzałem na nich ostro i pouciekali, bo wierzą w złe oczy. Ale jeden przechodzień uparcie do mnie się zbliżał, krążąc nieśmiało wokoło, aż nareszcie zdobył się na odwagę, podszedł ku mnie i rzekł: *Na, Sie müssen wohl och ein Deutscher sein!* Spojrzałem na tłustego Niemca, który stał przedemną, i odpowiedziałem mu: *Schlecht gerath, nicht nur Deutsche essen Brod und Käse.* Zaczął zgadywać rozmaite narodowości, ale nie mógł się domyśléć, że to Polak z taką niemiecką prostotą podróżuje. Zaczęliśmy rozmawiać i dowiedziałem się, że mój szwab już od kilku miesięcy bawi w Madrycie, w specyalnym celu studyów nad współczesną literaturą hiszpańską, o któréj pisze rozprawę doktorską. Skarżył się na ubóstwo bibliotek, na uciążliwe warunki pracy w tych bibliotekach, otwartych tylko kilka godzin dziennie, na liczne straty czasu stąd wynikające i t. d. „Jakto? —zapytałem go—to pan, bawiąc tu od kilku miesięcy, nie poznał jeszcze żadnego z wielkich poetów hiszpańskich?” — „Zkądże miałbym ich poznać?” Gdy mu odpowiedziałem, jak mi to łatwo przyszło, wprowadził mnie w wielkie zdziwienie, pokazując mi gazetę, w któréj była wzmianka o mojém przybyciu do Madrytu, przypuszczalnie pochodząca od owego znajomego Teofila Bragi, który mi dał pierwszą rekomendacyę do Nunez de Arce.

To nas naprowadziło na rozmowę o gazetach hiszpańskich, które istotnie zasługują na uznanie i naśladowanie. Madryt jest mniejszy niż Warszawa, a cała Hiszpania ma daleko więcéj analfabetów, niż my, przy mniéj więcéj równéj ilości ogólnéj Polaków i Hiszpanów. Jednak Madryt posiada więcéj daleko gazet, niż Warszawa, a co ważniejsza, ma kilka gazet liczących przeszło sto tysięcy czytelników. Zawdzięcza to bajecznie nizkiéj cenie

tych gazet, po większéj części sprzedawanych po pięć centymów za numer, czyli według obecnego kursu po trzy grosze. Także godną uwagi jest ogromnie rozpowszechniona sprzedaż uliczna tych gazet, które są roznoszone przez chłopców, zachwalających ich treść jak w Paryżu. Dzienniki mają charakter informacyjny, ale są redagowane bardzo dobrze i daleko ciekawsze do czytania niż nasze.

Pożegnawszy się z Niemcem, postanowiłem powrócić do Campoamora, żeby mu podziękować za rekomendacyę do Valmara i prosić o więcéj. Ponieważ od uczonego Niemca dowiedziałem się tymczasem o treści poezyi Campoamora, więc powiedziałem sobie, że on więcéj niż ktokolwiek inny nadaje się do zaznajomienia mnie z Hiszpankami. Powiedziałem mu zatém, że w przekonaniu kobiety stanowią conajmniéj równie ciekawy przedmiot badań etnograficznych i psychologicznych, jak i mężczyźni, więc aby dobrze ocenić charakter literatury hiszpańskiéj, muszę poznać prócz znakomitych poetów także najznakomitsze poetki. Campoamor uśmiechnął się dobrotliwie, jakby chcąc powiedzieć, że doskonale rozumie moją ciekawość naukową, i powiedział mi: „Nie tak łatwa to sprawa, młodzieńcze, jak ci się przedstawia. Ja od kilkudziesięciu lat badam kobiety i jeszcze ich nie pojąłem. Zresztą są one zdolniejsze do innych sztuk i czarów, niż do poezyi. Ale wśród tych, które znam, najlepiéj pisze jedna młoda dziewczyna, okrutna pesymistka, którą ci miło będzie poznać. Stanowi ona u nas rzadki przykład kobiety, umiejącéj piórem utrzymać swą rodzinę, matkę i młodszych braci“. Napisał kilka słów swoim niedbałym sposobem na kartce wizytowéj i dał mi adres panny Sofia Casanova, która istotnie, jak się późniéj przekonałem, wśród nielicznych poetek hiszpańskich żyjących dziś pierwsze zajmuje miejsce, choć niewiele pisała i sama niewiele o sobie trzyma.

Z kartką Campoamora udałem się do mieszkania, które młoda poetka zajmowała z matką i braćmi. Zastałem tylko matkę, staruszkę na wpół holenderskiego pochodzenia, wychowaną w Stanach Zjednoczonych, gdzie jéj ojciec część życia spędził, gdy jako republikanin emigrował z Hiszpanii i opuścił stanowisko pułkownika wojsk hiszpańskich. Pułkownik Casanova późniéj powrócił do ojczyzny i osiadł w La Coruna, gdzie córka jego, jedynaczka, wyszła za mąż. Gdy mąż téj córki, Vicente Perez, w tajemniczy sposób przepadł bez śladu, osierocone dzieci zostały wychowane przez dziadka i matkę, a dla wychowania tych dzieci cała rodzina przeniosła się do Madrytu. Tutaj umarł wkrótce pułkownik i pozostawił

córkę i wnuków w ciężkiém bardzo położeniu. Dona Rosa Casanova de Perez (w Hiszpanii kobiety zamężne zachowują nazwisko panieńskie i tylko dodają do niego nazwisko męża) energicznie wzięła się do pracy i dawaniem lekcyi oraz ręcznemi robotami uchraniała od nędzy troje dziatek. W téj atmosferze wspomnień lepszych czasów przy walce z niedostatkiem wyrosła młoda poetka, kształcąc się w konserwatoryum madryckiém, najprzód w muzyce potém w zakresie literatury i deklamacyi. Pomimo jednak wielkich w tym kierunku zdolności i nagród zdobywanych na konkursach konserwatoryum, panna Zofia czuła wstręt do sceny i odrzuciła wiele propozycyi korzystnych, robionych jéj wskutek występów amatorskich w kołach prywatnych. Natomiast ciągnęła ją literatura i wkrótce zaczęła pisać sama. Pierwsze jéj wiersze były deklamowane przez nią w salonie Valmarów i zwróciły na nią uwagę tak dalece, że pozyskała jedno ze stypendyów królewskich, dawanych w formie funduszu na wydanie poezyi wybijających się poetów. Właśnie w rok po tym pierwszym poniekąd oficyalnym tryumfie poznałem pannę Zofię Casanowa. Przeczytałem mały tomik jéj wierszy, nacechowanych pesymizmem całkiem innym, niż ten, który się uwydatnia w *Doloras* Campoamora lub poezyach Nunez de Arce. Autorka nie uogólnia swoich rozczarowań, tylko daje im wyraz bardzo konkretny i subjektywny, przy czém często przez łzy wygląda uśmiech nadziei. Tak naprzykład w poezyi „do pracy“ przemawia z wielką siłą do przyszłych pokoleń:

„Wszystko się już zmieniło. Przyświeca jutrzenka postępu w naszym pięknym wieku.... dlaczegoż, bracia poeci, opiewacie niebo i kwiaty, lub skarżycie się na wasze cierpienia?... Jeśli macie natchnienie, wiarę i zapał, chwalcie pracę, która tworzy postęp, aby nareszcie głos prawdy zabrzmiał z nieokiełznaną potęgą i napełnił światy i dusze. Praca jest dobrem, jest prawem człowieka, który do pracy i dobra się urodził, aby walczyć o wyzwolenie ludu..., pracujmy z wiarą; dotąd istnieją sieroty bezdomne, nie mające innéj opieki niż światło dzienne. Dotąd ludzie między sobą wiodą boje i cieszą się udręczeniem swych braci. Dotąd w imię sprawiedliwości ludzkiéj odbywają się krwawe mordy, dotąd żebracy umierają na ulicach, a inni pozostawiają niezatarte ślady nędzy i ubóstwa za sobą, gdy z rodzinami wędrują za morze, gdzie ich śmierć głodowa czeka. Pracujmy z wiarą. Powinniśmy także walczyć za kobietę, która żyje uwięziona i upada na dno przepaści z braku sił, lub gdy napróżno szuka oparcia, nie mając przyszłości ani kierunku dla swych myśli, przyjmuje za męża tego, kogo kochać nie może, i kła-

mie, przysięgając u ołtarza. Młodzieży, pragnąca postępu! obietnico wieku szczęśliwszego, utwórz ty lud wolny, poświęcony dobru i pracy, a wtedy z zapałem wykrzykniemy: święta wolność nas zbawiła!“

Takie męzkie wezwania do czynu powracały wielokrotnie w wierszach panny Zofii, ale obok nich przebija się smutek i tęsknota do silnych opartych na wiedzy przekonań, których chwiejąca się wiara zastąpić nie mogła. O samobójczyni, która odebrała sobie życie by połączyć się z utraconym kochankiem, czytamy trzy wiersze uderzającéj nas śmiałości, jeśli wziąć pod uwagę, że je pisała młoda panna: „marząc o czémś lepszém, opuściła życie. Ale... nieszczęśliwa samobójczyni, jeśli za śmiercią nie znalazła nic!“. Temat ten powraca jeszcze w kilku bardzo pięknych wierszach, jak naprzykład następujące:

1. Gdy po stroméj ścieżce pielgrzym doszedł do szczytu, zmęczony i spragniony, zastał tam zamiast oczekiwanego przytułku tylko smutne i przygnębiające bezdroża. Gdy po utracie wszystkich sił sądził, że dociera do końca podróży, ujrzał na swéj drodze otwierającą się czarną przepaść. Chwiejąc się, upadł na skałę, z duszą zwyciężoną pod brzemieniem krzyża. Wiara go prowadziła do téj męki i nie zastał tam, czego się spodziewał. Krew płynęła ze zranionych stóp i nie mógł iść naprzód. Pomyślał o odwrocie i w oczach stanęła mu łza niemocy i rozpaczy. Szlachetna dusza jego uległa rozczarowaniu, a gdy czuł niknące nadzieje, podniósł się i rzekł głosem wycieńczonym: Nawet wiara rozgorycza nasze życie!

2. Marzenia różane, żyjecie tylko chwilę! Wkrótce przemawia przenikliwy głos rozumu wszechwładnego. Bolesne wrażenie wydziera iluzye powstałe w sercu, które wszystko kocha i nic nie osiąga, a w końcu widzi walkę nadziei swych z rozumem. Nadzieja utracona i zwątpienie opanowujące staczają straszny bój, w którym walczymy przez całe życie. Upragnionego szczęścia nigdy nie możemy osiągnąć i w téj dzikiéj walce tylko się przekonywujemy, że dusza nasza czuje, a oczy płaczą. I to się nazywa życiem? Tak walczyć i napróżno szukać pocieszenia i spokoju w tajemniczéj zagadce śmierci! Pomyśleć sobie, że nawet utracić ciebie nie można, bezbożna egzystencyo, bo za zimnym grobem, w którym ciało się rozkłada, mamy odradzać się do innego życia i zaczynać nową agonię! Nie, nie, dosyć tego życia ze złamaną duszą; niechże za podróżą czeka nas spoczynek śmierci. Bo urodzić się i czuć jest największém nieszczęściem i chociażby inne życie lepsze nam dawało

miły spokój, to zawsze, jeśli wieczną jest dusza, wiecznym także będzie nasz ból“.

3. „Jakże ciężkiém jest moje cierpienie”, mówił wczoraj ze szczególnym smutkiem młody chłopiec, „nie wiem, jak mój dom wygląda, ani téż nie mogę widzieć mojéj matki. Nie wiem jaką jest ziemia i jak wygląda niebo, więc w utrapieniu mojém wyobrażam sobie, że są czarne jak moja boleść“...

Starzec, który słuchał gorzkich skarg chłopca z pogardą, szepnął: „ciebie taki smutek martwi! Daleko większa moja bieda. Szukałem z rosnącą wiarą prawdy pożądanéj, ale w życiu nie znalazłem tego, o czém mój umysł marzył. Cóż mi pomoże blask i ciepło słońca, które mnie wcale nie obchodzą? Czy to nie jest największe nieszczęście?... Wzrok jest bezmyślném złudzeniem młodości. Jakież światło nam posłuży, by znaleźć szczere serce?“ — „Słuchając was, tracę spokój“. — „Życie jest drogą pełną cierni“. — „Pragnę światła dla mych oczu“.—„A ja światła dla méj duszy“.—„Patrzcie na światło wiary“! — „Czy możesz ujrzeć, co ja widzę“? — „Jestem ślepy od urodzenia“!—„A ja odkąd zwątpiłem“!

Ta walka między wiarą w ideały tradycyonalne, a zwątpieniem nieznaną była poetom hiszpańskim poprzednio poznanym. Campoamor wcale o wiarę nie dbał, a Nunez de Arce zwątpienie przyjmował za naturalną konieczność. Trzeba było kobiecéj wrażliwości, aby konflikt ten odczuć głęboko, jak go w francuskiéj literaturze odczuła także kobiéta, pani Ackermann. Zofia Casanowa nie doszła do krańcowych wybuchów, jakie spostrzegamy u francuskiéj jéj koleżanki: nie wypowiedziała walki wierze i religii, lecz owszem szukała jéj i tęskniła do stałych przekonań. W przejściach własnéj rodziny poznała rzeczywiste smutki, które głęboko odczuła i umiała doskonale opisać, jak świadczy między innemi utwór następujący, tłómaczony ustnie w obec licznych słuchaczy przez Gastona Paris i oklaskiwany w Paryżu:

„Kroplą wody jest łza błyszcząca, która ledwo się w oczach ukaże, prędko się ulatnia. Kroplą wody jest perła rosy, która powstaje i znika tego samego pięknego poranku. Kroplą wody jest także ta ciągle wracająca kropla, która kamień dziurawi, wędrując przez skały granitowe i rozpuszczając całe góry. Krople wody! Lecz jakże inną jest ta, która nagle powstaje i ginie, niż ta, która przez skały przeciekając, w kamień się zmienia i wyzywa czas! Tak samo marząca dusza czasem wylewa nikłe łzy, które nikną w świetle uśmiechu, ulatniają się w cieple nadziei. A czasem zdarzają

się łzy, które stale ciekną i pozostawiają w duszy na zawsze stalaktyty głębokiego bólu, rosnące z czasem i nigdy nie ginące".

Takie wiersze pisała Sofia Casanova kilkanaście lat temu, kiedy ją poznałem. Jeszcze więcéj stanowczym i wymownym był pesymizm jéj, prozą wygłaszany w rozmowie! Widać tu było wpływ Campoamora na duszę, która na serjo brała to, co słyszała. A broniąc swego pesymizmu, powoływała się nietylko na własne doświadczenia, lecz na biblię, zamiłowanie do któréj odziedziczyła po babce protestantce. Mądrość Salomona i Dawida przytaczała na poparcie swego zwątpienia i rozczarowania. Brała biblię również poważnie jak *Doloras* Campoamora i widziała w niéj głównie naukę o znikomości dóbr tego świata. Zarazem jednak ten świat zewnętrzny posiadał dla jéj artystycznéj natury nieprzeparty powab i wywoływał często jéj podziw i zaciekawienie. Miała sobie otwarte salony madryckie i często wyzywała w nich gorące oklaski swą deklamacyą. Pociągała młodych poetów, którzy w niéj się kochali napróżno, bo jako uczennica Campoamora, nie wierzyła w miłość, którą jéj ofiarowywano. W wielu wierszach wypowiedziała te swoje powątpiewania, a choć obracała się w towarzystwie najznakomitszych ludzi swéj ojczyzny, nikt nie zdołał jéj przekonać, że się myli. Życie miało w jéj oczach poważniejsze cele, niż pieszczoty miłosne—a myśl o powiększeniu ilości cierpiących na tym padole płaczu ją przerażała. Jednemu wielbicielowi, który prosił ją o jéj rękę odpowiedziała wierszém:

„Wierzę ci, wierzę mój bracie, i nie odpieram twych obietnic mą niechęcią, tylko sprzeciwia się twojéj wierze moje rozczarowanie. Kochaj kwiaty, które mi są miłe, lecz zapomnij o biednéj wygnance. Ciążyłby zbolałym skroniom moim piękny wieniec ślubny".

A jednak późniéj ta pesymistka wyszła za mąż i poznała szeroki świat od Lizbony do Kazania, od Londynu do Petersburga. Podobnie jak u pani Ackermann, małżeństwo zmniejszyło w niéj produkcyjność poetyczną, ale pisała daléj prozą i zapoznawała swoich ziomków z ojczyzną swego męża, Mazura. W nowszych wierszach swoich wzniosła się do wielkiéj doskonałości formy i głębokości treści, tak że wszyscy czytelnicy jéj żałować muszą, że tak mało pisze. Nowe wydanie jéj wierszy z 1898 r. obejmuje zaledwie dwadzieścia drobnych poezyi lirycznych, napisanych w ciągu ostatnich dziesięciu lat, a datowanych z Rosyi i Anglii. Widać w nich wpływ nowych wrażeń, nowych doświadczeń i wzruszeń, wśród których szczególniéj uwagę zwracają uczucia matki, spoglądającéj na rozwój swoich dzieci:

1. O najstarszéj córeczce. Czasem, patrząc na nią, gdy porzuca swoje zabawki i pozostaje zamyśloną na chwilę, z oczami czarnemi, skierowanemi na jakiś punkt przestrzeni, o którym nie wiem, czy jest na ziemi czy w niebie — czuję, że jakiś cień pada na moje myśli. Zaledwie zaczyna żyć, zaledwie z tego wielkiego snu nieistnienia, godnego zazdrości, umysł jéj się budzi — a już w głębi jéj serca jakaś tajemnica się porusza, która jéj oczy odwraca i kieruje wdal. Czego tam szuka jéj wzrok? Jakie głosy słyszy w ciszy? Co spostrzega w chmurach? Czego szuka pod stopami? Jaki świat nieznany otwiera się dla jéj duszy? W czém jéj przeszkodzę, jeśli przerwę tę dziwną zadumę? Siedzi wśród kwiatów, które wesoło zerwała w ogrodzie, a w rękach trzyma nową zabawkę; promienie słońca jesiennego całują jéj jasne włosy, podczas kiedy w parku skarży się wiatr. Zaczyna swe dzieło życie, które tę istotę przejmuje, z falami sił nowych, z wiecznemi swemi popędami. Zaczyna swe dzieło już życie, które pracuje w tajemnicy. Niebezpieczeństwo ukryte wśród kwiatów, znam ciebie i boję się ciebie.

2. O młodszéj córeczce. Bawiąc się w moich objęciach, obiedwie się śmiały. Światło dnia uciekało, a wiatr podnosząc śnieg w górę, tworzył zeń fantastyczną koronkę, uciekającą zewsząd i wszędzie przylegającą, tak lekko migającą się przedemną, jak dobro upragnione.

Drzewo uginało się pod wiatrem, schylając ranioną głowę, i wylewało wszystkie łzy, które Bóg dał jego cierpieniom, okalając swe oczy płatkami śniegu. Wiatr dziki, jak nigdy, wył, pragnąc gdzieś porzucić ciężar krzyków przerażenia, nędzy i wstrętu, który potwornym jego skrzydłom powierzyła Syberya. Wstrząsane przezeń, spadały z dachów oderwane kawałki lodu, a słysząc jak upadały na śnieg, tworzący na ulicy dziwne wyniesienia i pokrywający ulicę, wyobrażałam sobie czasami, że ktoś blizko grób kopał. W łachmany ubrany, przechodził bezludną ulicą żebrak, zapukał do drzwi i dostał twardego chleba; gryzł go, idąc daléj, i pozostawiał na śniegu ślady bosych nóg. Obiedwie w moich objęciach szczęśliwe się śmiały; nadchodził wieczór i wśród czarnych chmur na wschodzie zabłysnął księżyc w pełni. Obie spojrzały: Mania zachwycona, a Belcia poruszona tajemną żądzą, nagle wyciągnęła rączki ku niebu i powiedziała ze smutkiem: chcę księżyca, chcę księżyca, który tak pięknie błyszczy, chcę księżyca, przybliż mnie do niego! Wyciągając rękę z próżnym wysiłkiem, chciała księżyc uchwycić. Nie wiem co jéj powiedziałam, by ją uspokoić, ale próżno całowałam jéj głowę, ona płacząc prosiła o księżyc, ten księżyc, który zdaleka świecił

i uciekał. Zamilkłam utrapiona niewymownym niepokojem, myśląc z obawą: Boże, oby nigdy jéj dusza nie pragnęła niemożliwego szczęścia.

Powyższe przekłady nie mogą dać pojęcia o wielkiéj piękności oryginału, w którym harmonia dźwięków dziwnie odpowiada treści, tak, że niektóre wiersze odrazu wbijają się w pamięć. Nie silę się nawet na tłómaczenie najgłębszych wierszy tego zbioru, w których autorka z wielkiém uczuciem mówi o poważnych dążeniach życia i o konfliktach moralnych. Wszędzie widać gorące współczucie cierpieniom ludzkim, ale niema już bezwzględnego pesymizmu pierwszych utworów. Pozostawiły także ślad wędrówki po obcych krajach. Znajdujemy naprzykład opis uroczystości wianków na Narwi w wigilię Świętego Jana i kilka innych obrazków z naszego życia wiejskiego, ukazanych po raz pierwszy czytelnikom hiszpańskim. Autorka zasługuje na to, aby i u nas być znaną, co usprawiedliwia powyższe przytoczenia.

Sofia Casanova szczególniéj trafnie przedstawiła w swoich pismach ten rodzaj pesymizmu, który był przez Campoamora szerzony i właściwym jest raczéj południowcom niż mieszkańcom północy Myśmy przywykli do walki z niewdzięczną przyrodą i do walk o te skąpe plony, jakie nam ziemia daje, więc dla nas materyalne rozczarowania są raczéj pobudką do nowych wysiłków, niż do rozpaczy i żalów. Gdy u nas kto zachoruje na pesymizm, to zawsze choroba polega na głębokiéj niezaspokojonéj potrzebie moralnéj. Płoszowski utracił wiarę, nie zdobył sobie filozoficznéj wiedzy, a czuje potrzebę zrozumienia świata, potrzebę celu, o który wartoby walczyć Natomiast pesymizm poetów hiszpańskich nie ma takiéj matafizycznéj podstawy. Chodzi im nie o cele działania, tylko o rozkosz wolną od ciepień. Nie zapytują, „co powinienem robić”? tylko „dlaczego cierpię“? Samych siebie za cierpienie wcale nie winią, tylko potrzebują w wyższym stopniu niż my kozłów ofiarnych.

Rzecz arcyciekawa, w tym kraju, w którym ogniem i mieczem tępiono heretyków, dziś ulubionym kozłem ofiarnym stało się duchowieństwo. Pismo ludowe „*Las Domenicales del libero pensamiento*“ pała taką nienawiścią do księży, że w obec tych przekleństw i obelg, jakie tam są nagromadzone przeciw klerowi, ironiczne polemiki Swiętochowskiego z „Przeglądem Katolickim“ wydają się bardzo umiarkowaną dyskusyą przyjacielską. Trudno wierzyć, żeby nawet skromna część tych oskarżeń, miotanych przez wrogów kościoła katolickiego w Hiszpanii, mogła być prawdziwą, bo w takim razie księża hiszpańscy musieliby stanowić najprzewrotniejszą

kastę ludzkości. Wprawdzie zdarzyło mi się poznać późniéj jednego księdza pijaka, a nawet jednego kardynała wyraźnie wątpiącego o zwycięztwie dobra na ziemi—ale ogół księży hiszpańskich nie wydawał mi się gorszym, niż ogół naszych.

Spotkałem przynajmniéj jednego świadka, który twierdził, że księża hiszpańscy wiele zrobili dla postępu nauki i że nawet inkwizycya wcale nie krępowała wolnego rozwoju myśli hiszpańskiéj.

W obronie tego paradoksu napisał Marcelino Menendez y Pelayo dwutomowe dzieło bardzo ciekawe, pod tytułem: „*La Ciencia Espanola*“ (3-e wydanie, Madrid 1887). Poznałem autora w salonie państwa Valmar i z wielką ciekawością przyglądałem się temu potworowi fenomenalnéj erudycyi, który w 1876 roku wystąpił jako obrońca literatury naukowéj hiszpańskiéj i odrazu stał się tak dalece sławnym w swéj ojczyźnie, że mając zaledwie dwadzieścia kilka lat, otrzymał fotel w akademii hiszpańskiéj i katedrę w uniwersytecie madryckim, w którym dotąd wykłada literaturę ojczystą. Bo téż odważył się bronić sprawy, uważanéj powszechnie za przegraną, usiłując dowieść, że życie umysłowe Hiszpanii w ciągu ubiegłych wieków wcale nie było w uśpieniu.

Łatwą metodę sobie wybrał, by oszołomić swoich przeciwników. Będąc cierpliwym szperaczem, cytował setki i tysiące dzieł, nieznanych współczesnym krytykom, a świadczących jakoby o nieprzerwanym ruchu umysłowym w ciągu stuleci, które minęły. Menendez y Pelayo widzi w dawnych pisarzach hiszpańskich, jak np. Vives, źródła nowszéj filozofii i twierdzi, że wiele myśli Kartezyusza lub Kanta były wyrażone przez średniowiecznych scholastyków hiszpańskich. Cytuje mnóstwo dzieł wydanych w ciągu ubiegłych stuleci z zakresu różnych nauk i wnioskuje, że nauki te były uprawiane, skoro o nich dzieła pisano! Jest to rozumowanie podobne do tego, na zasadzie, którego „*Bibliothéque Nationale*“ w Paryżu uchodzi za bogatszy księgozbiór niż „*British Muzeum*“ w Londynie, bo wskutek okoliczności historycznych posiada ogromną liczbę pism polemicznych teologicznych z ubiegłych wieków, których brak w Londynie, ale których także prawie nikt nie czyta w Paryżu. Menendez y Pelayo tak się zapala do swoich twierdzeń, że uniewinnia całkiem inkwizycyę — i raz na publiczném zebraniu wniósł toast na cześć inkwizycyi hiszpańskiéj! Twierdzi, że filozofia kwitła w czasie inkwizycyi i była uprawianą bez żadnych przeszkód: palono tylko nikczemnych heretyków, którzy nie przyczyniliby się do postępu nauki, choćby żyli dłużéj.

Przytém chełpi się Menendez y Pelayo w swojéj *„Ciencia Espanola"*, że się po niemiecku nie uczył, jak ci, co lekceważą sobie życie umysłowe Hiszpanii, porównywując je z życiem innych narodów. On nie dba o filozofów niemieckich, bo znajduje wszystkie swe duchowe potrzeby zaspokojone przez niewyczerpane bogactwo literatury hiszpańskiéj. To téż pisze o téj literaturze tyle prawie tomów, co Teofilo Braga o literaturze portugalskiéj, i jest czytany z zapałem przez patryotów. Ale osłabia swoją argumentacyę ciekawemi wyznaniami: naprzykład, przytoczywszy kilkaset dzieł przyrodniczych, naiwnie dodaje, że wprawdzie je miał w ręku, ale nigdy nie uległ pokusie czytania ich! [1])

Jest to istotnie południowa metoda badania rzeczy według ich zewnętrznych pozorów, książek według okładek, postępu nauki według książek—i prowadzi śmiałego samouka z Santander do bezgranicznego optymizmu przeciwległego pesymizmowi Nunez de Arce. Menendez y Pelayo widzi w różowych kolorach przeszłość Hiszpanii i błogosławi inkwizycyę za to, że utrzymała „jedność ducha narodowego", chroniąc go od wszelkich zboczeń; dzięki inkwizycyi, św. Tomasz w żadnym kraju nie miał tylu gorliwych zwolenników, jak w Hiszpanii, gdzie dotąd większość profesorów filozofii w uniwersytetach składa się z tomistów.

Menendez y Pelayo twierdzi, że w pismach niektórych dawniejszych pisarzy hiszpańskich, jak Luis Vives, Gomez Pereira, Fox Morcillo, Raimondo Lullio, Suarez, są zawarte myśli, powszechnie przypisywane Kartezyuszowi, Leibnizowi, Kantowi—ale twierdzenia tego nie dowiódł, jakby należało, przez dokładne porównanie tekstów—a widać z jego argumentacyi całéj, że o nowoczesnych metodach krytyki historycznéj nie ma żadnego pojęcia. Pamięć jego bibliograficzna jest niezrównana i zastępuje mu zupełnie wiedzę, wzbudzając pogardę dla tych, co ufają własnemu rozumowi, zamiast cytować autorytety. Na téj drodze porównywania autorytetów Menendez y Pelayo doszedł do przekonań bardzo stałych, wydających mu się nierównie pewniejszemi, niż przekonania jego przeciwników, uczni profesora Sanz del Rio, wykształconego w Heidelbergu. Tych ludzi umiejących po niemiecku, jak np. Jose del Perojo, który po raz pierwszy przełożył część krytyki czystego rozumu z niemieckiego na hiszpański język—Menendez y Pelayo nienawidzi i chętnie wydałby ich ukochanéj swojéj inkwizycyi, gdyby istniała. Jak rycerz

[1]) *Ciencia Espanola* 3-e wyd, tom I str. 109.

średniowieczny, występuje on w obronie średniowiecznych ideałów przeciw europejskiéj kulturze nowożytnéj. Gdy jego dzieło o „Nauce Hiszpańskiéj" zostało skrytykowane przez Jose del Perojo, Menendez y Pelayo wykrzykuje: „chwała Bogu tysiąc razy, że znowu mam przeciw sobie wiecznych wrogów religii i ojczyzny i mam z nimi walczyć... pociesza mnie i ożywia polemika z bezbożnikami... niema dla mnie muzyki przyjemniejszéj, niż obelgi socyalistów".

Widocznie chcąc uczynić bliźniemu tak, jak pragnie, by jemu samemu czyniono, Menendez y Pelayo nie żałuje drwin i osobistych insynuacyi w swojéj polemice. Ale głównie posługuje się pociskami bibliograficznemi, litując się nad ignorancyą przeciwników, którzy nawet okładek tylu starych dzieł nie oglądali. Menendez y Pelayo posiada jedną z najbogatszych bibliotek prywatnych w Hiszpanii i gościnnie otwiera ją tym, co w niéj pragną pracować. Zresztą erudycya bibliograficzna samego właściciela biblioteki stanowi bardzo cenną pomoc przy wszelkich poszukiwaniach, i nieraz miałem sposobność sprawdzenia dokładności pamięci tego bibliografa.

Na trzeci dzień po przyjeździe moim do Madrytu, poznawszy tyle osobistości z różnych względów ciekawych i pouczających, wyjechałem na północ drogą prowadzącą przez Burgos i Biarritz. Te kilka tygodni spędzonych w Hiszpanii pozostawiły mi najmilsze wspomnienia i dały mi poznać świat wielce odrębny od środkowéj Europy. Nawet odrębność Anglii nie jest tak wielka, jak zupełna odrębność i oryginalność Hiszpanii. Łatwiéj z opisów sobie przedstawić Anglików, Niemców lub Szwajcarów niż Hiszpanów, bo tylko żyjąc wśród nich, zarażamy się tą szczególną atmosferą uczuciową, która wszystkie ich siły pochłania i tłómaczy nadzwyczajną ich materyalną nieprodukcyjność. Oni na seryo zupełnie lekceważą sobie dobra materyalne i są tak hojni, jak nasi praojcowie. Polak wszędzie w środkowéj Europie czuje się obcym i tęskni do obyczajów własnego kraju dla tego, że w stosunkach z ludźmi nigdzie nie spotyka téj serdeczności, do któréj przywykł u siebie. U nas, gdy się spotykamy ze znajomymi, nie gramy żadnéj roli i nie mamy szczególnego celu w rozmowie, jak nasi sąsiedzi, którzy wciąż pamiętają o interesach. Dowiadujemy się o wszystkich szczegółach życia i zamiarów naszych przyjaciół z taką życzliwością, która we Francyi lub Anglii uchodziłaby za natrętną niedyskrecyę.

Otóż w tém wzajemném przenikaniu się psychologiczném Hiszpanie nas przewyższają o tyle, że kto tam krótko bawi, jest zachwycony—a kto na czas dłuższy osiędzie, doznaje wrażenia, że żyje w szklanym domu. Okazuje się to w bardzo wielu szczegółach,

przedewszystkiém w niesłychanéj i nigdzie nienapotykanéj szczerości, z jaką młodzież obojga płci traktuje swoje miłosne porywy. Nikt się nie wstydzi miłości, nikt jéj nie ukrywa. Jest powszechnie uznaném, że miłość trzeba wypróbować, i dla tego oświadczenia miłosne wcale jeszcze do małżeństwa nie zobowiązują. Dwoje *novios* mogą się znać kilka lat i codzień widywać, odkładając decyzyę stanowczego związku. Za to małżeństwa hiszpańskie są dziwnie zgodne i szczęśliwe tak dalece, że nigdzie nie spotykałem tyle oczywiście dobrze dobranych par, jak w tym kraju.

Jedność rodzinna panuje tam nadzwyczajna—rozwody są nieznane, a również nie zdarza się, jak w Warszawie, żeby dorosły syn opuszczał dom rodziców swoich, jeśli mieszka w tém samém mieście, dla większéj swobody. Czystość obyczajów młodzieży w Madrycie jest uderzająca dla przybysza z Petersburga lub Warszawy. W Hiszpanii nigdy mi się nie zdarzyło być na ulicach wieczorem zaczepianym, jak na bulwarach paryskich lub na Marszałkowskiéj ulicy w Warszawie. Tłómaczy się to bardzo rozwiniętém życiem towarzyskiém, wobec którego rozpusta nie mogłaby pozostawać w ukryciu i naraziłaby winnego na karę opinii publicznéj. Spotykają się znajomi ciągle nie tylko w mieszkaniach swoich, ale téż szczególniéj na ulicach, na których często stają, żeby porozmawiać. Więc życie każdego jest tak zupełnie jawném, że trudno, żeby jakie zboczenie mogło pozostać ukrytém. Przytém znajomi wcale się nie krępują w wypowiadaniu zdań o postępowaniu każdego, każdy wié przeto nietylko co inni robią, ale téż co o nim myślą. W stosunkach towarzyskich panuje bardzo wielka prostota. Domy rodzinne wcale nie rachują się między sobą z wizytami, natomiast bardzo często co tydzień pewna ilość rodzin stale się zbiera w jednym domu, gdzie naj więcéj miejsca na takie zebrania. Nazywa się to *tertullia*—i nie stanowi ciężaru dla gospodarzy, bo goście siedzą i rozmawiają od dziewiątéj wieczór do drugiéj w nocy, nie oczekując żadnéj kolacyi a zadawalniając się pod względem materyalnym sucharkami i kieliszkiem wina, lub w zamożniejszych domach naparstkiem herbaty. Nawet w tak bogatym salonie, jak u państwa Valmar'ów, prócz herbaty i ciastek nic nie podawano, co się tłómaczy późną porą obiadową.

Natomiast niema w Hiszpanii naszego obyczaju, żeby gościa przypadkiem na objad natrafiającego zapraszać do stołu. Widziałem w pewnych domach zebrania trwające bez przerwy przy zmieniającym się składzie gości od trzeciéj po południu do trzeciéj w nocy. W takich wypadkach gospodarze cichaczem kolejno wykradali się na objad, na który gości nie zapraszali. Jest to témbardziéj godne

uwagi, że w Hiszpanii nie wolno w obecności innych cokolwiek jeść, nie ofiarując wszystkim obecnym części tego, co jemy, choćbyśmy jedną pomarańcz jedli wobec tuzina świadków. Jadąc koleją zawsze się natrafia na pasażerów jedzących wiktuały swoje: ale nigdy nie zaczną jeść nie poczęstowawszy wszystkich współpasażerów. W takich razach grzeczność nakazuje podziękować odmownie, a przyjąć można tylko po natarczywych prośbach.

Komunizm towarzyski wogóle kwitnie w Hiszpanii, jak nigdzie. Nietylko gościom ofiaruje się każdy przedmiot przez nich pochwalony, ale także znajomi, a szczególniéj panie, często pożyczają sobie wzajemnie wachlarze, biżuterye, a nawet części ubrania. A ponieważ panuje nadzwyczajna poufałość między ludźmi różnych stanów, szczególniéj między służącemi a ich paniami, zdarzyło mi się widziéć panią pożyczającą chustkę od swojéj służącéj. Obyczaje, formuły grzeczności, sposób rozmawiania w towarzystwie są te same dla wszystkich i niema takich różnic, jak u nas. Etykieta towarzyska stanowi przedmiot nauczany w szkołach ludowych obok katechizmu, i podręczniki *du savoir vivre* są tak rozpowszechnione, jak książki do nabożeństwa. Nazywa się to *tratado de urbanidad* i zawiera bardzo szczegółowe wskazówki, jak należy w różnych stosunkach towarzyskich postępować i co powinno być koniecznie w każdéj okazyi powiedzianém. Tych formuł obowiązkowych jest ogromna ilość, a kto ich nie używa, uchodzi za gbura. Takie zdania, wyrażające gościnność, współczucie, zapewniające o życzliwości, są przez każdego tysiąckrotnie powtarzane i robią wrażenie nadzwyczajnéj uprzejmości i serdeczności.

Na drodze równości i braterstwa zaszli Hiszpanie daléj, niż inne narody—za to brak im wolności, bo cała ta etykieta krępuje bardzo tych, co czas swój cenią. Nawet w listach Hiszpanie używają na początku i na końcu formuł dłuższych niż u nas, przyczém formuły te bywają często zastępowane inicyałami wyrazów, z których się składają. Naprzykład wiele listów ceremonialnych, pisanych do osób z któremi nie utrzymuje piszący bliższego stosunku kończy się znakiem s. s. s. y a. a. q. s. m. b., co znaczy: *su seguro servidor y affectisimo amigo quien sus manos besa* (Pański wierny sługa i przywiązany przyjaciel, który całuje ręce Pańskie). Wogóle to całowanie rąk w listach stało się tak powszechném w Hiszpanii, że nawet wszystkie biura mają litografowane lub drukowane blankiety, zwane *besamanos* (całuje ręce), które zaczynają się od stałéj formy: „Pan N. N. całuje ręce Pana". Są one używane we wszystkich wypadkach, kiedy chodzi o nieoficyalne zawiadomienie kogoś o jakiéjkolwiek sprawie, a koń-

czą się słowami „niech Bóg zachowa Pana przez wiele lat". Całowanie rąk tak dalece spowszedniało, że pisząc do pań, niegrzecznie jest poprzestać w zakończeniu listu na tak skromnym objawie uniżoności: trzeba całować stopy, naturalnie tylko na papierze, bo rzeczywiste pocałunki są daleko rzadsze w Hiszpanii niż u nas, i kobiety nawet w rękę nie wolno jest pocałować publicznie, a mężczyźni wcale się nie całują.

Formalistyka hiszpańska nie tylko w formułach towarzyskich jest widoczna, ale panuje także we wszystkich szczegółach administracyi publicznéj, przez co urzędowe czynności są ogromnie utrudnione.

Ale całość tych formuł i obyczajów świadczy o bardzo wysokim stopniu uspołecznienia Hiszpanów. Trudno wśród nich pozostać obcym, jak w Anglii lub Francyi. Cudzoziemiec ich zajmuje i bardzo łatwo pozyskuje ich zaufanie i sympatyę. Dlatego właśnie podróż do Hiszpanii jest daleko więcéj pouczająca, niż podróże po Włoszech i Szwajcaryi: widzi się nietylko gmachy, rzeźby, obrazy, ale wnika się w dusze ludzkie pod wieloma względami do nas podobne, zaś pod innemi względami tak charakterystycznie się od nas różniące, że ułatwiają nam lepsze poznanie nas samych.

Hiszpanie podbili niegdyś tyle krajów, że władali największém państwem ówczesném. Utrzymać tych posiadłości nie umieli, bo nie uwzględniali rzeczywistych potrzeb pierwotnych mieszkańców swoich kolonii, traktując ich z pogardą, jako rasy niższe. Zachowali w tém najwierniéj tradycye cesarstwa rzymskiego i to ich zgubiło. Pojęcie pracy społecznéj, tak rozwinięte u narodów germańskich było im obcém. Dla nich państwo było tylko towarzystwem, w którém uprzywilejowane jednostki mogły w całéj pełni korzystać ze swych przywilejów. Urzędnicy i dziś w Hiszpanii nie uważają się bynajmniéj za ściśle zobowiązanych do czegokolwiek. Ich płaca to nie wynagrodzenie za spełnianie obowiązków, tylko stypendyum państwowe udzielone za pewną wewnętrzną doskonałość, którą każdy sobie przypisuje. To téż żądając czegokolwiek w jakim urzędzie hiszpańskim, chociebyśmy mieli najoczywistszą słuszność za nami, mało wskóramy, jeśli nie nadamy żądaniu formy pokornéj prośby. Najczęściéj używaném zdaniem jest: „proszę mi zrobić łaskę", wtedy kiedy się żąda tego, co powinno być niezależném od łaski. W mianowaniu na urzędy małą gra rolę osobista zasługa, natomiast najwięcéj znaczą przyjazne stosunki z tymi, od których nominacye zależą. Każda zmiana ministeryum pociąga za sobą zmianę wielu tysięcy urzędników, podobnie jak w Ameryce zmiana prezydenta Stanów

Zjednoczonych. Znaczna większość tych urzędników patrzy na swój urząd, jako na zdobyty przywiléj, nie odczuwając wyraźnie obowiązku baczenia na dobro i pożytek współobywateli. Wielu młodych ludzi właśnie dlatego woli skromny urząd państwowy, niż znacznie lepiéj płatne zajęcie przemysłowe lub handlowe. Ztąd wynika polityczny i ekonomiczny upadek Hiszpanii.

A jednak ten polityczny i ekonomiczny upadek jeszcze bynajmniéj nie jest bankructwem. Polityczne urządzenia i ekonomiczne bogactwa są wszak tylko środkami, które mają prowadzić do innego celu—do należytego urządzenia życia. Otóż cel ten osiągają Hiszpanie wcale nie gorzéj, niż lepiéj politycznie zorganizowane narody, żyją oni wesoło i szczęśliwie, mniéj popełniają zbrodni niż my, więcéj się wzajemnie kochają i w jednym z najwyższych gatunków działalności ludzkiéj, na polu sztuk pięknych, nie potrzebują się wstydzić porównania z innemi narodami. Wiele możemy się od nich nauczyć, gdy chodzi o piękno lub o miłosierdzie i współczucie dla tych co cierpią. Ich literatura jest równie bogatą, jak i urozmaiconą, a szczególniéj dramat hiszpański ma wszechświatowe znaczenie. Widać zatém, że te formy życia, jakie się rozwinęły w Anglii i są naśladowane przez inne narody środkowo-europejskie, nie stanowią bynajmniéj jedynego rozwiązania trudności bytu społecznego. Ujemne strony życia Hiszpanów, ich nierząd polityczny, ich nieprodukcyjność ekonomiczna, nie mogą stanowić o rzeczywistéj wartości moralnéj ich społeczeństwa. Człowiek ubogi, niewykształcony i niegospodarny, może być w najwyższym stopniu szlachetnym, wstrzemięźliwym, usłużnym, hojnym, gościnnym i cnotliwym. Hiszpanie utracili łatwo zdobyte kolonie—lecz nieustraszenie stawili czoło najazdowi Napoleona i po uciążliwéj walce wygnali Maurów. Dziś dopiéro zaczynają pojmować potrzebę wiedzy—a gdy szkoły ich dojdą do téj saméj doskonałości, co teatry i muzea, będą mogli zająć niepoślednie stanowisko wśród narodów europejskich.

A. Lutosławski.



PIEŚŃ ŻOŁNIERSKA

z wieku XVII.

Któż nie zna piosenki o „żołnierzu, tułaczu, który borem, lasem — idzie z biedy i głodu przymierając czasem — nakoniec pada u nóg konika wiernego—a konik nogą grzebie mogiłę dla niego”. Jeżeli jéj nie zna całéj i nie słyszał śpiewanéj, to zna przynajmniéj z tego echa, jakiém się odzywa na cymbałach Jankiela w „Panu Tadeuszu”. Nawiasem mówiąc, piosenka ta ukazywała się po raz pierwszy w druku w Zbiorze pieśni polskich i ruskich Wacława z Oleska w r. 1833, t. j. w tym czasie, kiedy Mickiewicz pisał „Pana Tadeusza”, i wobec ówczesnych stosunków poety z Galicyą jest rzeczą prawdopodobną, że to ów zbiór przypomniał poecie tę piosnkę, słyszaną niegdyś w dzieciństwie, jak mu przypomniał wiele innych. W tym samym zbiorze jest inna żołnierska piosnka polska, zaraz obok tamtéj umieszczona:

Kto chce rozkoszy użyc,
Niechaj idzie w wojsku służyć,
Tam to rozkoszy użyje,
Naje się dobrze, napije
Łez gorzkich.

I jedna i druga piosnka nosi charakter poezyi ludowéj, to znaczy, że ich twórcy nie mieli nic do czynienia z drukowanym Parnasem polskim, a témbardziéj z jakimkolwiek obcym, a przy-

najmniéj, że ów drukowany Parnas żadnego śladu na ich twórczości nie zostawił. Widać to po takich rymach, jak np.

Witam, witam, *mospanowie*,
Czy daleko brat *na wojnie?*

albo:

Dadzą mu z skarbu *karabin*,
Któremu w życiu *nie radby*.

Widać to po rozmaitych zwrotach i zestawieniach takich, jak np. „Lepiéj w domu cepem buchać—Niż na wojnie bębna słuchać—Lepiéj w domu płoty grodzić—Niż na wojnie marszem chodzić i t. d. [1]). Pierwsza z tych pieśni ma jeszcze i tę cechę ludową, że jest jakby skupieniem dwóch lub trzech piosnek, które się zrosły z sobą dzięki pokrewieństwu treści i téj saméj budowie wiersza. Początkowych ośm wierszy, gdzie jest mowa o głodnym żołnierzu, który idzie lasem i któremuby trzeba „chleba, soli nie żałować", stanowi motyw odrębny od tego, który się zawiera w następujących dwudziestu kilku wierszach, gdzie się mówi o żołnierzu i jego koniku, a więc nie o pieszym, ale o konnym żołnierzu. Wreszcie zakończenie, złożone z kilkunastu wierszy (Lepsza w domu groch, kapusta i t. d.) wydaje się również jakby osobną całością.

Gdzie i kiedy powstały te pieśni, tak samo daremnie o to pytać, jak o pochodzenie i czas utworzenia wielu innych utworów ludowych, nie przywiązanych do jakiegoś wypadku historycznego. na podstawie jednak porównania dwóch tych pieśni można przypuszczać, że druga jest późniejsza od pierwszéj. Podczas, gdy w pierwszéj niema ani jednego wyrazu cudzoziemskiego, z wyjątkiem słowa „żołnierz", który już około połowy XVI wieku (np. u Bielskiego w Kronice świata, u Reja w Żywocie człowieka poczciwego) miał obywatelstwo w języku polskim, w drugiéj znajdujemy wyrazy cudzoziemskie, które dopiéro w późniejszych spotykają się pomnikach, jak: karabin, dobosz, felczer. I pod względem treści

[1]) Jakgdyby echem tych zestawień jest owo westchnienie Mickiewicza, na początku II księgi „Pana Tadeusza" umieszczone:

Kiedyż nam Pan Bóg wrócić z wędrówki dozwoli,
I znowu dom zamieszkać na ojczystej roli,
I służyć w jeździe, która wojuje szaraki,
Albo w piechocie, która nosi broń na ptaki;
Nie znać innych, prócz kosy i sierpa, rynsztunków,
I innych gazet, oprócz domowych rachunków.

pierwsza pieśń, szczególnie w swoim środkowym motywie, ma bardziéj archaiczny charakter i okazuje widoczne pokrewieństwo z pewną pieśnią kozacką, która się w wielu waryantach przechowała:

Kraj Dunaju trawa szumyt'
A w tej trawi kozak łyżyt',
A w hołowkach woron kriacze,
A w niżenkach konyk płacze:
Wybyŭ zemli po kolina,
Probużaje swoho pana.[1])

Ostatni dwuwiersz, który ma rym nie tak pełny i gładki, jak odpowiedni ustęp pieśni polskiéj (Już się wgrzebał po kolana—żałujący swego pana), zdaje się wskazywać, że ten szczegółowy motyw przeszedł z pieśni polskiéj do ruskiéj, a nie odwrotnie, co naturalnie przemawiałoby za tém dawniejszém pochodzeniem pieśni polskiéj.

Obie żołnierskie pieśni polskie skarżą się i narzekają na los i życie żołnierza. Ale i w tym względzie zachodzi między niemi różnica. Żołnierz pieśni drugiéj skarży się głównie na rygor wojskowy, surowość starszyzny, obojętność kolegów. Występuje on tu, jako człowiek zwiedziony i zawiedziony:

Kiedy żołnierza werbują,
Złote góry obiecują,
Potem tylko lenik dają,
Za to zdrowie odbierają
I życie.

W pieśni pierwszéj niema skarg tak wyraźnych, jest tylko przedstawienie żołnierza, jako głodnego i źle odzianego, i przeciwstawienie szczęśliwego, spokojnego życia domowego życiu wojennemu. Jest téż więcéj rycerskiego ducha w téj pieśni. Żołnierz czuje, że jego krwawa służba cześć mu przynosi (Chociaż żołnierz obszarpany—przecież idzie między pany), i zaciąga się do wojska, nie jako złudzony obietnicami, ale jakby z poczucia obowiązku:

W bębny, kotły zabębnili,
Na wojenkę zatrąbili:
Starsza siostra brata miała,
Na wojenkę go wysłała,

---

[1]) Czubiński: „*Trudy etnograficzesko-statisticzeskoj ekspedicyi w zapadno-ruskij kraj*“ Petersb. 1874, T. V. str. 941—2.

W prawą rączkę miecz mu dała,
Sama rzewnie zapłakała.
Nie płacz, nie płacz, siostro, brata,
Powrócę ja za trzy lata.

Wreszcie prawdziwie rycerski jest obraz jego śmierci i jego stosunku do konia:

Niedaleko w czystém polu,
Leży sobie na kamieniu,
Prawą nóżkę ma w strzemieniu:
Konik jego wedle niego
Grzebie nóżką, żałuje go i t. d.

Przypomniałem te dwie piosnki żołnierskie i zwróciłem uwagę na ich stosunek wzajemny dla tego, ażeby na tém tle łepiéj się uwydatnił charakter i znaczenie innéj dawnéj pieśni żołnierskiéj polskiéj, która, o ile mi wiadomo, nigdy nie była drukowaną, a przechowała się w jednym z rękopisów Biblioteki XX. Czartoryskich w Krakowie. Mianowicie w rękopisie (Nr. katalogu 377), zatytułowanym Silva rerum z XVII wieku (p. 80), wśród innych wierszy z tego wieku mniejszéj wartości znajduje się utwór rymowany, p.t. „Duma ukrainna". Ten to utwór jest ową pieśnią żołnierską, z którą chcę czytelnika zaznajomić. Zanim jednak podam go w całości, przytoczę parę uwag dotyczących tekstu, który się przechował. Pisany jest wyraźnie i pisownię ma dość poprawną, z wyjątkiem kilku słów; można się przytém domyślać, że był przepisywany z innego jakiegoś rękopismu, który nie był wszędzie czytelnym, ponieważ jeżeli nie dwa, to przynajmniéj jeden wyraz jest widocznie błędnie przekopiowany; wreszcie stroficzność w jednym ustępie niedomaga i jeden wiersz ma rytm zepsuty, co już może nie być winą przepisywacza.

Podaję wiersz w dzisiejszéj pisowni, uwydatniając ważniejsze różnice w przypiskach, a jeden wyraz zupełnie niezrozumiały zastępuję odpowiednio do treści dobranym wyrazem.

Duma Ukrainna.

Powiedz, głośna kobzo moja,
Umieli co duma twoja,
Dajcie wy znać głośne strony
Żywot słuszny, ulubiony.

Jeden kupią wiek prowadzi,
Drugi rozumem zysk sadzi,
Ten gospodarstwem zwykł [1]) nędzy
A przychodzi do pieniędzy.
Sam ten na wszystko się dłuży
Kto ręką ojczyźnie służy,
Zdrowie traci szczęsną [2]) szkodą,
Bóg a sława jest nadgrodą.
Próżno czeka opatrzenia
Przedni słabego baczenia,
Jednek wolny szańc w tej mierze,
Niech kto co chce przedsiębierze.
Rada radzie ustępuje
Powiedz kto co lepszego czuje.
Cóż może być piękniejszego [3])
Nad pachołka rycerskiego.
Ujrzy pola nieprzejrzane,
Młodą trawą przyodziane,
Ujrzysz dąbrowy rozwite,
Ujrzysz ptactwa rozmaite,
Zwierza stada niezliczone
I ryb zdroje niezłowione.
Tam albo wieśniak ochoczy
Łowiąc swoje sieci moczy,
Albo na to wyprawiony
Strzela zwierz strzelec ćwiczony.
Lubo przez kamienne [4]) progi
Dnieprowy kozak ubogi
Czółnem płynie nie bez strachu,
Chudo żyjąc szałamachu. [5])
Albo żołnierz w twardej [6]) zbroi
Warownym obozem stoi,
Zimnym niebem przyodziany
Dżdżem [7]) i rosą ogrzewany.
Skąd więc abo na straż jedzie,
Albo po chudym obiedzie
W kole swych probuje koni
Lub z kopiją [8]) pierścień goni.

---

[1]) W rękop. napisano: zwyk.

[2]) W rękop. sczesną.

[3]) W rękop. piekniejszego.

[4]) W rękop. wyraz zupełnie niezrozumiały: niemeniowe.

[5]) Szałamachu zamiast szałamachą. Szałamacha albo sałamacha—pewien rodzaj kaszy, zwykła potrawa kozacka.

[6]) W rękop. w twardy.

[7]) W rękop. Ddżem.

[8]) W rękop. kopią.

Albo więc lekko ubrany
Pod nieprzyjacielskie ściany
Bieży pochylony lasem
Dla sławy, dla zysku czasem.
A skoro nań trwoga przyjdzie [1]
Wnet z trzaskiem z obozu wyjdzie [1]
Pod świetnymi chorągwiami,
Głośnymi bębny, trąbami,
Tam młódź lekkie harce [2] zwodzi,
Potym końmi we krwi brodzi,
Temu ostry pałasz krwawy
Cedzi krew aż za rękawy.
A temu szabla zkoszona [3]
Uniosła łeb od ramiona,
Ten spadł [4] kulą przestraszony,
Tego przebił grot stalony.
Temu niepochybna strzała
W pośrodku boku została,
A drugi choć spadł [4] bez rany
Końmi poległ [5] podeptany.
Tamże jedna przełomiona
Bez wstydu ucieka strona
A zwycięsca niebłagany
Ciężkie [6] wnet zadaje rany.
Boże, który masz na pieczy
Ludu rycerskiego rzeczy,
Chudy żołnierz prosi ciebie
Zapłać mu tę nędzę w niebie.

Jest to więc pieśń żołnierska o tyle podobna do dwu innych, o których wyżéj była mowa, że tak jak one opiewa życie wojskowe, że wreszcie ma rytm i długość wiersza taką samą. Pozatém wyróżnia się od nich w rozmaity sposób. A naprzód nie można o niéj tego powiedziéć, co się powiedziało o tamtych, mianowicie, że ma charakter poezyi ludowéj, że nie widać na niéj wpływu kunsztownéj poezyi. W „Dumie Ukrainnéj", jakkolwiek w niektórych ustępach zbliża się ona swym tonem, wdziękiem swéj prostoty do pieśni ludowéj, ten wpływ jest przecież widoczny. Można nawet odgadnąć, jaki to utwór kunsztownéj poezyi polskiéj najsilniéj oddziałał na twórcę

---

[1] W rękop. przydzie—wydzie.
[2] W rękop. charce .
[3] zkoszona znaczy tutaj tyle, co z ukosa tnąca.
[4] W rękop. spad.
[5] W rękop. polieg.
W rękop. Cięszkie.

„Dumy ukrainnéj”. Jest nim Kochanowskiego „Pieśń świętojańska o Sobótce”. Łatwo zrozumieć, że ta pieśń, albo raczéj ten szereg pieśni świętojańskich, ze wszystkich utworów Kochanowskiego najwięcéj mający rodzimych pierwiastków, rodziméj woni, najżywsze budził echa w sercach czytelników. Dla tych, co się żołnierskiéj służbie oddali, miał on szczególny interes, bo jedna z pieśni poświęcona jest wyłącznie narzekaniu na służbę wojenną. Mianowicie panna dziesiąta skarży się na miłego, że pomimo jéj prośb i łez pojechał na wojnę, a ją w ciężkim żalu zostawił i w egoizmie swéj miłości przeklina wojnę.

Bodaj wszystkich mąk skosztował,
Kto naprzód wojsko szykował
I wynalazł swoją głową
Strzelbę srogą, piorunową.
Jakie ludzkie głupie sprawy,
Szukać śmierci przez bój krwawy!
A ona i tak człowieczy
Upad ma na dobréj pieczy.

Panna wprawdzie nie chce, aby jéj miły był tchórzem (Bodaj przepadł, kto się boi), jednak prosi go, aby nie narażał swego życia (Jednak ty tak chciéj być śmiałym—Jakobyś się wrócił całym) i nie dba ani o sławę, ani o zdobycz wojenną, tylko o wiarę, którą jéj miły ślubował.

Tę mi przynieś, a sam siebie,
Daléj nie chcę nic od ciebie

Panna dziesiąta potępia służbę wojenną dla tego tylko, że ta jéj zabiéra miłego. Panna dwunasta, wspominając o téj służbie, z innego ją ocenia stanowiska. Wysławia ona, jak wiadomo, spokój, „wczasy i pożytki” życia wiejskiego i kréśli błogi obraz żywota ziemianina w przeciwstawieniu do niepokoju, niewczasów i niebezpieczeństw innych stanów. Między temi stanami jest i stan żołnierski.

Inszy się ciągną przy dworze
Abo żeglują przez morze,
Gdzie człowieka wicher pędzi,
A śmierć bliżej, jak na piędzi.
Najdziesz, kto w płat język dawa,
A radę na funt przedawa;
Krwią drudzy zysk oblewają,
Gardło na to odważają“.

Oracz pługiem zarżnie w ziemię
Stąd i siebie i swe plemię,
Stąd roczną czeladź i wszytek
Opatruje swój dobytek.

Źle tedy wygląda stan żołnierski i w dziesiątéj i w dwunastéj pieśni świętojańskiéj. W ostatniéj żołnierz przedstawiony, jako najemnik, który dla zysku tylko krew swą niesie, stosownie do określenia Starowolskiego w „Prawym rycerzu“: „Ten, co żołd bierze, zowie się żołnierzem... i już nie ma téj prerogatywy, co rycerz, bo duszę swoją za grosz przedaje, kto mu jeno zapłaci, a rycerz tylko swojéj rzeczypospolitéj broni sumptem tym, który ma z majętności swojéj“ [1]). O tém, co ozdabia i nadaje wyższe znaczenie stanowi żołnierskiemu, o odwadze, sławie, obronie ojczyzny, niema tu ani wzmianki.

„Duma ukrainna" jest jakby obroną stanu żołnierskiego wobec takich poglądów. Nie odróżnia ona tak, jak Starowolski, żołnierza od rycerza: żołnierz w „Dumie" to pachołek rycerski, żołnierze to lud rycerski. Zależność jéj od „Pieśni świętojańskiéj", a w szczególności od tego, co panna dwunasta śpiewa, jest widoczna. Naprzód rytm i miara wiersza i stroficzność (z małym wyjątkiem) ta sama, co u Kochanowskiego. Daléj styl „Dumy" świadczy, że jéj nieznany autor wczytywał się w „Pieśń o Sobótce". Tak np. wiersze: „Powiedz, głośna kobzo moja—Umieli co duma twoja" przypominają te, co śpiewa panna druga: „Teraz masz czas, umiesz-li co,—mój nadobny bębennico"; wiersz „Dajcie wyznać głośne strony" podobny jest do końcowych wierszy jedenastéj pieśni świętojańskiéj: „Przeto cię me głośne strony—Będą sławić na wsze strony". Takie epitety „Dumy", jak „nieprzejrzane", „niezliczone", „niezłowione", epitety z negacyą, są ulubionemi Kochanowskiego wogóle a i w „Pieśni świętojańskiéj" parę razy się ukazują (panny w tańcu niezganione, łąka nieprzepasiona).

Najwięcéj jednak podobieństwa przedstawia „Duma" z pieśnią panny dwunastéj i to pod względem układu. Ta pieśń zaczyna się od apostrofy wskazującéj, co ma być przedmiotem poezyi, potém następuje porównanie oracza z innemi stanami, potém szczegółowy obraz życia wiejskiego. Taki sam układ znajdujemy i w „Dumie": wezwanie do kobzy, aby opiewała „żywot słuszny, ulubiony", porównanie stanu żołnierskiego z innemi i szczegółowy obraz jego ży-

---

[1]) „Prawy rycerz“, wydanie z r. 1648, str. 15

cia. To nam daje pewność, że „Duma“ powstała pod wpływem „Sobótek”, a w szczególności pieśni XII-éj. Jak tam była pochwała życia ziemiańskiego, tak tu jest pochwała życia żołnierskiego. Ale jeżeli wpływ Kochanowskiego widoczny, to jednak niema tu wcale ślepego, niewolniczego naśladownictwa; cały obraz życia obozowego jest zupełnie oryginalny i świadczy o nieposlednim talencie poetyckim autora „Dumy”. Niektóre strofy, jak np. o żołnierzu w twardéj zbroi, który stoi w warownym obozie „zimném niebem przyodziany, dżdżem i rosą ogrzewany”, albo końcowe wezwanie do Boga, aby „chudemu” żołnierzowi w niebie zapłacił nędzę ziemską, mają siłę i wdzięk pieśni ludowéj. Wogóle o tym utworze można powiedzieć, że zajmuje pośrednie miejsce pomiędzy ludową a kunsztowną poezyą.

Z jakich czasów i z jakich stron pieśń pochodzi? Co możemy z niéj wywnioskować o jéj naturze? Ślady wpływu „Sobótek” Kochanowskiego pozwalają nam oznaczyć najdalszą granicę, do któréj posunąć można czas utworzenia „Dumy”; ponieważ „Sobótki” ukazują się po raz pierwszy w pośmiertném wydaniu poezyi Kochanowskiego, w r. 1585, więc dopiéro po tym roku mogła powstać „Duma”. Drugą granicą, terminem *ad quem*, jest rok 1648, początek wielkich wojen kozackich. Nawpół idyliczny obraz Ukrainy, podany w téj pieśni, byłby niemożliwym po tym roku, od którego się zaczyna okres zniszczenia, a i Dnieprowy kozak po tym roku nie wyglądałby tak pokornie i niewinnie, jak tu jest przedstawiony. Sądzę nawet, że można jeszcze daléj wstecz posunąć tę drugą granicę, właśnie na podstawie tylko co wskazanych względów, mianowicie na czas przed buntami kozackiemi za Władysława IV, tak że wskutek tego czas, w ciągu którego mogła być napisaną „Duma” obejmie mało co więcéj nad panowanie Zygmunta III.

Co się tyczy miejsca pochodzenia utworu, to jak nazwa, tak i treść „Dumy“ wskazuje, że Ukraina ma prawo do tego tytułu. „Duma ukrainna”, gdyby nie była nawet na Ukrainie ułożoną, z ukrainnych wrażeń czerpie osnowę. Ten obraz „pól nieprzejrzanych” z obfitością ptactwa, zwierza i ryb, z rzuconemi tu i owdzie dąbrowami, z Dnieprem, groźnym swojemi progami, wreszcie z ludnością swoją, podzieloną na tych, co się zajmują rybołowstwem i polowaniem, i na tych, co na Zaporożu żyją — naturalnie z wojny lub rozboju, ten obraz, jak pod względem formy przypomina opisowość „Pieśni o ziemi” Pola, tak pod względem treści okazuje wielkie pokrewieństwo z opisami Ukrainy z końca XVI wieku. Oto co Paprocki pisze, zapewne na podstawie opowiadania naocznych

świadków, o wyprawie Samuela Zborowskiego na Zaporoże. „A tak się od onéj rzeki Pskły obrócił do drugiéj rzeki Samary. Tam znalazł 200 kozaków rzecznych, którzy tylko zwierz a ryby łowią drugim na żywność, a ci już mieli tam starszego, oc im rozkazował. Jest tam rzek wiele obfitych bardzo w ryby i zwierz różnego rodzaju..... Od onych wodnych prosto się puścił do progów, kędy rycerscy ludzie mieszkają" [1]). W dalszym ciągu jest mowa i o tém, jak są straszne te progi. Ośmdziesięciu kozaków przeprowadzało Zborowskiego „przez one progi, których jest tam dwanaście, bo nie miał ze sobą tylko wszystko ludzie nowe, jako i sam. Było szlachciców samych polskich siedmdziesiąt, oprócz hajduków. Wszakoż niektórzy szlachcicy, ulęknąwszy się owych strasznych przewozów, nazad się wrócili" [2]).

Któż był autor „Dumy"? Nie był to jeden z owych szlachciców, pędzonych duchem awanturniczym na Zaporoże, ale zapewne jeden z garstki kwarcianego żołnierza, która począwszy od Zygmunta Augusta, broniła rozległych granic południowych rzeczypospolitéj od najazdu wrogów, był to może jeden z tych, co z Zamoyskim na czele odnosili świetne zwycięztwa w Wołoszczyźnie, lub co z Żółkiewskim kładli głowy swoje na polach cecorskich. Szczególnie taki hetman, jak Żółkiewski, mógł natchnąć niejednego z podwładnych swoich myślą o wysokiém powołaniu żołnierza chrześciańskiego i o tém, że „Bóg a sława jest nadgrodą" takiego żołnierza. Jedném słowem, nie był to żołnierz przygodny, nie jeden z tych, co stawali w pospolitém ruszeniu, lub zaciągali się na jedną tylko wyprawę, ale taki, który stale „ręką ojczyźnie służył" i obierał sobie żywot żołnierski, jako „słuszny, ulubiony", choć żywot ten nie obiecywał dobrego „opatrzenia".

Pieśń swoją nazwał ów żołnierz-poeta dumą ukrainną. Że ten tytuł pochodzi nie od przepisywacza, ale od samego autora, zdają się świadczyć pierwsze wiersze pieśni:

Powiedz, głośna kobzo moja,
Umieli co duma twoja.

Kto nie zna dum ukraińskich, mógłby myśléć, że pieśń żołnierska, o któréj mówimy, jest w czémkolwiek do nich podobną. Otóż tak nie jest. Dzięki Sarnickiemu [3]) wiemy, czém były dumy

---

[1]) Paprocki, Herby rycerstwa polskiego, wyd. Turowskiego, str. 157.
[2]) Tamże.
[3]) *Annales, sive de origine et gestis Polonorum et Lithuanorum, 1587*, p. 379.

ukraińskie pod koniec XVI wieku, a więc mniéj więcéj w tym czasie, kiedy nasza pieśń żołnierska powstała. Mówiąc o dwu braciach Strusiach, którzy polegli w bitwie z Wołochami około 1506 r., powiada, że i dziś jeszcze śpiewane są na ich cześć elegie, które na Rusi nazywają dumami. Dumy pod względem elegijnego charakteru, uległy z czasem pewnym zmianom, ale ich forma, nie znająca ani stroficzności, ani stałéj miary wiersza, pozostała niezmienną do końca i niczém nie przypomina naszéj pieśni żołnierskiéj.

Zkądże otrzymała ona nazwę dumy? Oto widocznie dla tego, że dumy śpiewano przy dźwiękach kobzy, jak o tém świadczy Bartłomiéj Zimorowicz w swojéj sielance „Kobeźnicy" [1]), jak to zresztą do niedawna jeszcze działo się na Zadnieprzu. Wprawdzie kobza w XVI wieku musiała być instrumentem dość rozpowszechnionym w całéj Polsce, skoro Rej w „Żywocie człowieka poczciwego" daje obrazek przedstawiający szlachcica, który leży za piecem, na ścianę nogi wzniósł i gra na kobzie, „czekając, rychłoli obiad dowre" [2]), i zapewne nietylko dumy śpiewano pod jéj dźwięki; ale dla żołnierza, który dłuższy czas przebywał na Ukrainie i często mógł słyszéć dumy śpiewane z towarzyszeniem kobzy, dwa te pojęcia dumy i kobzy tak się z sobą splotły, że wszelką pieśń, śpiewaną przy kobzie, podprowadzał pod ogólną nazwę dumy.

Józef Tretiak.

---

[1]) Damian w rozmowie z Panasem, wywodząc, że poezya długo przechowuje pamięć o ludziach, powiada:

Zda mi się, że Amyntas kochanej Testyli
Dumy tysiącoletnie na swej kobzie kwili.

[2]) Wyd. Turowskiego, str. 54.



Rozbiory i Sprawozdania.

Piotr Chmielowski. „Obraz literatury polskiéj w streszczeniach i celniejszych wyjątkach". Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków G. Gebethner i Spółka 1898 r.

Żaden wykład, choćby najgłębszy i najcelniejszy, nie zastąpi w zupełności samego utworu literatury jakiegokolwiek narodu. Choćby najobszerniéj prawiono nam o „Zwierciadle" Reja, o jego stylu, języku i filozofii praktycznéj, w niém zawartéj, mniéj jeszcze będziemy mieli o tym utworze pojęcia, niż po odczytaniu jednego z najcharakterystyczniejszych ustępów z „Żywota człowieka poczciwego"; urywek z „Pamiętników" Paska starczy nam za wszystkie doń komentarze. Cóż dopiéro mówić o takich arcydziełach, jak „Pan Tadeusz", „Ojciec Zadżumionych", „Nieboska Komedya"? wszak kilka z nich wierszy stanie za wszelkie rozumowania literacko-filozoficzne o tych utworach.

Dlatego też wypisy historyczne do literatury ojczystéj są książką niezbędną w pedagogice. W naszéj literaturze czyniła przez dłuższy czas zadość tym potrzebom „Złota przędza poetów i prozaików polskich"; obecnie pożyteczna ta książka została zupełnie wyczerpaną w handlu księgarskim.

Z prawdziwą więc przyjemnością przed rokiem powitaliśmy zapowiedź wymienionego w nagłówku wydawnictwa, podjętego

przez jednego z najpracowitszych przedstawicieli naszéj krytyki literackiéj, prof. Piotra Chmielowskiego; samo nazwisko tego badacza dawało rękojmię wartości tego dzieła.

Obecnie oto leży przed nami ta ze wszech miar pożyteczna praca, która z ukazaniem się 20-go zeszytu dobiegła swego kresu i utworzyła trzy wielkie tomy o kilkuset stronicach każdy.

Pierwszy z nich zawiera pięć okresów naszéj literatury od kroniki Gallusa do romantyzmu. Rzecz prosta, że wobec tego pisarze z tak długiego przeciągu czasu nie mogli być traktowani tak szczegółowo, jak romantycy.

Na okres pierwszy: „Literatura średniowieczna" składają się, urywki z kroniki Gallusa, umiejętnie dobrane, z kroniki Kadłubka, z żywota św. Stanisława, z t. zw. kroniki Wielkopolskiéj, wyjątek z „Optyki" Witeliona, ten ostatni mniéj potrzebny, Pieśń o Albercie, Kronika Janka z Czarnkowa, „Bogarodzica" w restytucyi Pilata i Bobowskiego, Kazania Świętokrzyzkie i Gnieźnieńskie, wreszcie psalm L z „Psałterza Floryańskiego". Każdy z tych utworów poprzedzony jest uwagami objaśniającemi; czasem zaznaczone są monografie, np. o „Bogarodzicy". Co się tyczy „streszczeń", zapowiewiedzianych w tytule, to znajdujemy ich tu względnie niewiele; przydałoby się np. wyszczególnienie tematów Kazań Świętokrzyzkich i Gnieznieńskich.

Nie znajdujemy tu natomiast tekstu Modlitwy Pańskiéj, Pozdrowienia Anielskiego i „Kaję się" z 1375 roku, ani rot przysiąg z XIV w.; nie widzimy również najmniejszéj wzmianki o łacińskim wierszu dydaktycznym *Antigameratus*.

Okres drugi: „Świt humanizmu" słusznie zaczyna się od mowy Stanisława ze Skarbimierza przy otwarciu akademii krakowskiéj z roku 1400. Utwory łacińskie téj epoki prof. Chmielowski dzieli na: a) Utwory należące duchem do poprzedniego okresu: mowa Stanisława ze Skarbimierza, traktat antikrzyżacki Pawła Włodkowica z Brudzewa, urywki z „Historyi polskiéj" Jana Długosza i wyjątki z traktatów Jana z Głogowy w zakresie fizyognomiki i psychologii; b) Utwory w duchu humanistycznym: Adama Świnki, Grzegorza z Sanoka, Mikołaja Lasockiego, Jana Ostroroga i królowéj Elżbiety; c) Utwory w języku polskim, religijne i świeckie, prozaiczne i wierszowane, wśród których wiele jest rzeczy świeżo odkrytych, jak pieśni Łysogórskie, hymn o Duchu św., pieśń o Męce Pańskiéj Władysława z Gielniowa, Rozmowa Śmierci z Magistrem i t. d.

Z Długosza tylko radzibyśmy widzieć urywki bardziéj charakterystyczne, jak np. opis bitwy pod Grunwaldem; „Pieśń o zacho-

waniu się przy stole i o czci dla niewiast" albo raczéj „Pieśń o chlebowym stole" należałoby wysunąć naprzód, jako pierwszy polski wiersz świecki. Nie widzimy tu również żadnego urywka z utworów Kallimacha, nie mówiąc już o t. zw. „Radach Kallimachowych", które według niektórych są falsyfikatem późniejszym. Możnaby téż więcéj uwzględnić poezyę łacińską XV wieku, podając chociażby treść nagrobków Marcina ze Słupcy, traktatów satyrycznych mistrza Mikołaja, wysoce charakterystycznych pod względem obyczajowym; z prozy polskiéj pominięto pomniki świeckie: Ortyle magdeburskie i Przekłady statutów

Okres trzeci: „Rozwój humanizmu i reformacyi" zaczyna się od Jana z Wiślicy i kończy na Piotrze Skardze; dokładniejszych dat autor nam nie podaje. Przytoczone tu wyjątki i streszczenia nie dają nam całkowitego obrazu literatury naszéj XVI i połowy XVII wieku. Z poezyi Krzyckiego nie znajdujemy np. ani jednego ze złośliwych jego epigramatów, z Klemensa Janickiego nie widzimy najpiękniejszego jego hymnu do Maryi Panny (El. II, ks. I); nie umiemy objaśnić sobie, dlaczego w całym okresie przy jednym tylko Janickim została wyszczególniona monografia, i to przestarzała, Z. Węclewskiego; wyborne zaś studyum Ćwiklińskiego znalazło miejsce dopiéro w dopiskach.

Streszczenia dzieł wybitniejszych bywają niekiedy zbyt lakoniczne; takie bowiem streszczenie, jak traktatu Modrzewskiego „O poprawie Rplitéj": „Dzieło składa się z 5 ksiąg: w 1-széj autor mówi o obyczajach, w 2-éj o prawach, domagając się jednego prawa dla wszystkich, w 3-éj o pokoju i wojnie, w 4-éj o kościele, proponując reformy różne w duchu narodowym, w 5-éj (najkrótszéj) o szkole"—lub „Rozmowy o elekcyi", Łukasza Górnickiego: „W téj rozmowie Włoch przedstawia myśli i przekonania samego Górnickiego, który zalecał rządy oligarchiczne na wzór weneckich", takie streszczenia chybiają swego celu.

Z utworów Marcina Bielskiego, oprócz „Kroniki świata" znajdujemy tu tylko urywek jednéj z trzech jego satyr „Sejm Niewieści" i to nie najbardziéj charakterystyczny; „Komedyi Justyna i Konstancya" niema tu natomiast wcale, a utworowi temu należałoby się tu miejsce, jako pierwszemu „dyalogowi moralnemu" w naszéj literaturze; wątpić zaś należy, czy „Sejm Niewieści" jest „satyrą obosieczną".

Mikołaj Rej o wiele lepiéj jest opracowany. Z „Krótkiéj rozprawy" podał nam prof. Chmielowski bardziéj charakterystyczne ustępy; niepotrzebnie tylko zaznaczył wątpliwość, że „autor jest,

zdaje się, po stronie kmieci"; w téj kwestyi po pobieżném nawet rzuceniu okiem na ten pierwszy utwór Reja, dwóch zdań chyba być nie może. „Żywot Józefa" doskonale jest opracowany; tylko w przemowie Achizy (str. 148) brak jednego wiersza. Nie można tego jednak powiedzieć o „Wizerunku" i „Zwierciadle"; zwłaszcza w „Żywocie człowieka poczciwego" brak najbardziéj charakterystycznych ustępów, np. o strojach i zbytkach w jedzeniu i piciu. Objaśnienia zaś do „Wizerunku" na str. 152 sformułowane są, zdaje się, z winy korektora, trochę niejasno: mówi tu autor: „W rożdziale trzecim, opisując rajski przybytek rozkoszy, jest (Rej) więcéj poetą; daje tu obraz, wzięty z dzieła poety włoskiego Palingena, pisanego po łacinie, p. t. „Zodyak życia", ówczesnych ogrodów i rozbiór wszystkich (?) systematów moralnych"; tymczasem wiemy, że nietylko specyalnie ten opis, ale wogóle cały szemat do „Wizerunku" zapożyczony jest z „Zodyaku" Palingena, a trzeci rożdział „Wizerunku" w drugiéj połowie ogranicza się na rozmowie młodzieńca z Minerwą. Żałujemy, że dyalog Reja „Kupiec" nie mógł być uwzględniony.

Z utworów Łukasza Górnickiego autor pominął milczeniem „Drogę do zupełnéj wolności"; nie zaznaczył również, że Górnicki próbował i mowy wiązanéj. Jeden z utworów wierszowanych Górnickiego „Pieśń o pruskiéj porażce" znalazł się między wierszami XV wieku. Chociażby i nie przyznawać autorstwa Górnickiemu wbrew wyrazom Kochanowskiego:

...(*Gornicius*)... *Germanosque canit magno certamine victos, Committens lyricis Martia bella modis.*

(Lib. III, el. XIII),

to w każdym razie język tego urywka wskazuje późniejsze jego pochodzenie.

Kochanowski w opracowaniu prof. Chmielowskiego wypadł zupełnie dobrze; za mało tylko podał on elegii łacińskich, niema tu nawet żadnéj elegii do Lydii; a zamiast „Proporca" czy nie lepiejby było podać „Zgodę"?

Z utworów Sępa Szarzyńskiego uwzględniono tylko drukowane u Turowskiego; możnaby uczynić wzmiankę i o rękopiśmiennych, o których podał wiadomość Brückner, jak również i o wierszach Porębskiego (?), pominiętych także przez prof. Chmielowskiego.

Z wydawnictw „Biblioteki pisarzów polskich" akademii krakowskiéj autor „Obrazu" korzysta niewiele; należałoby przynajmniéj uwzględnić „Rymy duchowne" Sebastyana Grabowieckiego, nie znajdujemy również przykładów dramatu kościelnego i intermedyów XVI—XVII wieku.

Z utworów Szymonowicza pomieścił autor tylko kilka sielanek; należałoby się miejsce chociażby jego dramatom „Castus Joseph" i „Pentesilea", jako nielicznym próbom dramatu klasycznego w XVI wieku; za to Paprockiego możnaby zupełnie pominąć milczeniem.

Okres czwarty, który prof. Chmielowski nazywa zupełnie słusznie „Czasem ściemnienia światła i zepsucia smaku", rozpoczyna Sarbiewski, choć właściwie należy mu się miejsce w poprzednim okresie. Daléj idą Szymon i Bartłomiéj Zimorowicze; z sielanek tego ostatniego przytoczył prof. Chmielowski tylko dwie, i to te, które właściwie nie są wcale sielankami: „Kozaczyzna" i „Przenosiny"; daléj idzie Gawiński i Samuel Twardowski, na którego charakterystykę składają się urywki najsłabszego z poematów „Władysław IV", „Dafnis" i jeden tren; gdzież „Wojna domowa", „Nadobna Paskwalina" i przedewszystkiém „Satyr na twarz Rplitéj", przypisywany dawniéj Andrzejowi Rysińskiemu. Opaliński, Morsztyn, Kochowski i Potocki zamykają szereg poetów XVII wieku.

Co się tyczy Potockiego, to do charakterystyki jego wielu brakuje szczegółów: niema ani „Argenidy", ani „Syloreta", ani „Peryodów", ani „Merkuryusza nowego" w pełniejszéj redakcyi, ani jego spuścizny rękopiśmiennéj, ogłoszonéj częściowo przez Brücknera, ani nawet treści „Wojny Chocimskiéj".

Z prozaików tego okresu podał prof. Chmielowski Starowolskiego, Fredrę i Paska.

Na czele okresu piątego: „Czasy reform politycznych i pseudoklasycyzmu" prof. Chmielowski stawia Jabłonowskiego; tylko data ukazania się w druku „Skrupułu bez skrupułu" podana jest mylnie, jako rok 1630 (w saméj rzeczy 1730); daléj idzie Leszczyński, Konarski i Drużbacka.

Jako pierwszych przedstawicieli dramatu pseudoklasycznego prof. Chmielowski podał Konarskiego („Epaminandas"), Wacława Rzewuskiego i Bohomolca; tego ostatniego jednakże obok komedyi „szkolnéj", „Paryżanin polski", należało podać i jakąś komedyę sceniczną, np. „Małżeństwo z kalendarza". Co zaś do Naruszewicza i Krasickiego, to scharakteryzowani są względnie dobrze; tylko z utworów Krasickiego bajeczkę „Dziekan w Badajoz" możnaby zastąpić przez „Historyę o kamienicy w Kukurowcach", a wyjątek z „Rozmów zmarłych" przez urywek z jakiéj komedyi.

Trembeckiego „Syn marnotrawny", za wzór stawiany przez klasyków, Węgierskiego „Organy" nie znalazły miejsca w „Obrazie", lecz to mniejsza. Gorzéj rzecz się ma z Kniaźninem, z którego

prof. Chmielowski przytoczył dwa najmniéj charakteryzujące go utwory: „Odę do wąsów” i „Babią Górę”; szczęściem ocalał trzeci, i to jeden z lepszych „Matka obywatelka”.

Z komedyi Zabłockiego przytoczył autor sceny z „Fircyka w zalotach” i „Sarmatyzmu”; najbardziéj ożywioną z téj ostatniéj komedyi scenę przy płocie pominął; nie podał również urywku z „Zabobonnika”, naszém zdaniem, najlepszéj komedyi Zabłockiego; za to znajdujemy zaraz obszerniéj traktowaną operetkę Bogusławskiego „Krakowiacy i Górale”, zresztą najzupełniéj słusznie.

Najbardziéj po macoszemu obszedł się prof. Chmielowski z klasykami epoki Księstwa Warszawskiego. Niemcewicza urywek z „Powrotu posła” i „Duma o Żółkiewskim” to stanowczo zamało; gdzież powieści i powiastki, gdzież bajki? gdzież poematy? gdzież „Prometeusz” i „Lejbe i Sióra”, albo choćby wyborny obrazek „Panna Guzdralska”? gdzież wreszcie „Dumania w Ursynowie”?

A daléj zamiast Tymowskiego i Osińskiego należało choć cośkolwiek podać z utworów Kajetana Koźmiana: „Mowa Katona Cenzora” i drobny urywek z „Ziemiaństwa” bynajmniéj go nie charakteryzują — nie można pozostawić na stronie jego „Ód” na cześć Napoleona, a przedewszystkiém, najlepszego poematu pseudoklasycznego „Stefana Czarnieckiego”. To samo da się powiedzieć o Wężyku: dwa urywki ze słabych i nudnych „Okolic Krakowa”, i to urywki nie najlepsze nie wystarczają; a inne poematy, np. „Wieś polska”? a tragedye z dawniejszéj i późniejszéj epoki, jak „Bezkrólewie I i II”, a liczne liryki i przedewszystkiém przepiękna skarga starca „Smutno mi, Panie!”?

Z „Barbary” Felińskiego mamy wprawdzie treść szczegółową, lecz scena między Tarnowskim a Kmitą mogłaby być zastąpioną przez inną bardziéj charakterystyczną, np. Zygmunta z Boratyńskim.

Przedstawiciele prozy w tym okresie: Staszic, Kołłątaj i Śniadeccy kończą tom pierwszy „Obrazu”; tylko zamiast rozpraw astronomicznych Jana Śniadeckiego przydałaby się bardziéj jego rzecz „O pismach klasycznych i romantycznych”.

Tyle co do pierwszego tomu „Obrazu”. Ogółem biorąc, chęć wtłoczenia w jeden tom obrazu literatury naszéj w ciągu ośmiowiecza nie wyszła na dobre dziełu prof. Chmielowskiego; wiele rzeczy istotnie ciekawych i charakterystycznych musiało być pominięte ze szkodą dla czytelników.

Daleko lepiéj wyszły następne dwa tomy, w których autor nie potrzebował liczyć się ze szczupłością ram, z góry nakreślonych.

To też i streszczenia, których nieobecność tak razi w pierwszym tomie, są tu znacznie więcéj uwzględnione.

Tom drugi zawiera: „Rozwój poezyi" w okresie romantyzmu. Zaczyna więc prof. Chmielowski od Kazimierza Brodzińskiego, chociaż właściwie należałoby się przed nim miejsce Reklewskiemu, jako duchowemu przewodnikowi śpiewaka „Wiesława", tylko zamiast „Pobytu na górach Karpackich" i „Powrotu z Włoch"; lepiéj może byłoby zamieścić coś z utworów lirycznych Brodzińskiego z cyklu „Pieśni rolników", np. „Mazurek" albo „Matka i dziecię".

Mickiewicz został opracowany nader sumiennie i szczegółowo; tylko zamiast dydaktycznego wiersza „Do Joachima Lelewela", możnaby lepiéj podać pieśń: „Hej użyjmy żywota!", a „Grażynę" o posągowych konturach klasycznych wysunąć przed płomienne wybuchy Gustawa z „Dziadów"; „Sonety" zaś i „Farysa" przesunąć daléj, by nie naruszyć porządku chronologicznego.

Po Mickiewiczu następują Malczewski, Zaleski, Goszczyński, i Słowacki—z tego ostatniego: „Arab", „Godzina Myśli", „Ojciec Zadżumionych", „W Szwajcaryi", „Mazepa", „Balladyna", „Lilla Weneda", z pośmiertnych „Niepoprawni", wreszcie „Beniowski" i poezye liryczne. Z utworów Krasińskiego znajdujemy tu „Wygnańca", „Nie-boską Komedyę", doskonale streszczoną, „Irydyona", „Przedświt", drobne poezye liryczne, wreszcie „Psalm Dobréj Woli" i „Resurrecturis". Daléj idą Garczyński, Fredro („Śluby panieńskie" i „Pan Benet"), Korzeniowski, (jako dramaturg), Pol, Zieliński, Wasilewski, Baliński, Berwiński, Gabryela i Ujejski. Niema Morawskiego i, co dziwniejsza, Gaszyńskiego; chociażby „Sielanka młodości" zasługiwała na uwzględnienie; niema tu również lirycznych poezyi Pola.

Tom ostatni zawiera drugą połowę okresu szóstego, oraz okres siódmy i ósmy.

A więc przedewszystkiém „Rozwój prozy" w okresie szóstym. Słusznie należy tu się miejsce ks. Wirtemberskiéj, jako autorce „Malwiny", Hoffmanowéj, Bernatowiczowi, Skarbkowi, Kraszewskiemu (niema tylko ani jednéj historycznéj jego powieści), Korzeniowskiemu, (jako powieściopisarzowi), Rzewuskiemu, Chodźce, Sztyrmerowi i Wilkońskiemu; mniej potrzebnie zajmują miejsce przedstawiciele nauki: Lelewel, Mochnacki, Wiszniewski, Trentowski, Kremer, Libelt i Cieszkowski.

Nie będziemy się kłócić z autorem, czy podział na poetów, i prozaików jest właściwszym od układu chronologicznego, tém bardziéj, jeśli podział ten nie wszędzie jest wytrzymany, jak również nie bę-

dziemy robić mu zarzutu z podziału romantyzmu na dwa okresy, (właściwiéj podokresy) rokiem 1850-ym. Są to kwestye w gruncie rzeczy podrzędne.

Na okres siódmy: „Przekwitanie romantyzmu” składają się utwory, pisane między 1850 i 1863 rokiem. Należą tu więc z poetów: Kondratowicz, Lenartowicz, Deotyma, Sowiński i Romanowski, z prozaików: Kaczkowski, Zacharyasiewicz, T. T. Jeż, Adam Pług, mniéj potrzebnie Szajnocha, Siemieński, Klaczko i Supiński, jako przedstawiciele literatury naukowéj.

Okresowi ósmemu: „Czasy realizmu po roku 1863” dość skąpo udzielono miejsca. Z poetów znajdujemy tu zaledwie Faleńskiego, Asnyka i Konopnicką — to cokolwiek zamało, ze współczesnych przynajmniéj np. Tetmajerowi z prawa należało się choć kilka stronic. Za cały obraz olbrzymiego rozwoju beletrystyki współczesnéj mają stać: Orzeszkowa (tylko „Marta” i „Babunia”), Sienkiewicz i Prus. Z Sienkiewicza znajdujemy zaledwie tu nowelkę „Lux in tenebris lucet” i wyjątek z „Ogniem i mieczem”: chyba „Bez dogmatu” i „Quo vadis” więcéj są godne pomieszczenia, niż powieść Sztyrmera lub ramoty Wilkońskiego.

Z utworów powieściowych Prusa dostały się do „Obrazu” tylko „Pleśń świata” i „Emancypantka”; ani jedna z wybornych nowelek, ani „Lalka”, ani „Faraon” nie znalazły pomieszczenia; nie mówię tu już o innych powieściopisarzach, którym również należałoby się po kilka słów.

Przedstawicielami dramatu i komedyi współczesnéj w „Obrazie” prof. Chmielowskiego są Świętochowski, który nigdy zresztą nie pisał dla sceny, i Bliziński w najlepszéj swéj komedyi „Pan Damazy”; innych, jak Bałucki, Zaleski, Lubowski i t. d.—pominięto. Pominięto również publicystykę; niema ani jednéj kroniki Prusa ani Świętochowskiego. Ale za to znowu widzimy tu przedstawicieli wiedzy specyalnéj, jak Kalinka, Szujski, Małecki, Kaszewski, Tarnowski i Struve; tembardziéj jest to bezcelowe, że jakiś np. urywek ze „Wstępu krytycznego do filozofii” prof. Struvego bez przytoczenia treści i biegu myśli nie da pojęcia o całości.

Tak przedstawia się literatura nasza, ilustrowana wypisami przez prof. Chmielowskiego. Nie można pominąć milczeniem, że „Obraz literatury polskiéj” ma pewne braki, zwłaszcza w pierwszym tomie, trochę zbyt zwięzłym. Żałować też należy, że autor pominął takie rzeczy, jak chronologię i życiorysy pisarzów, co dla nauczających byłoby wielkiém ułatwieniem; daty urodzenia i śmierci autorów pomieszczono dopiéro w „Skorowidzu” — szkoda, że nie wprowa-

dzono ich do tekstu. Niema również dat, rozgraniczających okresy. Nie wadziłaby krótka charakterystyka pisarzów i bibliografia ich dzieł, przynajmniéj ważniejszych, zwłaszcza przy tych autorach, których zbywa się jedną, albo dwiema cytatami. Pożytecznêm byłoby również wskazanie daty i miejsca wydania pism, zwłaszcza zbiorowych; szczególniéj jest to niezbędne, jeśli oddzielne utwory jakiegoś pisarza wydane są w jakichkolwiek „bibliotekach", zbiorach, compendiach i czasopismach; ułatwiłoby to w znakomity sposób poszukiwania tym,, którzy pragnęliby dowiedzieć się coś więcéj, niż znajdą w „Obrazie literatury polskiéj".

Również wielce pożytecznêm byłoby wprowadzenie działu, zawierającego główniejsze monografie o różnych przedstawicielach naszego piśmiennictwa; wskazanie kilku studyów o „Bogarodzicy", dwóch o Janickim—nie wystarcza. Wszak przestarzały podręcznik Kuliczkowskiego tylko dzięki temu działowi jest do dziś dnia niezbędnym dla każdego wykładającego literaturę.

Ale i pomimo tych wszystkich braków, książka prof. Chmielowskiego, zwłaszcza w dwóch ostatnich tomach, daje wiele bardzo materyału do wykładów literatury ojczystéj i jako taka, w nauczaniu dziejów naszego piśmiennictwa stanie się konieczną podwaliną, bez któréj wszelkie dalsze wnioski i rozumowania będą budowaniem na piasku.

Jeszcze słówko pod adresem wydawców: dlaczego na książkę tę, która powinna znajdować się w ręku każdego ucznia i uczennicy, naznaczono tak wysoką cenę 8 czy 9 rubli? w obecnych czasach, kiedy rozumnêm i uczciwêm hasłem handlu księgarskiego staje się: „wielka poczytność, nizka cena" należałoby mieć większy trochę wzgląd na dobro ogółu.

Henryk Galle.

Edward Siwiński. „Poezye", wydanie pośmiertne, z rysunkami Wojciecha Gersona. Warszawa, Druk K. Kowalewskiego, 1899, str. 68.

Na jednéj z rzewniejszych kartek niewielkiego tego zbiorku, p. t. „Godziny dumania", czytamy: „Chciałbym się modlić, Boże, w téj strasznéj rozterce, co mózg mi wyczerpuje i rozdziera serce... Lecz tak ciężką żywota wydeptałem drogę, że chociaż chcę się modlić—to modlić nie mogę". Ciężka ta droga tłómaczy należycie pośmiertne wydanie kilkunastu ulotnych wierszy rozmaitéj treści, stanowiących poetycką spuściznę po człowieku, który w swoim czasie

(1860—1863) należał do najcelniejszych naszych stylistów, był za rządów Wielopolskiego powołany do wykładów historyi literatury polskiéj w najwyższym krajowym zakładzie naukowym (w tak zw. „Szkole przygotowawczéj”, otwierającéj wstęp do „Szkoły Główněj”), brał czynny udział w wypadkach burzliwéj téj doby, jako publicysta wyższego polotu obiecywał zostać jednym z koryfeuszów piśmiennictwa ojczystego. Dotknięty jednak, w kilka lat późniéj, już na obczyźnie, w Paryżu, okrutną i nieubłaganą niemocą wzroku, wspierać mógł ruch umysłowy budzącego się po klęsce społeczeństwa o tyle tylko, o ile na to pozwalała ciężka praca domowa na chléb powszedni, warunki obcego otoczenia—i chwytane po ciemku odgłosy rzeczywistości... Po powrocie, przed kilkunasty laty, do kraju, do ukochanéj Warszawy, Siwiński gorąco się zespolił z pracą „młodszego pokolenia”, czujnie śledził najlżejsze drgnięcia jego usiłowań naprawczych, postępowych, pisał—ręką pośredniczącą—rozprawy, krytyki, wspomnienia, w których, jako ptak ze złamanemi skrzydły, chwytał nikłe, rozcieńczone, skąpo otlenione powietrze szczęśliwszych swoich współczesnych... W rzadkich okolicznościach godów odświętnych, kiedy przez napół rozwarte okno życia familijnego wpadł jakiś świeższy zabłąkany powiew dążności ogólniejszéj, społecznéj—zabierał též głos i w mowie wiązanéj,—a że mówił płynnie, dźwięcznie, podwajał więc przez to urok wykwintnie obrobionych, starannie, wśród „wiecznéj nocy” obmyślanych swych improwizacyi... Zgasł nagle, po długiéj chorobie serca, w d. 1-go kwietnia 1897 r., a skromny jego grobowiec na Powązkach, który przechodzeń łatwo spostrzeże tuż zaraz za pierwszą od miasta bramą, w alei na prawo,—z pewnością zasłużył na garść żywych kwiatów...

Przytoczymy z pamiątkowéj téj książki parę próbek stylowych. W toaście na cześć nowożeńców, doktorstwa R., odjeżdżających do Krymu, poeta potrąca najpierw o motyw dziejowy. „Od krainy téj dalekiéj, dzielą stepy, dzielą rzeki; słońcem ona pozłacana, w polskich dziejach dobrze znana; do niéj to przez dzikie pole tłumy Polek szły w niewolę, by mokremi z łez oczyma rozweselać tatarzyna”. Późniéj, wielkie zachodzą zmiany,—tam i tutaj; nad Bosforem i nad Wisłą jedno zgniło, drugie prysło... „Padło państwo Giraj-hana i tatarska znikła władza. Czarodziejski wzrok poety złoci słońcem minarety, kwieciem błyszczą się bajdary, a Czatyrdah, olbrzym stary, po nad chmury i błękity granitowe wznosi szczyty. U stóp jego ucho słyszy monotonny szept izanu, morze drzemie w nocnéj ciszy,—nad niém lampa Akiermanu”... Od daty podróży Mickiewicza i jego sonetów upływa znowu spory lat poczet. Poeta,

zaznaczając, że „inna znowu przyszła pora, inne teraz prądy wieją”, zwraca się do młodéj pary i z weselszym nieco uśmiechem powiada: „Krym przysyła nam... doktora, co choć pannę uprowadza, na bachmata jéj nie wsadza, lecz uwozi ją... koleją”...

Tryskające tu i owdzie iskry dobrego humoru i jaśniejszego nastroju duszy szybko wszakże nikną i giną w uporczywie wydobywającéj się na wierzch zadumie tęsknéj lub zgryźliwéj... A „w głębi mego serca taka zaszła zmiana, jakgdyby nagle chmury skryły blask jutrzenki, i w szalejącéj burzy dusza zabłąkana skarżyła się niebiosom żałobnemi jęki”... Bezcelowość tych skarg i biadań autor doskonale rozumie, częściéj przeto ima się słodkiéj, zrezygnowanéj satyry, niźli płomiennych jeremiaszowych groźb i złorzeczeń. Ironia Siwińskiego wszędzie trzyma się dość stosunkowo wysokiego tonu, nie zniża się do wyrażeń gminnych, szorstkich — a jeśli gdzie zawadzi o osobistość, to już chyba o tak znaną, iż aluzyi uniknąć niepodobna. „W naszym grodzie jest polityk, co Bismarków przerósł głową; i nie myślcie, że to przytyk, gdyż moralność ma surową: karci rządy, stany, ludy... Lecz przypadkiem, jeśli zoczy wielkopańskie jakie brudy, wnet wstydliwie spuszcza oczy... Ta wstydliwość, wstręt do krzyku wszystkim się podoba właśnie... O, przezacny polityku, niech cię jasny piorun trzaśnie!”... Atoli i tego „trzaskającego” tonu nie nadużywa nigdzie; ogarnia go zaraz pewien pesymizm, pochłania go zwątpienie, azali się przyda na cokolwiek słowo ostrzeżenia lub nagany. „Wartoż pisać satyry?”—zapytuje w jedném miejscu. I odpowiada:

Zdały się na licha!
Ze śmiechem je odczyta głupstwo, złość i pycha
I wszystkie inne wady, ile jest ich w rzędzie,
Lecz jakim kto był wprzódy, tak i potem będzie:
Bo niech rzecz swą satyryk mądrze, jak chce, wiedzie,
Każdy wady potępi, ale—w swym sąsiedzie.

W dobre ludzkie chęci, w gotowość do ofiar, w szlachetność popędów serca i woli poeta wierzy—ale dopiéro wtedy, gdy serca te i chęci są—młode, świeże. Najpiękniejsze strofy Siwińskiego należą téż właśnie do świata, wobec którego sam on i jego towarzysze stawać już dziś mają prawo w poważnéj roli ojców i nauczycieli. Wspaniałym, klasycznym, najlepsze wzory przypominającym jest ten oto wiersz jego „Do dziewczęcia”:

Chcesz-li być kwiatem,—nie wybieraj róży,
Co nęci czarem kolorów i woni,
A kiedy przyjdzie czoło stawić burzy,
Słabiuchne listki jako perły roni
I tak trwożliwie przed wichrem się chowa,
Jak opuszczona od dworzan królowa...

Chcesz być ptaszyną — o, nie bierz słowika,
Co umiłował smętne gajów cisze,
Sentymentalnie wciąż kwili i wzdycha,
Rozmarza serce i do snu kołysze, —
Ty bądź skowronkiem, ulubieńcem ludu,
Przyśpiewuj pracy, bo w pracy—moc cudu.

* * *

Nowości naukowe i literackie.

= *Dr. Wiktor Hahn.* **Tło historyczne w „Irydyonie“** Krasińskiego. Lwów 1898 r., str. 58, in 8-o. Jest to ciekawy, chociaż na hypotezach oparty przyczynek do genezy „Irydyona". Nawiązując swą pracę do badań Siemieńskiego, Nehringa, Tarnowskiego, Sternala, Bełcikowskiego, Kallenbacha, Drogosława, i Miodońskiego, autor stara się wykazać, że Krasiński, odtwarzając epokę Heliogabala, znajomość jéj zawdzięczał głównie dziełom historyków nowożytnych: Chaunarde'a („*Heliogabal*"), Crévier'a (*Histoire des empereurs Romains*) i Gibbona. Prócz tego, dowodzi dr. Hahn, że na „Irydyona" w mniejszym lub większym stopniu wywarły wpływ następujące dzieła: opowiadanie historyczne Ferrier'a „Heliogabal", „*Les Martyrs*" Chateaubriand'a, „Faust" Göthego i „Quentin Durward" Walter Scotta. Z tego ostatniego utworu miał Krasiński zaczerpnąć ustęp o Eutychianie, który, chcąc bronić swego życia, zagrożonego przez Heliogabala, przepowiada rozgniewanemu cezarowi, że umrze w trzy dni po nim; wybieg się udaje, gdyż przerażony przepowiednią Heliogabal zostawia go w spokoju. Szczegół ten, o którym niema wzmianki w pisarzach starożytnych, przypomina opisane we wzmiankowanéj powieści zajście pomiędzy Ludwikiem XI i astrologiem Galeottim. Studyum swe kończy dr. Hahn następującą uwagą: „Irydyon, jako dramat historyczny, powinien być oparty na faktach historycznych, i dlatego chodziło mi głównie o to, aby wykazać, że

dramat ten odpowiada rzeczywiście warunkom historycznym. Wymieniając składy, z których poeta brał farby do swych obrazów mistrzowskich, pragnąłem dowieść, że w „Irydyonie" tak opis czasów Heliogabala, jako téż wszelkie inne postacie — tak historyczne, jak fantazyą poety do życia powołane, oparte są na ścisłych i rozległych badaniach źródłowych". Dodać jeszcze winniśmy, że w zeszycie II-gim „Kwartalnika historycznego" z r. b. ukazała się surowa krytyka tego zajmującego studyum pióra d-ra Konstantego Wojciechowskiego. Chociaż wywody dra Wojciechowskiego nie trafiły nam do przekonania, to jednak zaznaczyć winniśmy, że i z repliką autora, zamieszczoną w zeszycie III tegoż pisma, zgodzić się również nie możemy, a to dla tego, że przypuszczenia swe autor podaje tam za fakta niewątpliwe. *Romuald Sułowski.*

— *Kazimierz Gliński.* **„Losy".** (Powieść współczesna. Warszawa. Nakładem księgarni Jana Fiszera, 1899, str. 360). W izbie wilgotnéj, na poddaszu mieszkało trzech kolegów: Leon Łotocki, Witalis Żmujło, i Tomasz Waltornia. Leon, pracując nad rozprawą doktorską, nie zważał na coraz bardziéj gnębiące go suchoty, krzepiąc się myślą o jaśniejszéj przyszłości dla swéj matki. Matkę ukochał bardzo za jéj trudy i poświęcenia. Przed laty dwudziestu owdowiawszy, zajęła się wyłącznie wychowaniem syna, a gdy podrósł—łożyła na jego naukę. Dziś, po stracie majątku, przyjęła obowiązki gospodyni na wsi, by z dochodów swych skromnych wspierać syna. On tedy, pragnąc wynagrodzić jéj dni niedoli, pracuje gorliwie nad rozprawą, którą wywalczy sobie rozgłos, zdobędzie pieniądze, a one wrócą matce jego Brzeźnicę, dawniejszą jéj posiadłość. Z tą myślą pracuje nieraz o chłodzie i głodzie, nękany chorobą. Lecz to się skończy—jeszcze rok—rozprawa napisana—a z nią i sława i dobrobyt, a wszystko dla niéj, dla jego matki. Witalis, kolega uniwersytecki Łotockiego, zacny, choć nieco komiczny Żmujdzin, jest opiekunem Leona: ratuje go w chorobie, starając się o możliwe wygody dla przyjaciela. Dalekim myślą, uczuciem i ideałami jest od tych dwóch Tomasz Waltornia. Jako pomocnik właściciela skromnego handlu win, wykształceniem nie dorównywał ani Żmujle, ani Łotockiemu, a obracając się w ciasném kole codziennych drobiazgowych kłopotów, przestawał rozumieć dawnych kolegów i rychło począł wyrzekać na los, który go nie uposażył tak jak innych. Tym „drugim" zawsze Tomasz zazdrościł dostatków, dostępnych im uciech i rozkoszy. Te szare myśli Waltorni, znajdując nieustanną

podnietę w chęci używania, popchną go na drogę występku, złamią życie i rzucą cień na jego sumienie. Tomasz dochodzi do zamożności, która mu wszakże nie przyniesie szczęścia.—Leon Łotocki skończy rozprawę, by zasnąć na kolanach matki (jak o tém marzył), zasnąć na zawsze. Matka jego odzyskuje Brzeźnicę, zaślubiwszy hrabiego Dąbskiego. Żmujło zostanie przy nich przez pamięć dla Leona. Taka jest w głównych zarysach treść ostatniéj powieści Glińskiego, p. t. „Losy". Podając ją w takiém streszczeniu, obowiązany jestem nadmienić, że wzbogaca ją wiele szczegółów, kilkanaście postaci drugoplanowych, wzbogaca ją i strona opisowa, zawsze piękna w pracach Glińskiego. Są w powieści i myśli głębsze, z których jedną przytaczając, odsyłam czytelników do omawianego utworu: „Gdybyśmy więcéj Chrystusowi byli (mówi hrabia Dąbski), byłoby mniéj podłości na świecie... ale z téj staréj prawdy łachman tylko pozostał. Świat musi do Chrystusa wrócić, bo zginie w zamęcie zbrodni i rozpusty". (str. 244). *L. R.*

= Biblioteka ordynacyi Zamojskich posiada rękopism grecki, na który świeżo zwrócił uwagę profesor uniwersytetu wrocławskiego, R. Foerster. Za pośrednictwem konsulatu niemieckiego otrzymał on rzeczony rękopism do zbadania i rezultat ogłosił w piśmie „*Rheinisches Museum für Philologie*" (LIII, 4), pod tytułem: „*Eine griechische Handschrift in Russisch Polen und das Anthologion des Orion*". *S.*

= Księgarnia St. J. Zaleskiego i S-ki w Warszawie ogłosiła prospekt na monografię ilustrowaną kościołów rzymsko-katolickich w Królestwie Polskiém., w któréj zamierza w jaknajbardziéj ścisłych, po literacku traktowanych, zwięzłych opisach podać historyę wszystkich kościołów w kraju, podług nakreślonego planu. Po za wstępem, obchodzącym krajoznawcę, historyk spotka skreśloną przeszłość świątyni—artysta, estetyk i i archeolog znajdą opisy i podobizny nagrobków, tablic, wotów, obrazów i rzeźb—budowniczego zajmie opis i zdjęcia zewnętrznéj oraz wewnętrznéj struktury i piękniejszych szczegółów architektonicznych—ludoznawcę bliżéj obchodzić będzie materyał statystyczny: o pielgrzymkach, odpustach, upodobaniu imion patronów świętych przez lud w danéj okolicy, o budzącém się zamiłowaniu do muzyki i śpiewu w chórach kościel-

nych—literata, poetę zastanowi bogactwo tematów, snutych przez przez fantazyę ludu na tle cudów i powstania fundacyi samych świątyń. Kierownictwo literacko-artystyczne złożone zostało w ręce pp.: Kazimierza Broniewskiego, artystę-malarza—ks. prałata Stanisława Chodyńskiego — Józefa Dziekońskiego, budowniczego—Walerego Gostomskiego, literata—ks. prałata Leona Jungowskiego—Kazimierza Kaszewskiego, literata—Hieronima Łopacińskiego, profesora—ks. kanonika Teofila Matuszewskiego, — Antoniego Pietkiewicza (Adama Pługa), literata—ks. Ludwika Panewczyńskiego, regensa konsystorza—ks. Antoniego Szlagowskiego, profesora seminaryum—Konstantego Wojciechowskiego, budowniczego—Lucyana Wrotnowskiego, mecenasa. Pierwszy zeszyt ukaże się w kwietniu i obejmie 7—8 arkuszy *in quarto*, cena wynosi za zeszyt rs. 2, a z przesyłką rs. 2 kop. 30.



Wydawcy: ***Wł. Spasowicz*** i ***St. Łaguna***.
Redaktorowie: ***W. Spasowicz*** i ***Stanisław Wydżga***.

Дозволено Цензурою. Варшава 3 Февраля 1899 года.